

# Róża



STEFAN ŻEROMSKI<sup>1</sup>

## *Róża*

„*O Thou immortal Deity  
Whose throne is in the depth of human thought,  
I do adjure thy power and Thee  
By all that man may be, by all that he is not,  
By all that he has been and yet must be!*”

*Percy B. Shelley (fragment z r. 1821)*

---

<sup>1</sup>Żeromski, Stefan — poniższy dramat zatytułowany *Róża* został opublikowany przez Żeromskiego pod pseudonimem Józef Katerla w 1909 r. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*O Thou immortal Deity Whose throne is in the depth of human thought, I do adjure thy power and Thee By all that man may be, by all that he is not, By all that he has been and yet must be* (ang.) adjure — O Ty, nieśmiertelne Bóstwo, którego tron jest w głębi myśli ludzkiej, zaklinam Twą siłę i Ciebie, przez to wszystko, czym człowiek mógłby być, przez wszystko, czym nie jest, przez wszystko, czym był niegdyś i czym musi być jeszcze. [przypis edytorski]

# PROLOG

Zaułek poza gmachem więzienia, utworzony przez blanki wystające w stronę rzeki. W głąb spada olbrzymi mur, wsparty na potężnych odkosach ziemnego wału. Z prawej strony wznosi się surowa ściana z oknami na poły zabielonymi. Górą okien sączy się w noc nieruchome światło. Ów dom wypromienia ze siebie martwą aureolę, która ginie, pochłonięta przez mrok. Za murem i za jego fosą, głęboko w dole, rosną drzewa olbrzymie, których wierzchołki mało wiele<sup>3</sup> przerastają dachówkę muru. Koślawe widły, konary, nagie gałęzie i wici tych drzew buczą w nocy wzdłuż rzeki Wiśły. — Wicher dmie. — Zawieja niesie ze szczelin pomiędzy murami i z dachów zwiewne, wydęte żagle śniegowe. Długie, wciąż dymiące się strzały i zaspy warują na ziemi. Lotny wąż śniegu okręca się dookoła słupów szubienicy. — Głęboka noc. — Dwudziestostopniowy mróz. ŻOŁNIERZ MOSKIEWSKI w szubie do samej ziemi, baranym futrem podbitej, w wielkich butach futrzanych, z głową szczelnie okręconą basztykiem przechadza się pomiędzy Iwanowskimi Wrotami<sup>4</sup> i wnęką, gdzie stoją słupy szubienicy. Karabin leży nieruchomo na jego ramieniu. Śnieg zmarznięty od srogiego mrozu świszcząc zgrzyta i skrzypi pod wielkimi stopami żołdaka. — Kiedy niekiedy<sup>5</sup> ten człowiek wstrzymuje mierzone kroki, odchyła znad ucha wielkim palcem rękawicy brzeg basztyka<sup>6</sup> i nastuchuje, jak wicher w konarach wspaniałych drzew śwista, skowycze i łka — jak wąż śniegowy, oplatając drewno szubienicy, szeleszcze<sup>7</sup>.

JĘK W WICHRZE

między mogiłami

Kiedyż uniesiem głów<sup>8</sup> ponad zbroczone wezłowie, kiedyż na ludu łonie spoczniemy w sławy koronie — któż nam odpowie?

ŚNIEGOWY WĄŻ

podnosi znad mogił głowę i, oplatając drewno szubienicy, szeleszcze

Nikt wam nie zmaci snów — grobom wkopanym w mogiły, mocy strąconej w dół zgniły... Niewola wieje przez sioła, niewola idzie przez miasta, szlak wasz szalejem zarasta. Nikt was nie woła...

ŻOŁNIERZ MOSKIEWSKI

bije pokłon i zegna się krzyżem trzykrotnym<sup>9</sup>

Gospodi pomiłuj!<sup>10</sup> Gospodi pomiłuj! Gospodi pomiłuj!

Wsuwają się przez tajne w głębi przejście Deity (BOŻYSZCZE) i ANZELM

ANZELM

Jesteśmy.

BOŻYSZCZE

Nareszcie.

ANZELM

Tędy przeszedł. Był jeszcze zmrok przedranny. Jesienna woń więdnących liści pierwszy raz od miesiący tyłu wionęła mu w twarz. Lekka nadwiślna mgła pozdrowiła jego oczy.

<sup>3</sup>mało wiele (daw., gw.) — niewiele. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>Wrota Iwanowskie — wsch. brama Cytadeli Warszawskiej, zbudowana w l. 1833–1835 od strony Wiśły, nazwana później Bramą Straceń; u jej stóp znajduje się cmentarz-mauzoleum straconych w tym miejscu więźniów politycznych: od 1886 r. na szubienicach ustawionych na skarpie poniżej bramy wykonywano egzekucje więźniów politycznych, zaś ciała straceńców chowano potajemnie (tzn. również: bezimiennie) w bezpośrednim sąsiedztwie. W 1932 Koło Warszawskiego Stowarzyszenia Byłych Więźniów Politycznych doprowadziło do uporządkowania terenu wokół bramy i otwarcia 1 XI 1933 cmentarza-mauzoleum, na którym ustawiono 152 krzyże i 7 macew dla upamiętnienia straconych tu patriotów, na ścianach bramy powieszono marmurowe tablice pamiątkowe z nazwiskami ofiar. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>kiedy niekiedy (gw.) — czasem. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>basztyk (z tur.) — rodzaj nakrycia głowy: wykonany z filcu a. grubego sukna kaptur z długimi końcami, które obwiązywano się dokoła szyi a. pasa; element ubioru żołnierzy armii ros. od XVIII w. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>szeleszcze — dziś popr. forma 3.os.lp: szeleści. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>głów unieść — dziś popr. z B lm: unieść głowy. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>zegna się krzyżem trzykrotnym — tj. zegna się w sposób przyjęty w kościele prawosławnym. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>Gospodi pomiłuj (ros.) — Boże, zmiłuj się. [przypis edytorski]

Począł wołać co siły w piersiach w tę woń, w tę mgłę wariackie swoje hasło: „Niech żyje Polska niepodległa!”. Raz, drugi raz, trzeci, czwarty. I tak co krok. Bębny nie mogły zagłuszyć tego krzyku. Dopiero szybko rzucona pętlica... Spełnione już twe pragnienie...

BOŻYSZCZE  
Spełnione, sługo.

ANZELM  
Jakąż mi dasz nagrodę? Syna mam, panie, panie!

BOŻYSZCZE  
Nie minie cię zapłata.

ANZELM  
Część jej już mi wydał, gdy mogłem jeszcze wyprowadzać w pole, zmylić pogoń, złamać zakaz, zatrzeć tropy — lecz jestem nienasycony. Syna mam, panie!

BOŻYSZCZE  
Czy nie leży to w twoich zamiarach, nienasycony, ażeby i mnie wyprowadzić w pole?

ANZELM  
Nie, mistrzu! Tobie jednemu pokazuję prawdę, odsłaniam nagość spraw i dusz, rany czyste i brud, źródło łez i strzeliste westchnienie, tobie jednemu wyznaję wiadomą ci istotę rzeczy.

BOŻYSZCZE  
Alboż na pewno wiesz, przebiegły Anzelmie, gdzie się znajduje prawda i jaką ma twarz, gdy zdejmie maskę, istota rzeczy?

ANZELM  
Tak sędzę. Zdarzało mi się uchylać jej tylekroć podejrzliwymi rękoma. Kładłem w bardzo głęboką ranę prawdy chciwe palce i uczuwałem w całym ciele rozkosz od niestrzymanego żaru, który w niej gore.

BOŻYSZCZE  
*z uśmiechem*  
Wręcz tedy odmiennie niż Rzymianin Piłat, który na daremno rzucał w tłum pytanie, co jest prawdą — szczerze wyznawał, że sam nie wie i uczuwał zimno w dłoniach, zanurzonych w wodzie.

ANZELM  
Jakże miał poznać upał osiągnięcia prawdy, umywając od spraw człowieczych wyniosłe obojętne ręce? Ażeby zobaczyć istotę rzeczy, trzeba na nią w szczególnego zachwyty minucie patrzeć przez nadzwyczaj przybliżające szkła śmierci. Trzeba przykładać je do oka, nieznanego łez przynigdy, dłonią, której nerwy wola aż do zatracenia znieczuliła. Trzeba z uśmiechem dobrotliwym wydawać wyrok śmierci — jakem to był czynił<sup>11</sup> — i w każdym momencie być gotowym na pocisk śmierci — jakem to był czynił. A wreszcie trzeba śmierć ponieść. Ta jest droga poznania, wielce trudna dla nas śmiertelnych, o bożyszczach, które znaczenia śmierci nie znasz.

BOŻYSZCZE  
Przechwalasz się, śmiertelniku.

ANZELM  
Nie. Głoszę prawdę. Któż pod utwierdzeniem<sup>12</sup> dosięgnął tej potęgi, ażeby bezwładną dłonią wskazywać i wydawać na śmierć, będąc już martwym trupem i leżąc w trumnie ze złożonymi na piersiach rękoma? Uczyniłem to ja jedyny. Gdy kula roztrzaskała moją

<sup>11</sup> *jakem to był czynił* (daw.) — przykład użycia czasu zaprzeszłego, wyrażającego czynność wcześniejszą w stosunku do czynności (zjawisk itp.) wyrażonych zwykłym czasem przeszłym; znaczenie: jak to czyniłem uprzednio (wcześniej, dawniej itp.). [przypis edytorski]

<sup>12</sup> *pod utwierdzeniem* — tu w znaczeniu; (któż) może twierdzić, że (...). [przypis edytorski]

czaszkę i mózg przeszyla, złożono moje zwłoki skrwawione w prosektorium. Wtedy zbiegli się z tajnych zaułków spisku pobratymcy morderców, aby się przekonać o prawdzie, aby zaznać nieopisanej radości, wychylić kielich wina zemsty na widok mojego trupa. Życie moje było skazaniem na trwanie dla setek<sup>13</sup>. Nie wiedzieli nędznicy, podlegli pospolitym uczuciom, że zimny trup mój czuwa i że ja, Anzelm, jestem niepokonany i niezgładzony. Ciekawość ujrzenia mojego w trumnie oblicza przypłacili pojmaniem, a ten i ów spomiędzy nich — pętlącą na tej huśtawce. Przewidziany był z dawna szal ich uczucia i umówiona przynęta: moje zwłoki. Znane były wszystkie przejścia wzruszeń, jakim będą podlegać: ciekawość, chciwość, pycha, gniew, zawiść, ból, strach, zemsta, radość i nadzieja. Schwytali się w tę sieć, zwabieni na mnie jak drapieżne lisy na trup wilka.

BOŻYSZCZE

Rozważmy bez poddawania się jakiemukolwiek uczuciu, czyli<sup>14</sup> mięso, które myśliwiec składa we wniku<sup>15</sup>, żeby dzikie lisy przywabić — powtórzmy — czyli mięso — może się chlubić, że posiada władzę?

ANZELM

Twierdzenie moje nie da się skruszyć przez to podobieństwo. Władza mej martwej ręki była to bezwzględnie ta sama władza, którą ja sam stworzyłem był<sup>16</sup> w sobie i na zewnątrz siebie za życia.

BOŻYSZCZE

Na zewnątrz ciebie istniejąca nie twoim — sędzę — była dziełem.

ANZELM

Na zewnątrz mnie istniejąca byłaby martwym zegarem, gdybym ja jej w ruch nie wprowadził. Potęga moja była zewnętrzna i wewnętrzna — była mocą stanowienia o życiu i niebyciu. Jednym spojrzeniem i jednym skinieniem zadawałem śmierć lub wypuszczałem na wolność. Rozważmy. Zbójca wymierza cios i wyrывa ostatnie tchnienie — sam, pod wpływem żądy lub szału. Żołnierz nastawia karabin, artylerzysta rychtuje działo — sam, z rozkazu. Jedynowładca wydaje wyrok — sam, lecz nie wiedząc, co czyni, martwą swą władzą. Ja tylko jeden, świadomy sędzia, świadek i despota, panujący nad niezliczonymi rotami, czyniłem mój sąd, dawałem świadectwo istocie rzeczy i ferowałem dekret, wiedząc, co czynię, świadomie, bez przymusu, celnie i trafnie, mądrze i obojętnie. Słuchały mię sztaby prokuratorów, urzędów śledczych, sędziów wydających wyrok gorącym prawem, generałów, oficerów, żołnierzy. Słuchał mię najniewątpliwszy sługa wielkiego panowania — mistrz.

BOŻYSZCZE

Zbyt złośliwie malujesz wizerunek świata.

ANZELM

Tak. Wizerunek mój nie upiększa tego świata. Pamiętam, gdy pierwszy raz... Stawiony oko w oko z towarzyszem tych samych trudów rewolucji, ujrzałem jego bolesny, a radosny zarazem błysk oka — uścisk bratniej miłości, sekretne hasło towarzysza dla towarzysza na dnie otchłani, zazębienie koła idei, szukające swojego trybu w kole idei — pod progiem kostnicy. Pamiętam, jak w owej chwili spokojnie i trafnie ściałem jego bujną, pełną marzeń głowienkę nagim toporem mojego uśmiechu. Och, wy oczy struchlałe, zamierające pod moim spojrzeniem w wieczny lód rozpaczy! O, niezapomniane spądanie jego jęku, który słyszałem lecący w przepaść po ostrych zrębach w ciągu jednego momentu powzięcia o mnie prawdy! Zamknęły się wówczas te pierwsze oczy moje, — zawściągnęła się na twarz śmiertelna przyłbica dumnej pogardy i biała chustka śmierci nasiąkła potem przedzgonnym. Oto tu leży ten pierwszy mój...

<sup>13</sup>Życie moje było skazaniem na trwanie dla setek — tj. byłem skazany na to, aby tracić (a. być straconym) dla dobra setek (innych ludzi). [przypis edytorski]

<sup>14</sup>czyli (daw.) — konstrukcja z partykułą -li, tworzącą pytanie retoryczne; znaczenie: czyż, czy też. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>we wniku — dziś popr.: we wnykach. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>stworzyłem był (daw.) — przykład użycia czasu zaprzeszczonego, wyrażającego czynność wcześniejszą w stosunku do czynności (zjawisk itp.) wyrażonych zwykłym czasem przeszłym; znaczenie: stworzyłem wcześniej (uprzednio, dawniej). [przypis edytorski]

*Obydwaj krok za krokiem idą powoli, ze zwieszonymi głowami na prawo od drewnianych szubienicy, brnąc po kolana w bardzo głębokim, sypkim, przemarzłym śniegu. Widać w błędnym półświecie okien więzienia, w martwej aureoli, która ginie pochłonięta przez mrok — na głowie Bożyszczka frygijską czapkę<sup>17</sup>, symbol Mithry<sup>18</sup>. Wiatr dmie i z jękiem pada pomiędzy mogiły.*

#### JĘK WICHRU

*między mogiłami*

Kiedyż uniesiem głów ponad zbroczone wezłowie, kiedyż na ludu łonie spoczniemy w sławy koronie — któż nam odpowie?

*Chwieje się jęk wichru, zanosi tam i sam nad niewidzialnymi, płaskimi, zdeptanymi dolami, w których leżą straceni powstańcy, niepodlegli bojownicy i bandyci — warstwa na warstwie, długim pokotem, długim pokotem. Anzelm stanął. W zimnej, głębokiej zadumie, niepochwytnym szeptem, zaledwie ruchem warg, wymawia zapomniane imiona.*

#### BOŻYSZCZE

Cicho szepcisz<sup>19</sup> — szpiegu — bo polski wiatr, rapsod jedyny spraw tu pokonanych, usłyszysz imiona. Poniesie je w pola, w lasy, na martwe niwy, ku brudnym wsiom. Wyszłocha je u zamarzłych okienek, wypłaczę w węglach chałup. Poszepnie je milionom chłopów w ich nieocknionym dziś śnie.

#### ANZELM

Śpi twardo chłopstwo polskie. Dobrze jego snu bagnet strzeże i zabobon. Bagnet na ziemi o wszystkim stanowi. Na kolanach u moich stóp, z płaczem i jękiem pelza wiatr, niewolnik, jako wszystko w tym kraju.

#### BOŻYSZCZE

Miejsce, na którym stoisz, jest zagonem ziemi wolnej.

#### ANZELM

Czyli to miejsce — mistrzu — jest zagonem ziemi wolnej, gdzie leżą pochowani bandyci zdjęci z szubienicy?

#### BOŻYSZCZE

Tu leżą pochowani waleczni wodzowie powstania i waleczni bojownicy rewolucji.

#### ANZELM

*posępnie zadumany*

Tu oto leży „Marek”. Uciekł był ze mną z więzienia, z zamku w Łęczycy. Czekalem na niego ciemnymi nocami, brodząc dookoła miasta po moczarach. Och, ciemnymi nocami... Tłukło mi się wówczas w piersiach inne, głupie serce. Kochałem go. Gwiazdy do mnie o nim mówiły. Światło księżycy nas ostrzegało jak siostra czuła. Skoczył w moje ramiona z wysokiego muru. Uciekaliśmy poprzez błota, rozkisle łąki, przez głuche lasy. Tylko to jedna ciemna noc wie, ile między nami było niezłomnego pobratymstwa.

<sup>17</sup>frygijska czapka — miękkie, wełniane, stożkowe nakrycie głowy, ściśle ją opasujące, z opadającym do przodu czubkiem; dla staroż. Greków ten rodzaj czapki (gr. *pilos*) był charakterystyczny dla ludów ze wschodu, np. z Frygii w Azji Mniejszej; w staroż. Rzymie takie nakrycie głowy otrzymywał wyzwolieniec, stąd czapka frygijska była symbolem wolności; w staroż. sztuce rzymskiej frygijkę nosiła bogini Roma, a także Mitra, bóstwo solarne czczone w epoce hellenistycznej; później, w okresie Wielkiej Rewolucji Francuskiej czerwona czapka frygijska z trójkolorową kokardą (barwy flagi nowo powstałego państwa), początkowo czapka sankiulotów, nazywana była czapką wolności i stała się symbolem samej rewolucji: uosobienie wolności (*Liberté*), tzw. Marianna, przedstawiana była w czapce frygijskiej. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>Mithra a. Mitra (mit. indoirańska) — bóstwo solarne, którego kult sięga XX w. p.n.e.; władca ładu kosmicznego i społecznego, opiekun umów i władców, personifikacja lojalności, sędzia zmarłych w zaświatach; jego imię znaczy tyle co: przysięga, pakt, a także: przyjaźń. Obecny w świętych księgach mazdaizmu i zaratustrianizmu (*Awesta*) oraz religii staroindyjskiej (*Hymny Rigwedy*), w okresie hellenistycznym (od IV–III w. p.n.e.) zyskał wyznawców w Grecji, a od I w. n.e. w Rzymie (w III–IV w. mitraizm wszedł do rzym. państwowego kanonu religijnego; Mitra był czczony jako *Sol Invictus*: Niezwyciężone Słońce), bóg słońca, ognia, ale też oświecenia; jego kult, mitraizm, w połączeniu z gr. myślą filozoficzną (neoplatonizm) i astrologią egipsko-mezopotamską, nabrał cech ezoterycznych, a misteria ku czci Mitry miały służyć przekazaniu wtajemniczonym wyznawcom wiedzy o odrodzeniu i drodze do nieśmiertelności. W samym Rzymie miało być sto mitreów, czyli świątyni wyznawców Mitry. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>szepcisz — dziś popr. forma: szepcz. [przypis edytorski]

W piersiach mu grały suchoty, a śmiechem się wtedy radosnym zanosił. Niosłem go, gdy mi padał, nie czując ciężaru, jak matka nosi dziecko. Po całej nocy chodu, o świcie, pomnę, weszliśmy na plebanię do księdza starego, żądając posiłku i paru godzin snu. Drżał ksiądz i szeptał modlitwę. Nakarmił nas, wyklętych rewolucjonistów, przemokłych zbiegów napoił winem. Jedliśmy wtedy w milczeniu we trzech, patrząc sobie nawzajem w oczy i widząc na wskroś polskie, niewolnicze serca, naszą wylęklą, nadwiślańską dolę, mieszając trwożny posiłek z gorzkimi łzami. Śmieszna polska nędzo!

W zamian, kiedym ja w walce z wojskiem, na rogu wielkowiejskiej ulicy postrzał otrzymał w ramię, on mię „Marek” towarzysza wywłócił zaulkami — spomiędzy patrolów, wydzwigał na ramieniu, schował w izbie swojej.

Dzieci troje i żonę wysłał spać do ciasnej sieni, w łóżku mię swoim położył i leczył sam, żeby nie wzywać lekarza. Ukrył mię, ocalił wtedy, wywiózł chorego w daleką stronę.

Śmieszna polska nędzo!

Wydałem żandarmom ono tęgie braterstwo między nami dwoma. I wszystek nasz sekretny zamach, któryśmy razem czynili. I każdą myśl, zaprzysiężoną słowem męskim, naszym, honorem, głuchą tajemnicę, powziętą pospołu, gdyśmy nocami obaj w gorączce szepotali.

Śmieszna polska nędzo!

*mówi wyraźnie, schylając się nad uchem słuchacza, jak w czasie spowiedzi*

Oto tu leży „Rudolf”. To my zabiliśmy z nim generała żandarmów. Zdobyliśmy razem pocztę z wielkimi pieniędzmi. Wystrzelaliśmy konwój do nogi. W ucieczce jednego dnia leżeliśmy w zbożu dostałym, kiedy pościgi wojenne przerzynały wzdłuż i wszerz okolice. On, strudzony, spał kamiennym snem. Jam czuwał. Słyszałem głosy kawalerzystów, różniałem szczęk broni i tętent o kilkadziesiąt kroków od miejsca naszej kryjówki. Nie budziłem go, żeby spokojnie wypoczął. A gdy się ocknął, — pamiętam — twarz miał jak gdyby cudzą, maskę jakąś okrutną z gipsu, oczy w niej — płomienie jarzące. Skarżyć się począł na los nasz straszliwy, który nam rozkazał być mordercami z zasadzki dla tej, — mówił — dalekiej, dla tej — mówił — nie naszej, dla tej potomnej niepodległej Polski.

Śmieszna polska nędzo!

Wydałem wszystko, wydałem i tamtą chwilę do cna. Oto tu leży „Grzegorza” chłopski trup. Głęboko leży w zmarzniętej glinie. Torturami podarli mu ciało, gumowymi kijami odbili je od kości, porozrywali spoidła żeber, jako że się był zaparł do ostatniej kropli krwi i do ostatniego tchu. Nikt o nim nie wiedział nic, tylko ja jeden. A ja wiedziałem wszystko. Jam wiedział, jak go umieli zużyć ludzie, gdzie pchnęli jego ciemną wolę. Wyszedł z chałupy w ciemną noc, żeby się bić na śmierć o Polskę, a zawisł tu pod nazwiskiem bandyty.

Śmieszna polska nędzo!

Wydałem wszystkie jego straszliwe uczynki, całe dzieje wielkiego męstwa, z ciemnej niewiedzy wypływające. Przekręcił się teraz w ziemi, obrócił ku mnie zgniętą twarzą. Krople krwi jeszcze mu się toczą ze ślepiów po milczących, nagich kościach. Patrzy się oczodołami w moje oczy i pyta się mnie, co ludzie z jego duszą i z jego spracowaną ręką zrobili. Pyta się mnie, com ja z nim zrobił.

*nachyla się nisko, osłania usta dłonią, szepcząc*

Mistrzu! Pokażę ci, com sprawił najokrutniejszego. Odgarnę ziemię, rozedrę piersi tego chłopca, nieustraszone za życia. Pokażę ci jeszcze drgającą w nich ciemną, nieśmiertelną rozpacz...

BOŻYSZCZE

*dobywa pugi nałtu i krótkim błyskiem żelaza odpycha od siebie Anzelma*

O sobie samym mów do mnie.

ANZELM

Prawdę powiem. Powiem ci, gdy taka jest wola twoja, kiedym po raz pierwszy uczuł w sobie tę nową myśl.

BOŻYSZCZE

Strach ją w tobie długo płodził z nierządnej chciwości. Wyłuszc te dzieje tchórzostwa, przekupstwa, kłamstwa, rozwiąłości i zdrady.

ANZELM

Ty je znasz i wiesz. Ja je tylko uczuwać w dali... Po śnie ciężkim ujrzałem tę myśl. Nad ranem. W febrze. Wiosenny to był ranek. Chmura ciemna leżała na niebie. Za nią dołem, dołem zorza. Blade jakoweś kwiaty snuły mi się w oczach. Całe moje życie i jego wszystko znaczenie, sens mego bytu wcielony został w te kwiaty. Już mię wtedy skazali byli na powróż. Poprzez dwie drucziane kraty pozwolili mi ostatni raz spojrzeć na mego jedyne go syna, dziesięcioletniego Olesia. Wyciągnął do mnie drobne ręce, ale mi ich dotknąć nie dali. Patrzył we mnie poprzez oka druczianych krat nieopisanymi oczami dziecięcej boleści. Nad odrażającą mękę, nad jałowe próżniactwo duszy, nad brudny bezwład więzienia, nad strach i podłość wyczekiwania wyblęzło głuchonieme zdrowie, żywa żądza, ażeby naraz tego wszystkiego nie doświadczać.

Cicho a jasno, jak gdyby po nocy zorzeńka niebiańska, zjawiała się myśl, że można przecie uciszyć się i uspokoić widokiem cudzego cierpienia, którego sam nie będę doświadczał, że można się, jak w teatrze, nasycić obrazem tej samej bezsily, drżenia, upadku i agonii, co mnie samego targały, wiszącego na samotnym krzyżu — gdy ja z zakrytej łoży będę z dala, spokojnie, uważnie patrzył. Westchnąłem, nie wiedzieć jak, ku temu, żeby jeszcze zabijać, jakem zabijał poza tymi murami. Ujrzałem oczyma zmrużonymi od trudności dojrzenia tej sprawy — możliwość potęgi.

Jeszcze potęgi! Jeszcze teraz... Zobaczyc Olesia! Wziąć go na kolana, przytulić jego głowę do serca, spracowanego tak bez miary! Nie wiem, jakimi drogami dobiegłem do królewskiej w sobie wielkości. Powziąłem szerokość zamyśłu. Począłem snuć genialny plan. Rozwinąłem przed samym sobą obszar działania. Spozstrzegłem nowe życie i rozkochałem się w nowym dziele.

BOŻYSZCZE

Dowlokłeś się do drzwi, na których ręka nieżyjącego już więźnia kredą wypisała: tędy się idzie do wielkości ludzi podłych.

ANZELM

Czekali ludzie na moją podłość. Czyhali na nią pod moimi drzwiami. Nikt mię nie wsparł. Nikt nie zaprzeczył. Nikt! Byłem sam. A doświadczeni kupcy ludzkiej podłości stali dookoła. Ze stu kilkudziesięciu milionów ludu pogłówny podatek mieli w trzosie, dosuli<sup>20</sup> doń pożyczkę złotą, wyjętą z kas francuskich szachrajów. Dobrzy kupcy ludzkich sumień.

Książę! Wszakże wszystko można kupić za złoto. Jakże mu się miała oprzeć moja dusza? Pokazali mi kupcy wolność za uchylonymi Iwanowskimi Wrótniami<sup>21</sup>, pokazali mi synka małego, pokazali mi możliwość srogiego czynu. Dobili kupcy targu. Po to są kupcy, żeby sńiąca w człowieku podłość nie zamarała. Po to są, żeby zdrada na ziemi nie wygasła i żeby człowiek nie zatracił natury jaguara i żmii. Widziałem ich zimne oczy i żelazne ręce. Jedna ręka podawała mi — powróż, a druga ręka podawała mi — trzos nabity złotem. Wybrałem.

BOŻYSZCZE

A ja, którym jest zawsze czujny, slyszalem, zdążając w te miejsca, legendę o młodzieńcu. Imię jego było Paweł. Podano mu, tak samo jak tobie, powróż i — trzos. On wybrał powróż.

ANZELM

Ty, który wszystko pojmujesz, lepiej ode mnie wiesz, że bohaterstwo śmierci nie jest miarą doskonałą doskonałości duszy skazańca. Mężna śmierć jakże często jest zasłoną podejrzanej wartości życia. Młodzieniec, imieniem Paweł, nie miał moich doświadczeń, nie przeżył moich mąk, nie miał mego rozumu.

*schyla się nisko i szepce*

Ten chłopiec miał osiemnaście lat. Nie miał syna.

BOŻYSZCZE

Powiem ci wnet prawdę o synu. Mów jeszcze.

<sup>20</sup>*dosuc* (starop.) — dosypać, dolać. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*wrótnie* (daw.) — wrota; brama. [przypis edytorski]



ANZELM

Poniosły się w noc oczy moje, jak migotanie piorunu. Na kogo padły moje oczy straszliwe, ten umierał, jeśliś weń rzucił toporem niełaski. A kogo wzięły w zmiłowanie i ulaskawiły oczy moje, tegom skinieniem w progi życia wracał. Szły za mną modlitwy ulaskawionego, błogosławiły me imię i całowały piasek, po którym przeszedłem. Ten kraj, którym sobie z niczego wytężeniem woli utworzył, stał się moim mocarstwem. Państwo moje było szerokie jak Rosja, wysokie jak niebo, głębokie jak piekło. Stałem się równy Bogu i szatanowi.

BOŻYSZCZE

Stałeś się równy własnemu złudzeniu, a własne złudzenie mierzyłeś gruczołem mózgu.

ANZELM

Uczułem jak gdyby skrzydła drapieżnego kondora wrosnięte w moje ramiona. Któryż to władca był tak wszechpotężny, jak byłem ja, kondor reakcji? Car tylko tego śmiercią karał, kogo ja na śmierć spojrzeniem skazałem. Tylko tego miłosierdziem życia obdarzał, kogo ja ulaskawiłem. Albowiem ja jeden wiedziałem, gdzie burza w czarnej nocy czyha i kto piorun jej w dłoni hoduje. Byłem w pracowni kowala burzy terminatorem. Mogłem skazać niewinnego i mogłem znowu puścić na świat tego, co pięćdziesięciu bombą rozszarpał. Byłem żołnierzem rewolucji i, jak Napoleona, wyniosła mię rewolucja na krzesło potęgi. Po schodach z trupów wszedłem na szczyt. W piersi mej był pocisk nieubłagania. Nie lękałem się był mocarstwa władającego milionem żołnierzy, gdy byłem pacholkiem rewolucji, i nie uląkałem się zemsty rewolucji, gdy zostałem jej zdrajcą.

BOŻYSZCZE

Jednego wszakże nie mogłeś utrzymać w ręku.

ANZELM

Czegóż to?

BOŻYSZCZE

Sławy.

ANZELM

Sławy nie ma. Co dziś czczą — jutro depcą nogami. Niesława u jednych jest źródłem sławy u innych. Stado ludzkie uwielbia tego, kto je okrutnym kańczugiem smaga. Kto pochwyci w swe ręce prawo rozdawania policzków — budzi cześć i stwarza sławę swoją. Tę prawdę zdobyłem w nieubłaganej walce ze światem.

BOŻYSZCZE

I jeszcze jednej potęgi nie zdołałeś utrzymać w dłoni.

ANZELM

Czegóż to?

BOŻYSZCZE

Spojrzyj w mrok. Spojrzyj poprzez odległość dziesięciu lat i patrz w oczy swego syna.

ANZELM

Zniosę jego wzrok! Zniosę jego wzrok! Zniosę jego wzrok! Zatopią się jego oczy w moje oczy i wyczytają najstraszniejszą z ofiar nędzy.

BOŻYSZCZE

Łudzisz się. Pchnie on cię oczami z taką samą co do joty siłą, jaka się mieściła w twej „potędze”, kiedyś niewinnego posyłał na szafot.

ANZELM

Oleś! Oleś! Oleś!

BOŻYSZCZE

Wszelką prawdę może człowiek zdradzić na ziemi. Miarą wielkości cnoty jest głębia

Cnota, Zdrada, Dziecko,  
Sędzia

podłości jej zdrajcy. Za każdym światłem tej ziemi idzie Judasz lub Devadatta<sup>22</sup>. Może zdrajca wyprowadzić w pole najwybitniejszy rozum, najświętszą niewinność jadem swoim zatruć, łatwo mu zniweczyć tropy swego kłamstwa, odziać się kapą świętości i w spokoju pożywać owoce kupione za judaszowe srebrniki. Wszystko bowiem człowiek na ziemi oszukać może, lecz dziecka swego nie oszuka. Przyjdzie dziecko — za moim poduszczeniem — o niewiadomej godzinie i straszliwymi oczyma zajrzy w mrok tajemnicy. Jak najbystrzejszy szpieg rozzagnie w sekrecie fałdy kapy czcigodnej. Przyniesie nieznaną, wiecznie odmienną — za moim poduszczeniem — zgołą nową miarę idei i pocznę ją mierzyć w milczeniu. Stanie jak nieubłagany prokurator, jak niepodkupny sędzia. Spójrzy.

ANZELM

Niechaj mierzy! Pokaże mu jego nowa miara rany duszy mojej, krwawe moje lzy — i zwilgotnieją jego zmarzłe oczy.

BOŻYSZCZE

Będę cię kusił, zdrajco.

Ja, który, jak Mithra, posiadam tysiąc oczu, który widzę daleką przeszłość i najdalszą przyszłość, pokażę ci w przestrzeni czasu odmienne losy. Słuchaj! Ten, którego zgniła głowa woła na ciebie z ziemi, nie będzie, jak mniemasz, przez całą przyszłość leżał w mokrej glinie, na niesławnym pohańbienia ugorze. Wszystko się zmieni. Człowiek, nazwiskiem Traugutt<sup>23</sup>, człowiek, nazwiskiem Montwiłł<sup>24</sup> — dźwignie czaszkę ze skrwawionego wezłowią i wstanie dnia niewiadomego, żeby na zawsze, jak ryngraf tworzącej dumy, spocząć na piersiach najszlachetniejszych młodzieńców, żeby zasnąć na łonie wiecznej miłości najczystszych dziewcząt tego plemienia. Po latach oczy młodości goreć będą na wspomnienie niezłomnego milczenia Montwiłła, na wspomnienie jego odpowiedzi na indagację sędziów polowych: „Nie życzę sobie wam odpowiadać” — na wspomnienie jego okrzyków pod szubienicą do ostatniego tchu: „Niech żyje Polska niepodległa!”. Nadejdzie dzień, gdy skruszy się i ocknie niewdzięczne i okrutne serce w polskim plemieniu. Wspomni ono imiona więźniów samotnych, co w czarnej nocy ducha wskrzesili męstwo w milionach niewolników i za niepodległość kraju walecznie, dostojnie, wspaniale ponieśli śmierć. Przyjdzie tu lud niepodległy i odgarnie tę ziemię mogilną. Resztkę urwanego postronka, ocalałą na gardzielach, które w minucie szubienicy wołały o niepodległość duchów i ciał, poniosą we czci przed wielkim tłumem. Złożą je w świątyni ludu. Uczynią zeń znak najwyższego dostojęństwa, relikwię, herb. Na zaklętych grobach powstańczych i bojowniczych zasadzą różę czarującą — różę świętą, której kwiat urząd najwyższy ludu nadawać będzie, jako znak sławy, nagrodę za bohaterstwo, cnotę i geniusz. Wyznaczą dzień na pograniczu wiosny i lata, kiedy różę wypiją sok z prochów Toczyskiego<sup>25</sup>, z serca Okrzei<sup>26</sup> i kiedy wydadzą urok ich dusz nieśmiertelnie pięknych w obrazie nieśmiertelnie

Kwiaty, Piękno

<sup>22</sup>Devadatta — książę z rodu Sakiów, kuzyn i uczeń Gautama Siddhārthy, tj. historycznego Buddy, założyciela buddyzmu, który wystąpił przeciwko niemu, za co został potępiony i zniknął w czeluściach ziemi, trafiając do jednego z buddyjskich piekieł; podobnie jak Judasz w chrześcijaństwie, Devadatta w buddyzmie stanowi uosobienie występku, zdrady. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>Traugutt, Romuald (1826–1864) — generał, dyktator powstania styczniowego 1863 r., stracony przez powieszenie pod Cytadelą Warszawską. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>Montwiłł właśc. Józef Anastazy Mirecki (1879–1908) — socjalista polski, jeden z przywódców Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej (OB PPS), członek jej Wydziału Bojowego, organizator i uczestnik wielu zamachów; działał pod pseudonimami: „Montwiłł”, „Grzegorz”, „Bronisław”, „Sawicki”; zginął 9 października 1908 r., stracony na stokach Cytadeli Warszawskiej. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>Toczyski, Józef (1828–1864) — buchalter w administracji dróg bitych, księgowy w Towarzystwie Rolniczym; w 1846 r. aresztowany za działalność spiskową, w 1848 r. zesłany na siedem lat więzienia na Syberię; wziął udział w powstaniu styczniowym, pełnił funkcje: referenta kontroli Wydziału Skarbowego w rządzie Karola Majewskiego, następnie kontrolera Kasy Głównej przy Wydziale Skarbu, a od grudnia 1863 r. dyrektora Wydziału Skarbu w rządzie Romualda Traugutta; po aresztowaniu był więziony w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej; został stracony przez powieszenie 5 sierpnia 1864 na stokach Cytadeli Warszawskiej wraz z Romualdem Trauguttem, Romanem Żulińskim, Rafałem Krajewskim i Janem Jeziorańskim. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>Okrzeja, Stefan Aleksander (1886–1905) — robotnik, członek PPS, działacz niepodległościowy i socjalistyczny; działał również pod pseudonimami: „Witold” i „Ernest”; podczas ataku Organizacji Bojowej PPS na cyrkuł policyjny na warszawskiej Pradze (część akcji zamachowej na oberpolicmajstra Karla Nolkena) Okrzeja został aresztowany, następnie skazany na śmierć i powieszony na stokach Cytadeli Warszawskiej. [przypis edytorski]

pięknego kwiatu. W ów dzień iść tu będą z wielkiego miasta i z dalekich wsi pochodami długimi dzieci ze szkół, śpiewając hymny wolności. Niezgasła, wyzwolenicza pieśń, która sto lat kajdany dźwigała, unosić się będzie jak biały ptak nad ogrójcem różanym, lecieć między gałęzie tych drzew, we mgły nadwiśla, spadać na fale wolnej rzeki. Przechyste, małeńkie, różane usteczka dzieci wysławiać będą przez wieki wieczne te imiona w rytmach pieśni.

ANZELM

*z zuchwałym, grubym śmiechem*

Nigdy tego nie będzie na tym miejscu! Wiecznie tu będzie kaźń, wiecznie tu będzie żandarm pluł w ślepie „walecznych” polskich wariatów i zawždy<sup>27</sup> tu, pod szubienicą będzie defilował żołdat moskiewski.

ŻOŁNIERZ MOSKIEWSKI

*pochyla się nisko, kładzie trzykrotny znak krzyża z szeptem*

Gospodi pomiluj! Gospodi pomiluj! Gospodi pomiluj!

BOŻYSZCZE

Gdybyś miał zdolność widzenia dalekich lat świata, ujrzałbyś wielokroć, jak w ciągu jednej nocy budzi się ze snu duch narodu.

ANZELM

Ten naród nie ma ducha.

BOŻYSZCZE

Jakimże to sposobem wyłowisz tę śmiałą prawdę?

ANZELM

Panie! Widziałem rewolucję z wierzchu, od spodu, na wskroś i wgląb aż do samego dna. Włókna jej tajne wiązałem. Trzymałem w ręku jej postaw<sup>28</sup> i nici ostatnie. Gdy im się uchylili drzwi prowadzące na tamtą stronę, dokąd tyle lat wzdychali, nim próg minąć, spojrzeli sobie przede wszystkim w ślepie, kto ma najpierw dopaść krzesel kurulnych, urzędów, dostojenstw, tytułów, szczytów i dochodów. Drzwi otworem stanęły, a oni skoczyli sobie do gardzieli przed progami. Różni się nożami skrytobójczo, płacili mordercom od trupa — o to, kto pierwszy postawi krok ku wolnemu progowi. Ciemny zbójca zabijał po nocy, płatny pismak zabijał za dnia spodłalym słowem. Począł człowiek dybać na człowieka z dymiącą bronią. Banda zaczęła dybać na bandę — partia na partię. Ustała wreszcie moc tego, co ich jedno wiązało w społeczność — moc słowa. Wtedy to ktoś, a zda mi się, że to ty, o Bożyszczcze — zatrzasnął zniecka drzwi.

BOŻYSZCZE

Nie przenikasz i nie rozumiesz tych spraw. Mów jeszcze.

ANZELM

*w zadumie*

Widziałem miasto fabryk, kurzące się od dymu strzałów. Wówczas, kiedy byłem jeszcze pacholkiem rewolucji, otoczyło wojsko dom, w którym był nasz skład broni. Powziąwszy wieść, uciekł dozorca składu wprost z fabryki, tak jak stał, w zasmolonej koszuli. Uciekła żona z małym dzieckiem na ręce. Przez siedemnaście dni kryła się w polach jesiennych. Zostało w mieszkaniu dwoje dzieci kilkoletków. Zagarnęło wojsko dzieci. Bito podrostka, lecz zmilczał. Wodowano oboje po cyrkulach, a wreszcie puszczono ich samowtór<sup>29</sup> na wabia w ulice miasta. Na czterysta tysięcy ludzi nie było nikogo, kto by im łyżkę warzy<sup>30</sup> podał w ciągu tygodni. Żyły z rynsztoka.

*nachyla się ku słuchaczowi i szeptem*

Nabrałem głębokiej, nienasyconej pogardy do tego plemienia tchórzów, niewolników,

Rewolucja, Konflikt,  
Władza, Upadek, Obraz  
świata, Kondycja ludzka

Obraz świata, Hańba

<sup>27</sup> *zawždy* (daw., gw.) — zawsze. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> *postaw* — inaczej: sztuka (np. sukna); starop. jednostka miary tkanin, dzieląca się na 32 łokcie (czyli ponad 15 m), choć zależnie od regionu i okresu mająca różne przeliczniki (od 27 do 62, a nawet 64 łokci po ok. 52 cm); większą jednostką była bela, licząca 10–12 postawów materiału. [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *samowtór* (daw.) — we dwóch: osoba, o której mowa wraz z osobą towarzyszącą. [przypis edytorski]

<sup>30</sup> *warza* — gotący, gotowany posilek. [przypis edytorski]

karierowiczów i obłudnych deklamatorów.

BOŻYSZCZE

Chciałbyś własną swą hańbę na nich rzucić. A nikogo ci nie żal?

ANZELM

Nikogo! Posłuchaj tylko, jak cieszą się teraz, że zatrzaśnięte już drzwi. Wrócili do swej gnojówki po odtańczeniu partiami *country-dance*'a entuzjazmu. Kiedy my tutaj sądzimy i wyprowadzamy skazańców pod szubienicę, tańczą do białego dnia w Warszawie. Gadziny pismacze, które pluły w krwawą ranę rewolucji i jątrzyły jej ogień, teraz z bagniska swego podniosły uszczęśliwiony łeb, żeby pluć w zastygłe oczy skazańców.

Kogóż to mam żałować? Grobów tych niemych, wyklętych przez cały „naród”? Grobów, jeszcze żyjących w tym oto domu, które przeklina milczenie powszechne? „Partii”, rozsoplanych do ostatniego węzła, z których zostały na martwej, jałowej ziemi jeno plamy jadu czerwone albo białe? Rzesz ciemnego proletariackiego mrowia — „dyktatora przyszłości” — o którym mówi nasz mądry pułkownik, że za czasu rewolucji *prychłynulo*<sup>31</sup> do rewolucji, a teraz *otchłynulo* do ochrony<sup>32</sup>? Nie byli w stanie ować narodem swoim. Jedni — gonfalonierowie<sup>33</sup> karierowiczów — chodzili do wroga po zezwolenie tłumienia rewolucji, chępli się publicznie, że przelewali krew bratnią i zapowiadali wojnę domową. A słuchacze radośnie klaskali. Inni — socjalistyczny kler — chępli się, że mogą oligarchiczną mocą intrygi pchnąć na śmierć, na wygnanie, na głód — ciemny, nieprzygotowany do boju, bezbronny lud, byleby pysze swej dogodzić. A lud bezbronny szedł, gdzie kazano: na szubienicę, na katorgę, pod gumowe kije, cierpiał głód w wielkim strajku i wystawiał nagie piersi na kule w ulicach. Toczą teraz uczeni panowie głęboce<sup>34</sup> dyplomatyczne dyskusje o tym, w jaki sposób ów człowiek zбитy, zestrzelany, śmiertelnie chory, u którego łoża zasiedli, ma być pochowany. Nie otarli ludowi temu ani jednej łzy, nie dodali mu kęsa chleba, nie ujęli godziny męczarni trudu. Wydali go tylko na samowładzę fabrykancką, na stryk<sup>35</sup> i kańczug<sup>36</sup>. Duchu siły! Jestem nędzarz, który siłą ramienia zarabiał. Uwielbiam tylko fizyczną siłę. Jestem wyrazem i służebnikiem nie tylko potęgi caratu, ale również jestem wykonawcą woli narodu polskiego, takiego, jaki dziś na tej ziemi żyje. W milczeniu akceptował naród polski szpiegowskie prace moje. Kogóż to mam żałować? Nie ma w plemienu polskim ducha. Zagasili go panowie gasciele. Umie ono tylko rozpytywać złe swoje siły. Depce w wiecznym obłudzie własną moc.

BOŻYSZCZE

Chwytasz, szpiegu, stąd i zowąd strzępy prawdy, ażeby sobie sukienkę zeszyć i okryć nagość podłości. Nie wiesz prawdy o ludzcie polskim. Gdybyś wiedział o tym ludzcie, zapomnianym przez niebo i ziemię, wszystką boleść prawdy, pękłoby ci serce z rozpaczy.

Naród, Szpieg, Duch, Siła

<sup>31</sup>*prychłynulo* (...) *otchłynulo* (z ros. *хлынуть*: chlustać, rzucać się, wysypać się) — przychlusnęło (do rewolucji), odchlusnęło (do ochrony, tj. do tajnej policji): masy proletariackie traktowane są tu jak płynny żywiol, poddający się przypluwom i odpływom fal. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>*ochrana* — tajna policja w Rosji carskiej; pot. nazwa od: ros. *Отделение по охранению порядка и общественной безопасности*, tzn. Oddział ochrony porządku i bezpieczeństwa publicznego; utworzona w 1881 r. na mocy ukazu cara Aleksandra III, po zabójstwie jego poprzednika Aleksandra II (1818–1881); ochrona działała poprzez agentów (tzw. *filerów*), stosowała infiltrację środowisk i organizacji podejrzanych o nieprawomysłność, do jej taktyki jako służby specjalnej należało organizowanie prowokacji, z których najsłynniejszą i najbardziej brzemienią w skutki było stworzenie *Protokołów mędrców Syjonu*, rzekomo tajnej i ujawnionej publikacji zdradzającej plan opanowania świata przez Żydów; w Warszawie, podobnie jak w Moskwie, Petersburgu, Kijowie czy Odessie istniał osobny, rejonowy oddział ochrony z własnym zarządem; centrala zagranicznej agentury ochrony znajdowała się w Paryżu; ochrona została zlikwidowana w czasie rewolucji lutowej w 1917 r. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*gonfalonier* (z wł. *gonfaloniere*: chorąży) — wyższy urzędnik miejski (początkowo: zwierzchnik milicji miejskiej) we Włoszech w okresie średniowiecza i renesansu, kiedy miasta włoskie stanowiły osobne, niekiedy potężne republiki; w XVI–XVII w. byli to cywilni zarządcy miasta (burmistrzowie) i w miastach takich jak Bolonia czy Florencja rekrutowali się z najpotężniejszych rodów; tu: *gonfalonier* iron., w znaczeniu pierwotnym, tj. dowódca oddziału (tu: karierowiczów), noszący jego sztandar (*gonfalone*). [przypis edytorski]

<sup>34</sup>*głęboce* (daw. forma) — dziś: głęboko. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*stryk* — stryczek; sznur do wieszania skazańców. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*kańczug* — pleciony skórzany bicz z rękojeścią, wynaleziony w Anglii („kot o dziewięciu ogonach”), w Rosji carskiej, podobnie jak w Australii w początkach eur. osadnictwa na tym kontynencie, stosowany jako narzędzie chłosty. [przypis edytorski]

#### ANZELM

Ty wiesz prawdę. A ja byłem obcy w tym narodzie i obcy w tym narodzie był ten, którego zgniła twarz wykręciła się do mnie w ziemi i w którego sercu jeszcze drży rozpacz. Obcą nam była przeszłość i obcą była przyszłość. Urodziłem się w gnoju hańby z ojca tchórza, niewiadomego z nazwy rozpustnika i z matki sekretnej, dla zarobku na życie prostytutki. Chowałem się w zgniłym zaduchu piwnicy, pod obcasami majstra-dorobkiewicza, pod nahajką policjanta-kozaka, w cieniu nikczemnych obłud kleszej sutanny. Wywłócił mię z gnoju piosenką swoją marzyciel. Pokazał mi w długim, nocnym podszepcie złote łany pszeniczne, łąki kwiatem zarosłe, wielkie sprawy ludzkiego geniuszu, niepodległą ojczyznę, wolność ducha i ciała. Ale marzyciel łatwoczuający nie urodził się w gnoju hańby z matki ladaczniczy, nie przeżył dzieciństwa pod kułakami i plwociną, nie był nigdy poparzoną, skopany, bez prawa na legowisko psiakiem z podwórza, przybłądą, podrzutkiem z przytułku, ulicznikiem, którego rynsztok hoduje, przypadek karmi, a grzech weseli. Marzyciel z opisu i smutnego w przejściu wejrzenia znał dolę, nad którą ptak by zapłakał, a polskie serce nie płacze. Pchnąłem marzyciela żegadłem w piersi i stanąłem na nim, jak na pierwszym stopniu mych schodów, wiodących ku jasnym piętrom. Co bezprawie dziedziczy na mocy urodzenia, nie wiedząc o skarbie posiadanym, to ja, sztuka po sztuce, z nadprzepastną świadomością musiałem wysiepywać<sup>37</sup> dzielnym ramieniem, wydeptać ze stękania konających, męstwem przebiegłym wyrwać z pięści ściśniętych. Tak wszedłem na wierzchołek moich schodów, osiągając wolność, swobodę niezawodną ręki i swoją własną niepodległość. Swoją własną niepodległość — ha, ha! Nienawidzę imienia polskiego! Hańbę moją rzucam pod nogi idących jego pokoleń!...

Obcy, Bieda, Wygnanie,  
Błądzenie, Idealista

#### BOŻYSZCZE

Twa mowa w sercu moim zbudziła marzenia. Chcę wyjść spomiędzy was. Chcę być sam. Idź precz — słupie błota, synu piwnicy!

ANZELM *uchyla się w mrok wielkiego muru i w załamaniach Iwanowskich Wrót, w szumie drzew — znika. BOŻYSZCZE zbliża się do słupa szubienicy, opiera się nań piersiami, oplata go obojętnym ramionem. Czoło opiera na drewnie śmierci. Woła.*

Nocy!

*Wicher wyrywa z nocnych czeluści węzowisko głosów rozpacz.*

#### GŁOSY

Dajmonionie! Ty, który posiadasz miarę przestrzeni między nieskończonością pomyślu i nicstwem ziszczenia — o, mocny popleczniku naszego smutku w samotności!...

#### BOŻYSZCZE

Przybyłem znowu. Po ziemi tej zdyszczanymi piersiami leciałem z dala.

#### GŁOSY

Kapitanie, który czystości swej nie tracisz, przechodząc w poprzek złego i który masz naturę złota jednakową wszędzie i zawsze — usłysz krzyk naszej tęsknoty w pustkowiu...

#### BOŻYSZCZE

Poświście lochów, wicherze martwogłosy, dźwigaj z padolów ból niewysłowiony, leć w łuki nocy, potrząsaj niebiosy<sup>38</sup>, dzwoniąc chmurami za umarłe<sup>39</sup> w dzwony. Nędzo, co lejesz w kamienie lzy płone<sup>40</sup>, drzewa z konary<sup>41</sup> w pustkę ściągniętych<sup>42</sup>, krwawe mogiły, głębie wód zbroczone — wzywajcie o krzywdach ziemi.

#### GŁOSY

Sędzio! Połóż na sprawiedliwej szali pracę naszą skradzioną, męstwo nasze nadaremne i wytrzymałość naszego cierpienia...

<sup>37</sup>wysiepywać (gw.) — wyrzucać. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>niebiosy — dziś popr. forma N.lm: niebiosami. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>dzwoniąc (...) za umarłe — dziś: dzwoniąc za umarłych (tj. raczej: modląc się w intencji dusz zmarłych, przy czym modlitwom towarzyszy dźwięk dzwonów). [przypis edytorski]

<sup>40</sup>płony (daw.) — bezpłodny, jałowy. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>z konary — dziś popr. forma N.lm: z konarami. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>ściągnięty — dziś popr. forma: ściągnięty. [przypis edytorski]

## BOŻYSZCZE

Ja, który jestem prokuratorem, obrońcą, sędzią i katem własnego serca — stoję u szubienicy.

## GŁOSY

Ty, któryś jest wiekuiłą żądą wszystkości, któryś jest wieczny głód, daremnie pożądamy, któryś jest bunt, głęboko ukryty — ratuj serca zemdlale!

## BOŻYSZCZE

O, rodzie ludzki! Nie mogę stać się niczym innym, jeno człowiekiem. Widziałem był wszystko złe, które was od wieków pożera. Nienawidzę złego, które w was jest, aczkolwiek przez wieki patrzenia w złe zrozumiałem, ja, lekarz waszej natury, że jest onym twardym i grubym nasieniem, z którego, gdy minie długa zima i wiosna wasza nastanie, dobro wypuści kły. Spoglądam teraz w jaskinię wyolbrzymiałą, jak otworzelisko wielkiego oceanu, gdzie leży głuchy sen waszego żywota. Chcę, żeby się przed okiem bezsensnym otworzył zaczarowany sen ludzkiego żywota, jakoby się serce własne otworzyło moje. Na dnie niedocieczonym z kamiennego krzesiwa błyska znicz wykrzesany ramieniem nigdy niewypoczywającej siły życia — wola — nasienie i owoc miliona podźwignień trudu i miliona ciosów cierpienia.

Bądź pozdrowiony, zniczu! Płomyk twój wydłuża się w miecz i kurczy w sztylet, chowa się w siebie, śniąc o ciosach nienasyconych, czeka pośród dymu męczarni. Im dłużej czeka w męczarni sztylet woli, tym okrutniej pożąda pochwy ran. Im cierpliwiej, im bezsławniej, im podlej w siebie się włoży, w sobie samym zmieści i zamknie, tym straszliwszy stwarza w sobie wysiłek nienawiści. Oto jest dno. Nocy czarna! Odsłoń przede mną grube twoje zwoje. Będą patrzyły me oczy przeszywające w ukryte twoje skarby: w tajną pochopność do duszenia sprężystymi palcami słabej gardzieli — do walki — w nigdy niesytą chęć władzy, w ślepa, zamaskowaną wersetami doktryn żądzę wylewania krwi, w namiętność do złota i we wstydlive upragnienie rozpusty. Nocy czarna! Odkryj przede mną najcięższą zasłonę, zasłonę, za którą chowasz oczy bezsenne, rozwarłe, skostniałe, gdy patrzą w zgrzyotę zniweczenia zamysłu, w popiół wystygły ogniska idei, w zgniłość posępną zastoju, leżącą na miejscu bytowania wiecznej twórczości.

Nocy piękna! Owiń ramiona moje płaszczem wieszczym. Poniesie wicher twój skinięcia mych ramion przez otchłanie duszy ludzkiej. Wyciągam ramię. Nastrojam lirę — ja, odmieniający rzeczywistość, ja, który z miejsca popycham wystygłe sprawy, który powiększam rozmiary wszechświata, ja, co wyprowadzam z twardej gleby rozumu cudnobarwny kwiat marzenia, ja, skrzypek, wygrywający płomienistą melodię żądy niepokonanej.

Splywaj z mych ramion, niepokoju, trwogo, lęku! Splywaj z mych ramion wyciągniętych męstwo, postanowienie i ty, uczynku, wyrastający z rozpaczy! Przyszedłem na to plemię. Przypadam na nie dwojgiem skrzydeł, ja, zły sędzia, który wydają wyrok wbrew sądom świata, ja, twardy śmiech z obłudy i dosytu, ja, zamaskowany gniew, ja, chorągiew ognista w nocy!

Uderzam w ciebie skrzydłami, kostnico duchów! Tronie mój!

Pozywam cię, domu przekleństw na wielki pomysł, domu przekleństw na honor, na męstwo, na dumę. Kamienne urągowisko z bohaterstwa, raduje mię widok twój! Więźniowie, zamknięci w tym murze, o niewiadomej godzinie skazani na stracenie — czyli słyszycie mój okrzyk nocny: Niech żyje wolny człowiek! Spójrzycie w czarne lustro moje i wzmóście się obrazem tego, czym człowiek być może, czym nie jest, czym był niegdyś i czym być musi!

Kocham widziadła, które ujrzyście. Kocham subtelność waszego snu na jawie. Kocham dreszcz lodowaty o każdej porze dnia i nocy, zbiegający do waszych stóp — spłoszonych myśli pęd zdziczały — loty pamięci ku matce, ku dzieciństwu, ku miłości — zacieklą wytrwałość narodowej dumy, gdy ją policzkuje cios zbójcy — myśl waszą gorzką o obojętnej, niewolniczej, zamarłej ojczyźnie, na wskrós włócznie przebitą — i wiarę, że świt się począł, wplecioną w tortury koło. Kocham wasz dzień i waszą noc, trawioną w oczekiwaniu kroków, zwiastujących chwilę wyprowadzenia w to miejsce...

Pozygam cię, żołnierzu, który nosisz oręż po to, żeby nie walczyć nim nigdy, a rękoma płatnego zbira dusisz nieprzyjaciela powrozem o niewiadomej dlań godzinie. Synu ojczyzny, wyprowadzający w to miejsce samotnego człowieka bez broni...

Osądziłem! Niechaj zamiera, wygasa, kona wolność święta, miłość w łonie niosąca, piękna wiecznie. Niechaj nikczemne oszczerstwo toczy najczcigodniejszą sławę, podobnie jak robactwo toczy trupa bohatera. Wzmagaj się nienawiści sekretne, niewytrzebiona, równa sile życia i sile śmierci. Wzmóż się, ciemności! Rozszerz się, nędzo! Rozpostrzyj się wzdłuż — wszecz — wgłąb — stań się lotna i niewidzialna jak zaraza. Niechaj nadal giną z suchot matki, zżerane nocami od kaszlu, wśród ociekających murów piwnicy. Nie dajcie im ratunku! Niechaj nadaremnie, bezsilnymi dłońmi garną ku piersi, pełnej krwawych płwocin bezdomne dzieci. Niech przepada bezsilne potomstwo nędzarza wpośród milionowego miasta z chorób, z nędzy wylęgłych. Niechaj rośnie w rynsztoku i pośród zbrodni, brnąc przezczystymi stopkami w kale starego życia. Niechaj wyrasta na złodzieja, ulicznicę i szpiega.

Popatrzcie w czarne lustro moje, jak wzmaga się nieśmiertelna zemsta w piersiach młodzieńców, skazanych na jarzmo wiekuistej pracy, zwrócona przeciwko młodzieńcom, skazanym na próżnowanie wiekuiste. Splećcie się w koło, młodzieńcy skazani na jarzmo zbytku, podajcie dłonie dziewicom woniejącym od powszechnie uwielbianych cnót, przymiotów i modnych perfum. Nienawidźcie milionów motłochu, który czyha na wasze mieszkania, szaty i wonie, który cuchnie, rozwłóczy choroby, potworność najdzikszych zbrodni, niesie w oczach śmierć spojrzeń i wieczystość zemsty. Nienawidźcie sekretnie, bez wyrzeczenia o tym jednego wyrazu, zataczając do taktu czarodziejskiej muzyki uroczy tan żywota, w ogrodzie kwiecistym, wśród posągów, które dla was stworzyli posłuszni i usłużni artyści. Otoczcie się szpiegami, którzy wśród motłochu na pewno wytropią złoczyńcę. Klaskajcie w dłoń, gdy wrogowie śmiertelni waszego narodu dla bezpieczeństwa waszej zabawy wywłóczą o wczesnym poranku człowieka pod szubienicę. Jest to bowiem jedyny wasz wróg. To „bandyta”. Wdziecie kapę, złotem tkaną, na ramiona sługi bożego. Niechaj obchodzi w pokorze, szepcąc słowa modlitwy, siedliska i piwnice nędzy — głosząc nędzy ewangelię miłości względem bogaczy. Kurcz się i zżymaj, duchu człowieka. Zmieść się w skrytkach ogniotrwałej kasy, przytul się do puchów łoża zbytku, zostań za szybką lupanaru, cofnij się i czatuj w cuchnącym mroku piwnicy. Niechaj ci rosną pazury i kły!

ŻOŁNIERZ MOSKIEWSKI

*bije pokłon i żegna się krzyżem trzykrotnym*

Gospodi pomiłuj! Gospodi pomiłuj! Gospodi pomiłuj!

BOŻYSZCZE

Usłyszałeś mię wreszcie, ty, nabożny...

Będę cię kusił, ciemny morderco.

Pamiętasz ludzi, których pilnowałeś w więzieniu, gdy w kloace prali swe koszule, maczając je w urynie pomieszanej z ciepłą wodą spływającą ze ścian? Śmiałeś się wtedy z tych ludzi.

Pamiętasz izby więzienne we „frontach” cytadeli, gdzie kał wylewał się z kublów, a ludzie w nim brodzili po kostki, dusząc się i padając na błoto ziemi od straszliwego powietrza kaźni?

Tyś wtedy kłuł bagnetem tych, co stawali przy kratkach, nie pozwalając, żeby zachwycić mogli łżejszego z korytarza fetoru.

ŻOŁNIERZ MOSKIEWSKI

Gospodi pomiłuj!

BOŻYSZCZE

Pamiętasz więźnia wybladłego, Czarowica, któregoś kolbą łomotał, gdy nie mógł dźwignąć się z barłogu, a gdy go podnieśli litościwsi od ciebie, leciał im na poły martwy przez ręce? Pamiętasz go, gdy później szedł w godzinie przechadzki, a poznawszy cię, pozdrowił przyjaznym uśmiechem i wesołym skinieniem głowy? Czegoś się wtedy zląkł? Czemuś wtedy zadrzał od niepojętego dreszczu przerażenia?

Walka klas, Naród

Żołnierz

## ŻOŁNIERZ MOSKIEWSKI

Gospodi pomiluj!

### BOŻYSZCZE

Pamiętasz, jak ów więzień stał długo przed nagim murem i niezglębionego smutku pełnymi oczyma ścigał jesienne obłoki?

Rozmyślaj! Kiedy ty mężnie spełnisz swoją powinność, czeka cię nagroda od zwierzchności. Jeślibyś cnotliwie umarł, przyjmie cię w otwarte ramiona twój Bóg i usta twoje ucałuje Bogarodzica w nagrodę cierpień.

Rozmyślaj! Jego, samotnika, cierpień nikt nie liczy nigdzie, nigdzie! Nie ma nagrody na ziemi ni w niebie dla jego cnót. Jeżeli on służy cnocie swej aż do śmierci, to służy dla cnoty samej. Jeżeli padnie na ziemię od twojej kuli, jego ust nie ucałuje nikt. Nikt nie nagrodzi jego męstwa. On mężnym jest dla męstwa samego.

Rozmyślaj! Poza sobą on nie ma nic, co by czuwało nad jego okrutną dolą. W sobie samym musi mieć wszystko. Po coś tu przyszedł z rodzinnego siola za siódmą górą, za siódmą rzeką? Przyszedłeś, żeby strzelać w tłumy takich jak tamten, nieznanych ci, samotnych ludzi. Czemuś oddał wolność swoją dalekiemu despotcie? Czemu przebijasz bagnetem ludzi, których ci żal? Czemu pilnujesz skarbów, których nigdy na oczy nie ujrzysz? Dzięki tobie, stojącemu na mrozie, tańczą złoczyńcy w jasnych i ciepłych salach. Dzięki tobie konają na tej szubienicy ludzie, którzy cię chcieli wyrwać z niewoli. Serce twoje młode stało się siwe, zestarzałe od morderstw. Oczy twoje ślepe się stały i martwe na wszystko jak skała. Uszy twe słyszą tylko rozkaz mordowania.

Spodobała ci się taka dola. Zamiast odwracać sochą ziemię, wolisz bagnetem obalać ludzi. Zamiast pilnować czarnej chaty w dalekiej wsi, wolisz pilnować tego gmachu, siac trwożę, patrzeć w sprawy odrażające i przez szczelinę podglądać tajemnice dziejów świata. Umiesz już dobrze mordować. Wiesz, jak należy zadawać śmierć. Spojrzałeś w sprawy wielkie.

Ucz się pilnie, jak należy wbijać cały bagnet w serce Boga. Nie zapominaj tej sztuki!

Przyjdzie na ciebie czas. Gdy wszystką potęgę swoją tyran oprze na twoim bagnecie, unurzonym we krwi Boga, zwróci się bagnet twój przeciwko sercu tyrana.

Usłyszysz wtedy w sobie śmiech mój, który widzę wszystko, który widzę daleką zemstę podłego czynu.

Samotnik, Cnota



# SPRAWA PIERWSZA

*Cela więzienna. W głębi okno zakratowane, zabiłone wapnem, z wyjątkiem dwu szyb górnych. Drzwi z „judaszem”. Dwa łóżka przy ścianach, stolik i dwa krzesła. Na podłodze znać wydeptany w deskach szlak przekątny, którędy więźniowie machinalnie chodzą, biegają i błędzą z wolnego od sprzętów kąta pod oknem w wolny kąt przy piecu. CZAROWIC siedzi przy stole z głową opartą na rękach, ZAGOZDA chodzi po izbie. Obydwaj w kajdanach.*

ZAGOZDA

*śpiewa samemu sobie*

Ogarną me czoło twoje mury bezmierne, więzienie dalekie.

Znowu oczy utopię w mongolskim pustkowiu.

Znowu śmiech wasz zobaczę, o stogi wystygłych wulkanów dookoła katorżnej fortecy.

Znów mię ciągnąć wciąż będziesz ku sobie, mongolska granico.

Znów od stacji ostatniej pójdę, dzwoniąc żelazem, wpośród tłumu zbrodniarzy wiorst dwieście pięćdziesiąt.

Płonąc będą golenie i stopy od żelaza i kurzu przeżarte. Jak wtedy. Wiem, pustynio, ja wiem wszystko.

Będą tego łomotać kolbami żołdaci, kto z trudu na drodze upadnie. Znowu me wsta-wiennictwo bez celu, bez skutku. Znów za bunt skatować mię każe oficer. Jak wtedy. Wiem, pustynio, ja wiem wszystko.

I spać będę twardo w gorączce, na narach<sup>43</sup> zawsonych, wśród śmiechu tych, kogom bronili.

Pustynio, leżąca wokół głowy bezsilnej. Upały straszliwe wśród kaźni. I wy, mrozy okrutne. Strzelnice, wpuszczone do kaźni z sufitu, by widzieć z wysoka bunt w celi i krzyżowym go ogniem w zarodku wystrzelać. Ty, śmiechu straszliwy tyrana. Ty, jęku ostatni nędzarza. Wy, głuche Iwany Sybiru.

Słyszycie mą polską śpiewankę: Ja was się nie lękam! Ja przyjdę z uśmiechem po wtóre.

Ty „szara kobyłko” więzienna, ty ludku przeklętej od świata niedoli, w chomąta więzienne wprzężona.

Ja przyjdę z uśmiechem po wtóre!

Jak wtedy zawładną wszem ludem Iwany zbójcekie. Rząd będą sprawować. Pochwycą w swe dłonie ster władzy, pieniądze i żywność. Gotować nam będą sosnowe polana na rosół, a zyski schowają do trzosa. Będziemy powoli zamierać. Będziemy pieśń śpiewać żalona. Bo jeśli szepc spisku posłyszają Iwany sybirskie — nóż w serce.

Znów ujrzę z uśmiechem pogody wzór świata w twych murach niezmiernych zamknięty — Akatuj, Akatuj... Aż wstanę. Pchnię mię z miejsca dziedzictwo, tarcz moja, pióropusz: tworzący mój czyn. Zlepię spisek tajemny z nędzy ludzkiej więziennej. Uzbroję go w noże. Uderzę wstępny bojem w Iwany. Każę wykluc do nogi tyranów nieszczęścia. Znów z uśmiechem pogody nadam memu ludowi konstytucję rozległą. Słuchać będę z uśmiechem pogody, jak z prawa referendum szary ludek korzysta, jak wybiera parlament, burzliwie sejmuje, ministerium ze siebie wylania i niezłomną obręczą osacza zwierzchnictwo więzienne.

Akatuj...

Grube mury dokoła. Blanki strasznej trwałości.

Lecz mocniejsza od murów jest ma dusza samotna. Z samej siebie ma dusza tarcz swoją, kask własny — osłonę samej siebie ma z siebie. Moja dusza pogardziła cierpieniem. Moja dusza podeptała żal, gniew i pogardę.

Krótki jest miecz cierpienia i mej duszy nie może dosięgnąć przez tarcz moją, przyłbicę, przez żelazne osłony mych ramion. Długowieczne jest zdrowie mej duszy, którym<sup>44</sup> wzgardził rozkoszą i wzgardził zgryzotą. Wyjdę znowu na twe mury po wtóre, ja zdrowy — Akatuj, Akatuj...

<sup>43</sup>nary (daw.; tylko lm) — wykonane z żerdzi lub desek miejsce do spania, niekiedy piętrowe, prymitywne łożo. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>którym wzgardził — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika, inaczej: który wzgardziłem. [przypis edytorski]

Pocznę z braćmi po nocy złobić komin tajemny w twoim murze niezmiernej grubości. Wasza grubość, o mury, raz się przyda więźniowi. Bo im grubsze są mury — przestronniejszy nasz komin. Aż spod dachu kuć będziem<sup>45</sup> nocami na wskroś komin ku ziemi. Głuche cegły wylupimy rękoma, suche wapno wyskrobiemy szponami, wyniesiemy gruz ostry w rękawach, na piersiach, pod połami więziennej opończy. Zimne twoje kamienie wyważymy po nocy palcami krwawymi. W czarną sztolnię na powrozie skręconym o północy kolejno iść będziem. Przewiercimy twe ściany z góry na dół aż do ziemi okrutnej sybirskiej. Ziemię głuchą podkopiemy chodnikiem tajemnym na sążni piętnaście. Wyniesiemy twą ziemię w rękach, na ciele, za pazuchą, pod sukmaną więzienną. Wydrapiemy twą ziemię, o sztolnio ucieczki, wymoczymy ją potem, wygryziemy zębami. A gdy droga podziemna poza mury wybiegnie i ku sopkom<sup>46</sup> wulkanu się zbliży — wskaże zdrajca tajemnicę setki nocy za pieniądź. Jak wtedy — o ma duszo — jak wtedy.

Wejdzie wojsko po nocy. W puste cele bagnetem uderzy. I wywleką nas z nory jak kretów. A postawią nas rzędem popod ścianą niezmierną. Pod twą ścianą szyderczą i zimną — Akatuj, Akatuj...

Witam twoje milczenie, o zagrodo straszliwa. Witam siłę twą martwą w pustyni. Przyjdę wesół i czerstwy. Przyjdę twardy i młody, jako ty, niezwalczony — Akatuj...

CZAROWIC  
Co ty śpiewasz?

ZAGOZDA  
Nic ciekawego.

CZAROWIC  
Noc znowu.

ZAGOZDA  
Noc.

CZAROWIC  
Nuda...

Nuda

ZAGOZDA  
Staraj się koniecznie wytracać w sobie nudę przez cierpliwość, obojętność, skupienie wewnętrzne i rozważanie logiczne. Inaczej nie zniesiesz wszystkiego.

CZAROWIC  
Cierpliwość, obojętność, skupienie, rozważanie... Czy jest co gorszego nad nudę więzienną, nad miesiące, kwartały, półrocza, lata nudy?

ZAGOZDA  
Wydaje mi się, że jest wiele rzeczy nieskończenie gorszych.

CZAROWIC  
Mianowicie?

ZAGOZDA  
Po pierwsze — choroba fizyczna, jeżeli wyrok opiewa: „z pozbawieniem lekarza i prawa do lekarstwa”.

CZAROWIC  
Jeżeli choroba z gorączką, jeżeli przytomność umysłu jest zniweczona, to choroba fizyczna staje się dobrotliwym skróceniem czasu.

ZAGOZDA  
Paradoks. Po drugie — niepokój ducha wywołany przez wyrzuty sumienia.

CZAROWIC  
No, a cóż jeszcze, co jeszcze?

<sup>45</sup>będziem (daw., gw.) — skrócone od: będziemy. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>sopka (z ros.) — wzgórze wulkaniczne. [przypis edytorski]

ZAGOZDA

Po trzecie — tęsknota, której przedmiot nieustannie i nieuchwytnie ucieka w dal.

CZAROWIC

No, a jeszcze?

ZAGOZDA

Wydaje mi się, że reszta jest już lepsza od nudy więzienia. Machiavelli utrzymywał, że nuda gorsza jest niż troska, niż nędza, niż rozpacz, niż choroba, nawet niż śmierć. Lecz to włoska przesada. Nuda więzienna może być skutecznie znieczulona przez cierpliwość i obojętność. Skupienie wewnętrzne i jak najściślejsze logiczne rozważanie poza pancierzem cierpliwości i obojętności wytworzyć może w przestrzeniach nudy wartości wyższego porządku. To, co nazywamy pospolicie nudą, powinniśmy przeistaczać na przymiot duszy, nieznanym ludziom chodzącym na świecie w wolności.

Nuda, Więzień

CZAROWIC

Szkodliwi wy jesteście, szkodliwi niewymownie, ludzie, którym wszędzie dobrze!

ZAGOZDA

A szkodliwi dla kogo?

CZAROWIC

Dla siebie i dla świata.

ZAGOZDA

Ludzie, którym wszędzie dobrze, nie są bynajmniej szkodliwi, ani dla siebie, ani dla świata. Żywi się świat i poi wesołością tych, którym wszędzie dobrze. Są oni jak halny wiatr w Tatrach, któremu dobrze jest na iglicach szczytów i dobrze w padołach niziny. Gdyby nie ci ludzie, świat by się zatęchł w ociążałym, przydługim, ciepłym spokoju.

CZAROWIC

Dobra jest cicha, spokojna, do logicznych rozmyślań pobudzająca cela więzienna. Dobra była indywidualna cela cytadeli, dla każdego dziedzica polskiego indywidualizmu osobna — jedyna niewątpliwa własność polska — i dobra jest cela gromadzka, powstała w miarę rozwoju wyobrażeń socjalistycznych, nie moja, ani twoja, ale nasza, gminna, ratuszowa. Dobre są kajdany — i dobry szeroki gościniec sybirski. Dobra jest ojczysta troska, która nie zapomniała przysłać nam podkajdanków, wytańczonych z entuzjazmem przez najlepsze narodowe nogi, żeby nie do samej kości żarło moskiewskie żelazo.

Więzień

ZAGOZDA

Dobre są kajdany. Jakoby stylus ostrokończysty, jakoby igła magnezowa biegają po ciele ułomnym wciąż, tam i nazad, tam i nazad, wskazując wieczny cel i pisząc na nim, żłobiąc głęboko prawdę niezmienną.

CZAROWIC

Piszą tę ohydłą prawdę niezmienną: spełniło się!

ZAGOZDA

Czyliż nie to się właśnie spełniło, o czym tylekroć głosiły twe usta? Zakuto cię w kajdany. Przestałeś wreszcie być szlachcicem z rodu i pochodzenia, filistrem z przyzwyczajień, inteligentem, quasi-robotnikiem, odzianym *en bourgeois*. Stanąłeś w rządzie tych, co mają z rodu i przeznaczenia ręce, jak korzenie, a sami podobni są do pniów i konarów, którzy idą za nami krok w krok, wielką rzeszą, wołając raz wraz: idziemy za wami, my, krzywda!

CZAROWIC

Czyliż tym rzeszom niezbędnie jest potrzebne moje męczeństwo?

ZAGOZDA

Człowiek w miękkie szaty odziany to co innego niż człowiek w przepoconej koszuli, w brudnej sukmanie i cuchnącym kożuchu. Mularz z rękoma chropawymi od zaschłego wapna i parlamentarny mówca z atlasowymi dłońmi — to tylko na pozór ta sama fałanga ludu. Socjalistyczny poseł do parlamentu, pobierający dziesięć rubli czy guldenów

Pozycja społeczna, Idealista

dziennie, i nędzarz ze zdartymi od pracy dłońmi, głosujący posłusznie na parlamentarnego towarzysza, to zabawne kłamstwo towarzyskie. Nareszcie nikt ze skrzywdzonych nie będzie mi niczego zazdrościł. Na mój honor proletariacki — niczego! Nikt nie wyrzekł się więcej niż ja. Ani jeden proletariusz nade mnie! Spoilem się kajdanami z proletariatem, odkupiłem duszę swoją od szatana — i już żelaznej mocy tego spoidła nic na ziemi nie rozerwie. Nawet zimna w Sybirze mogiła. Tak to będzie razem — słowo i czyn.

Poświęcenie, Robotnik,  
Idealista

CZAROWIC

Czyliż dotychczas nie byłeś z nim spojony? Trzy lata *Krestów*, osiem lat wygnania na najbardziej dalekim osiedlu ludzkim, ciężkie roboty, dwuletnia, bezsenna praca w ogniu rewolucji, wyrzeczenie się prawa do izby, do łóżka, do własnego surduta, butów i czapki, wyrzeczenie się imienia i rodowego nazwiska? Jeszczeż ci mało, niewolniku poświęcenia?

ZAGOZDA

Słowo „niewolnik”, zdaje mi się, nie pasuje do mnie. Nie byłem niewolnikiem nazwiska, domu, izby, łoża, czapki, surduta, butów. Nie jestem również niewolnikiem poświęcenia. Zaraz tego dowiodę.

CZAROWIC

Nie dowiedziesz tego, żebyś nie był niewolnikiem naszego sposobu działania. Musisz działać tylko tak, a nie inaczej. Nasze idee zdążają wciąż tą samą drogą, prowadzącą nie do zwycięstwa, lecz do kajdan. Zaczynając naszą pracę, wiemy jak przez sen, że nie my przerobimy nasze idee na siły twórcze, żywe, funkcjonujące jak maszyny, lecz wciąż sennie pamiętamy o tym, że idee zwyciężą nas i podadzą nasze ręce w bezużyteczne żelaza. Tu jest rdzeń naszej niewoli.

ZAGOZDA

Na pozór wydaje się, że masz słuszność, a przecież, dzięki temu właśnie biegowi spraw, zdobywamy naturę wichru halnego, stajemy się wyzwolencami z niewolników ziemi, szerzymy dziedzinę ducha. Niewolnicy ciała wiążą nam co prędzej ręce i nogi, gdyż im się zdaje, że wiążą i niweczą naturę ducha.

CZAROWIC

Nie możesz zaprzeczyć, że jesteś fanatykiem ideału cierpienia.

ZAGOZDA

Mylisz się. To, com przeżył w więzieniach, w tundrze, w rewolucji nie zawierało większej ilości cierpienia niż normalne życie innych ludzi w puchach, atlasach, kortach, wśród balów, dorabianiu się, urzędowań. Były to epizody mego życia, rozdziały pięknej tragedii. O ileż nieszczęśliwsi ode mnie byli chorzy milionerowie, biedni niewolnicy złota w Monte-Carlo i wszyscy ci, którzy idą za zyskiem. Tymczasem ja byłem niejednokrotnie głęboko szczęśliwy. Jakiś list z kraju, pamięć kogoś z dawnej gromadki młodzieńczej... Byłem sam — w lasach, wobec ogromu pustkowi, wobec tamecznych niezmiernych rzek, wobec szeroko jak niebiosa rozpostartych jezior. Pragnę jeszcze raz zobaczyć sybirskie jeziora. Zaniósłbym im teraz nową, groźną wieść o rodzie ludzkim. Często widzę we snach tamte wody. Błękitna ich toń splywa na serce moje cichą pociechą. Czy też wiatr znad tamecznych wód zaprzeczy moim wieściom, zaśwista mi jeszcze nad uchem dawną piosenkę: słuchaj, na ziemi rodzinnej już wszystko teraz inaczej, inaczej, inaczej! Już wstała ze snu świętość. Już wyciągnęła wszechmocne ramiona...

CZAROWIC

Chcesz żyć w złudzeniu. Wolisz to niż własnymi rękoma przekształcać to zbiorowisko szaleńców i ślepców.

ZAGOZDA

Wyzucie się z wszelkich dóbr, z morgów, nadwartości, domów, mebli, odzieży, zabaw — prowadzi do równowagi sił, do władania sobą, do wewnętrznego spokoju i do potęgi. Gdym sam jeden stanął wobec ogromu potrzeb, znikły powoli potrzeby jedna za drugą, a ubywanie każdej z nich karmiło ducha i dawało mu obleczenie wesela. Trwały w moim życiu czasy, gdy byłem potężnym, samotnym duchem. Tamtejsze sybirskie puszcze —

czyż są? Moje, którym je przemierzył, przejrzał i uczuciami wziął w duszę. I ta ziemia wszystka jest moja. Wywalczyłem, podbiłem i wziąłem w posiadanie obydwie. Jestem królem tu i tam.

CZAROWIC

Złudzenie. Stare, znane światu złudzenie. Stara, znana światu samoobluda. W jednym z pokojów Watykanu widziałem napis nade drzwiami: *Servire Deo — regnare est*<sup>47</sup>. Złowieszczy paradoks, pisany może ręką fanatyka, który się świata wyrzekł z zapalem Savonaroli<sup>48</sup>.

ZAGOZDA

Nic nie wskórasz tym porównaniem. Czyliż nie widzisz, jak człowiek nowoczesny usiłuje wydrzeć się ze swego ciała, wylecieć ze swej skóry, wyrosnąć na ducha i olbrzymimi pracami ponurą ziemię przemienić na radosne niebo?

CZAROWIC

Czekaj, aż ci z ziemi wyrosną niebios!...

ZAGOZDA

Świat rozpada się na dwa odłamy: na obozowisko widziadeł wydzierających się w niebo i na królestwo roślin coraz bardziej wrastających w ziemię. Lecz coraz więcej z królestwa roślin wyfruwa motylów ducha. Każdy z nich staje się królem. Świat nowoczesny zmierza do tego, iż będzie areną czynów władczych. Bezsilny poeta, samotny, chory chłopiec, Keats<sup>49</sup>, który na pewno nie rozkazywał służącemu, jest niewątpliwym władcą świata na przeciąg wszystkich wieków jego trwania. Nikomu nieznanym wynalazcą może w tej chwili, gdy to mówimy, wynajduje sposób opanowania mocarstwami ziemi. Niegdyś tylko monarcha miał prawo do niezgadzania się na porządek świata, sprzeczny z jego wyobrażeniami, dziś prawo to chwytą w dłoń oświecona jednostka.

CZAROWIC

Naród nie może przeistoczyć się w obozowisko widziadeł takich jak ty. Ludzie muszą uwielbiać życie, rozwijać celowo siły, kształtować czyn, tworzyć bogactwa, zdobywać je dla pięknych kobiet i wśród powodzenia używać owoców pracy. Z tego się tworzy kultura ziemi.

ZAGOZDA

Nie wiem, co to jest naród.

CZAROWIC

Naród jest tym, co w zbiorowiskach ludzi na globie ziemskim jest najbardziej istotnego, najściślej prawdziwego. Bytowanie narodu jest najistotniejszą prawdą i najgłębszą tajemnicą. Uczucie miłości dla narodu swego jest niepojęte a niespożyte, tak samo jak uczucie miłości dla rodziców i rodziców dla dzieci. Podobnie jak w nas żyje nasz ojciec, dziad i pradziad, tak samo w narodzie żyje wiecznie i trwa jego przeszłość, prężą się siły, czyny, żądze i idee naddziadów, wierzycie wstające z martwych. Podobnie jak drży serce wobec grobu rodziców, drży serce wobec niezgłębionej przeszłości narodu.

ZAGOZDA

Powtórz to czujące słowo Rusinom we Lwowie, Litwinom w Wilnie...

<sup>47</sup> *servire Deo regnare est* (łac.) — służba Bogu jest tym samym, co władanie. [przypis edytorski]

<sup>48</sup> *Savonarola, Girolamo* (1452–1498) — wł. reformator religijno-polityczny, kaznodzieja; krytykował papieństwo, podważając doktrynę o nieomylności papieża w sprawach wiary, a także atakując szerzący się w Kościele nepotyzm, przekupstwa, lichwę, upadek moralny większości duchowieństwa (Savonarola był współczesnym papieża Aleksandra VI); cenil go Niccolò Machiavelli jako godną szacunku i wybitną jednostkę, której udało się przykładem własnego wstrzemięźliwego życia oraz naukami zjednać tłumy; przez Kościół katolicki Savonarola uznany został za heretyka i schizmatyka oraz skazany na śmierć, wyrok wykonały władze miejskie Florencji 23 maja 1498 r.: wraz z dwoma towarzyszami skazaniec został publicznie powieszony na szubienicy, następnie ciało spalono na stosie, a prochy wrzucono do rzeki Arno, aby nie pozostały po nim relikwie; święty kościoła anglikańskiego i mariawickiego; w kulturze polskiej funkcjonuje także spolszczona wersja jego imienia: Hieronim. [przypis edytorski]

<sup>49</sup> *Keats, John* (1795–1821) — twórca zaliczany do drugiej generacji ang. poetów romantycznych (wraz z Byronem i Shelley'em), cieszył się dużą sławą już za życia, mimo że jego utwory zostały opublikowane zaledwie cztery lata przed śmiercią i niechętnie przyjęte przez krytykę; zmarł 23 lutego 1821 r. w Rzymie na gruźlicę. [przypis edytorski]

CZAROWIC

Przede wszystkim muszę je powiedzieć tam, gdzie je czuję istotnie i najgłębiej, to znaczy zdeptanemu narodowi polskiemu.

ZAGOZDA

Ja należę do ludu wszystkim, co we mnie jest z ducha. Nie chcę uznać w sobie i kulturować świadomości dziedzictwa przemocy, tradycji gwałtów nad ludem. Dawno ze siebie tę roślinę wyrwałem i zdeptałem nogami. Nie chcę należeć do narodu, jeżeli do niego należy prawo tyranii i gwałtu nad ludem. Tam, gdzie stoi ostatnia zagroda nędzarza, mówiącego z prawiaków chłopską swoją, polską mową, biegniecie teraz po ratunek, aby wam zgniły jego barłóg wytknął granice państwa, gdy was zawiodły wszystkie pańskie wymysły: racje stanu i stany posiadania. Wpatrujcie się oczyma ślepymi z bólu w mądrość i moralność panów z Berlina, Petersburga, Wiednia i Pesztu, ażeby ją wszczepić w siebie. Ale polityczne szalbierstwa myśli o wyższości Niemca nad Polakiem, Polaka nad Rusinem, Madziara nad Chorwatem i Słowakiem — mijają w czasie. Lud zostaje wiecznie. Przetrwiał Rzymian, przetrwał Niemców i Madziarów. Mija Cezar, Barbarossa, mija Moskal Murawiew<sup>50</sup> i Niemiec Bismarck<sup>51</sup>. Lud zostaje wiecznie. Pozdrawiam was, biedne słowiańskie wioski między Bałtykiem i Adriatykiem! Usłyszą kiedyś panowie w Berlinie, Wiedniu i Peszcie, którzy się waszym trudem chłopskim żywią od wieków, wzgardzoną waszą mowę! Odpowiedz mi — pod jakąże to chorągwią mam stanąć ze stańczykiem<sup>52</sup>, ugodowcem, z ugodo-endekiem<sup>53</sup>, którzy znieważają wszystko, za co ja wydałem życie na tyle ran? Co mnie — oprócz języka — z nimi łączy?

CZAROWIC

Dola polska.

ZAGOZDA

Nie uznaję doli! Jestem szermierzem wiecznie walczącym. Walczę z ideami, z tłumami wrogów i z tłumami tych, za kogo walczą. Nie poddaję się wrogowi nigdy! Przenigdy! Za żadną cenę nie wejść z nim w kompromis, nie ustąpię mu ani jednego z mych żądań, ani jednego strzępa<sup>54</sup> mojego świętego sztandaru! Ciągnę pług ku niezoranym rolom, których nieszczęsny lud orać nie umie. Idę ku nieznanemu światu. Gdy ów świat zostanie odkryty i zaorany, zjawia się tam tłumy waszych eksploatatorów, konkwistadorów, handlarzy i, na zasadzie racji stanu i stanu posiadania, obejmą go w dziedzictwo. Nie masz wątplenia. Ale wówczas przyjdą inni, oracze i pastuchy przyszłości, którzy się wydrą z oczystych klet i pójdą ku nowym rolom. Nie uznaję doli. Kiedy w Wilnie zamknięty byłem

Lud, Naród, Polak

Rewolucja, Idealista, Walka,  
Więziń

<sup>50</sup>*Murawiew, Michaił Nikolajewicz* (1796–1866) — konserwatywny, nacjonalistyczny polityk ros., hrabia, uczestnik wojen z Napoleonem I (1812–1814), ranny pod Borodino; jako urzędnik carski (wicegubernator witebski 1827, gubernator mohylewski 1828, gubernator grodzieński 1831, gubernator kurski 1835, gubernator wileński 1863) dążył do unifikacji podległych mu prowincji, dawnych ziem Wielkiego Księstwa Litewskiego z Rosją, zwalczając przy tym wszelkie wpływy polskie w 1863 mianowany generał-gubernatorem na Litwie, z nieograniczonymi pełnomocnictwami i zadaniem stłumienia powstania styczniowego; stosował odpowiedzialność zbiorową i terror, zyskując przydomek „Wieszatiel”. Brał udział w tłumieniu powstania listopadowego na Litwie. W 1835 r. został mianowany . Zasłynął tam skutecznym ściąganiem zaległości podatkowych. Wyrobił sobie opinię urzędnika bezwzględnie egzekwującego wszelkie obowiązki państwowe, stosującego przy tym twarde metody postępowania. W 1839 r. został członkiem tajnej rady cesarskiej i dyrektorem departamentu podatkowego. W 1842 r. otrzymał godność senatora i otrzymał kierownictwo korpusu geodezyjnego. W 1849 r. wszedł do Rady Państwa otrzymując jednocześnie stopień generała lejtnanta. W 1857 r. został ministrem dóbr państwowych. Już w latach 30. i 40., działając w Komitecie opracowującym nowe sposoby zarządzania chłopami skarbowymi, był zwolennikiem utrzymania poddaństwa chłopów. Teraz również sprzeciwiał się przygotowawczej reformie włościańskiej. Gdy nie udało mu się zapobiec projektowi objęcia uwłaszczeniem również chłopów państwowych, podał się jesienią 1862 r. do dymisji. generał-gubernator wileński w czasie tłumienia powstania styczniowego (1863–1865). [przypis edytorski]

<sup>51</sup>*Bismarck, Otto von* (1815–1898) — niem. polityk konserwatywny, jako premier Prus doprowadził do zjednoczenia państw niemieckich (1871), w powstałej Drugiej Rzeszy pełnił funkcję kanclerza; prowadził pozbawioną sentymentów politykę z pozycji siły, zyskując miano Żelaznego Kanclerza. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*stańczyk* — członek konserwatywnego stronnictwa w Galicji, reprezentującego program umowy wobec Austrii, sprzeciwiającego się ruchom wywoleńczym, niepodległościowym; na przełomie XIX i XX w. krakowscy konserwatyści skupieni byli wokół czasopisma „Teki Stańczyka”. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>*endek* — zwolennik a. członek Narodowej Demokracji, partii polit. na początku XX w. opowiadającej się za działaniami legalnymi w ramach cesarstwa rosyjskiego, członkowie endecji byli posłami w ros. Dumie, podobnie jak galicyjscy „stańczycy” w parlamencie Austro-Węgier. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*strzępa* — dziś popr. forma: strzępu. [przypis edytorski]

w więzieniu, znieważył przy mnie towarzysza oficer żandarmerii. Znieważyłem żandarma. Rzucił się na mnie i wymierzył mi policzek. Rzuciłem się na niego, powaliłem na ziemię i spoliczkowałem. Soldacką siłą wrzucono mię do ciemnicy na dwa tygodnie. Nałożono kajdany. Ciemnica — była to ocementowana jama pod ziemią. Okienko miała w górze. Po dziesięciu dniach spadłem z ciała i nie mogłem ruszyć się z barłogu. Bransolety kajdan przesuwają mi się lekko po całej ręce, aż do ramienia. Gorączka mi spaliła ciało. Nic nie jadłem. We snach, które mię wtedy nawiedzały, pamiętały mi się jeno słowa dewizy naszego starego herbu: „Nikt nade mnie!”...

CZAROWIC

z ironią

Tak — trudno nam jest zapomnieć o herbach...

ZAGOZDA

Ani jeden proletariusz nade mnie! Jestem pas transmisyjny, który w ruch puszcza koła i tryby nowego świata. Gdybym ja stanął, stanąłby świat.

CZAROWIC

Ciemnica... Ciemnica... Pamiętasz nadokienny tryptyk Rafaela w Watykanie? Uwolnienie świętego Piotra z więzienia. Trzecia część, gdy święty wyszedł już z ciemnicy i ma zstępować ze schodów w towarzystwie anioła... Wspomniało mi się teraz, gdyś mówił, owo braterstwo człowieka z aniołem, stowarzyszenie się ich dwu, ramię w ramię. Święty Piotr idzie radosny nie dlatego, że staje się wolny, lecz dlatego, że idzie z aniołem. We fresku tym pokazana jest radość wypływająca ze świętości, pokazane jest to właśnie, czym jest świętość. Wychodzić z więzienia w towarzystwie anioła, zstępować ze schodów do niezmiernych, nowych, boskich prac! U ramion wyrastają skrzydła... O, radości! Powiedz mi — wszak widziałeś zenit rewolucji, przeżyłeś na dnię moskiewskiego więzienia najczarniejsze godziny niewoli, czy wyjdzie kiedy Polska ze swego więzienia w towarzystwie anioła, żeby zstąpić do niezmiernych, boskich prac?...

Więzienie, Wolność, Anioł,  
Święty, Polska

ZAGOZDA

Polska! Wieczny „romans” Mochnackiego... A jaka jest główna intryga i wewnętrzna treść „romansu”? Czy znowu nie wielkopański najazd na chłopstwo ruskie i litewskie, czy znowu nie przemoc nad Żmudzią i żydostwem? Spójrzysz w praktykę współczesnego państwa Węgier. Przypatrz się z bliska nikczemnym pazurcom, które pod serce słowackiego chłopca zapuszcza każdy do Pesztu przybłąda, byleby sobie za tani pieniądz nabył w urzędzie prawo do renty z madziarskiego patriotyzmu. Przypatrz się, jak tam umiejętnie, parlamentarnie katują życie narodów, wgniatają w ziemię z trudem tworzące się kultury, jak pozdzierali odwieczne nazwy siedlisk tubylców i poprzekręcali je na swoje. Zorganizowana według „prawa” napaść na swobodę, na cudzy dom, słowo, szkołę, obyczaj, oświatę, prasę, naukę, wdarcie się przemocą w polskie góry, a poprzez chorwackie plecy, w cudze morze, zlegalizowana kradzież cudzej ziemi, grosza, chwały i duszy — to Węgry, to ta sprawa, za którą tyle czcigodnej krwi — z polskiego boku wyciekło w ziemię. Przejdź się dziś po stolicy tych parweniuszów, po małpiarskim kramie, po tym żydowskim zachwycie, z pośpiechem, za wydarty pieniądz zastawionym banalnymi monumentalnościami, wspomnij im o Polsce... Szwoleżery, kosyniery, krakusy... Granice, celnicy, fortece, straż. Więzienia. Kajdany, ministrowie, agenci dyplomatyczni i mnóstwo deputatów. Racje stanu i stany posiadania... Czyś słyszał dobrze, jak stęka w pracy, jak hula, wyje z bólu, jak wyjawia głupotę swoją polski chłop z cuchnących, dzikich wsi — jak się wije w męczarni przez całe psie swoje życie i jak zdycha przy stalowym kądłubie maszyny, gilotynie swojej — polski robotnik? Oto jest moja Polska. Ona wyjdzie z ciemnicy do niezmiernych, boskich prac.

Polska, Polityka, Chłop,  
Robotnik

CZAROWIC

Wieczna wasza „dyktatura” proletariatu. *Somnia vigilantium*<sup>55</sup>. Jakże się ta dyktatura dokonać może podczas panowania moskiewskich żołdatów?

<sup>55</sup>*somnia vigilantium* (łac.) — sny głodnego; por. Iz 29:8. [przypis edytorski]

ZAGOZDA

Nie chciałbym widzieć dyktatury żołdatów z białymi orłami na kaszkietach. Ty śnij o nich na jawie. Jestem już znużony — będę spał.

CZAROWIC

Śpij. Ja nie mogę.

ZAGOZDA *kładzie się na swym łóżku, okrywa z głową. CZAROWIC błądzi po celi z kąta w kąt, po wydeptanej przekątnej linii, usiłując stąpać na palcach i tłumić pobrzęk kajdanów. Spostrzegłszy, że ZAGOZDA twardo zasnął, staje przy oknie i długo patrzy w nocne niebo przez górne szyby. Czepia się rękami krat.*

Czemu ty płaczesz, ślepa szybo, czemu ty wzdychasz, głuchy murze? Ślaniasz się za mną, cieniu śniady, wstępujesz w moje dzwonne ślady, gardziel mi ściskasz dłońmi dwiema, szepcząc, że jej na świecie nie ma... Czemu ty płaczesz, ślepa szybo? Pamięć w kochane strony lata — i wraca martwa z końca świata... Jakże mam stworzyć rysy twoje w głuchej ciemnicy zapomnienia? Kto mi odwali mur z kamienia, kto mi odemknie z blach podwoje, by mogły wstąpić w kaźni progi z stron zapomnienia twoje nogi?...

*opiera głowę na kracie okiennej. Długo rozmyśla*

Dusza moja podobna się stała do tych, które teraz oglądam, nie widząc oczyma, źle uprawnych pól, porzniętych w tysiączne działki — do wiosek zastawionych brudnymi chałupami. Jestem w niewoli, jak ziemia. Ze mnie są te chałupy i ludzie niemocni, przykuci do straszliwej nędzy przewracania nieczułego gruntu, wzruszania go modlitwą i postem, żeby przyczynił chleba. Ze mnie jest pycha pałaców, pełnych nudnego przepychu, gruboskórnego sobkostwa, herbowo-tradycyjnego zdzierstwa, patriarchalnego przesądu, kruchcianej obludy i pawio-papugizmu europejskości. Ja to jestem — tamte, polskie, wyboiste drogi wiodące do miejsc, przez wieczną nieodmienność, przez zastój, przez upadek — wieczyście smutnych. Nienawiść i gniew jest we mnie, jak jest złogami wiecznymi leżący gniew w duszy ciemnego chłopstwa przeciwko krzywdzie prastarej. Przeżyję moje życie tak samo, jak je przeżywa martwa niewolnica, polska ziemia. Nic na lepsze! Żadnej odmiany! Nic z tego mocarstwa, które jest w niej i we mnie, nic z rozrostu, czyhającego na swą wiosnę... Polska, zastój, nędza i ja — to jedno. Role moje nieszczęśne — czyliż was nie przekopię rowami, nie zorzę, nie zabronuję, nie zasieję, ja, wasz oracz — który zaprzysiągłem sobie wszystko wykonać? Wsie moje, żalośnice, którym<sup>56</sup> przysiągł popalić z robactwem, z chorobami, z głupotą i przesądem! Ściany bielone, dachy słomiane, co je deszcz zżera, a wicher szarpie, strzechy przegniłe, głodnemu bydłu na wiosnę za karmę służące! Jakże zdołam zbudować szerokie rozłogi szczęśliwym, widnym, pięknym domostwem, ludzi wolnych godnym? Jakże to mam sprawić, żeby znikł z ziemi chłop gnuśny z niedoli, czarny od brudu, ciemny, półpijany zawsze, nieszczęśny mój brat, mój ojciec, rana mojej duszy — i żeby znikł z bogacony pan, pyszny z oplakanej doskonałości swego położenia, niewolnik dobrowolny? Jakże to mam sprawić, żeby podraستاła rasa ludzi zrównanych w posiadaniu dobra, synów wolnego kraju, twórców świętej pospolitej rzeczy?... Jakże wytrzebić z dusz stuletnie zmartwienie polskie, tchnąć w rzesze wolę czynną, w której każdym akcie byłaby myśl rządząca? Jak skruszyć zdołam i zdjąć z dusz pieczęć państwa i pieczęć chłopstwa?

Matko moja, ziemio polska!

*szarpie z wściekłością kraty okienne*

Puściecie mię, kraty! Puściecie mię! Puściecie mię, kraty! Mam do wykonania niezmierny ogrom prac. Czas mi ucieka. Tygodnie, miesiące, lata mi lecą. Mam od krańca do krańca naród polski przeorać. Mam do postawienia tysiąc szkół, mam do wyćwiczenia tysiąc nauczycieli. Stoją niedomurowane ściany moich szkół, gdym odszedł. Dachy mi zaciekają. Wala się mokre sufity. Zlasowało się na deszczu porzucone wapno. Złodziej rozkrada cegłę. Gniją mi belki i tarcice. Pije w monopolu cieśla zawiedziony, wałęsa się zgłodniały mularz — a Moskal dzieciny spieszące rozgania.

Półtora roku tu siedzę. Schną z bezczynności moje ręce. Rwą się do roboty ramiona. Wysycham z tęsknoty do tworzącego trudu. Szarpie się coraz silniej serce. Mam sypać

<sup>56</sup>którem przysiągł popalić — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika, inaczej: które przysiągłem popalić. [przypis edytorski]



drogi poprzez piachy mazowieckie, mam rznąć rowy przez błota podlaskie. Tysiąc założyłem towarzystw. Tysiąc sklepów puściłem w ruch. Rozkradną własny towar ciemno-szaleni współwłaściciele. Rozejdą się zawiedzeni spółnicy. Płaczą się między martwymi ścianami kolana moje. Pęka mi głowa od nawału podjętych zadań. Milion myśli ogniem w niej płonie.

Stoi ziemia moja, jak wdowa, czekając, kiedy dam hasło, że idę. A ręce, lecąc do dzieła, trafiają w mur, głowa uderza o kratę. Puśćcie mię, kraty!

*Słychać stukanie w lewą ścianę z celi sąsiedniej, gdzie zamknięty jest więzień, nazwiskiem DAN. CZAROWIC nachyla się, przykładając ucho do ściany i mówi na głos zdanie odczytane.*

„Znalazłem dziś w nocy tajemnicę ognia. Daj mi możliwość ucieczki. Muszę do laboratorium!”

*śmieje się gorzko, stukając w ścianę odpowiedź*

Stań się prowokatorem.

*wraca do swego okna*

Mam zbudować z nowoczesnych przedsięwzięć niepodległość wewnętrzną narodu. Mam, jakoby śrubę zmcowaną mutrami wwiercić w ten naród rozluźniony, rozlatujący się, jak mokre mury mej szkoły — to hasło jedyne. Mam hasło niepodległości wpracować w trudy polskie, zakląć we wszystkie wysiłki, mam ją wszepać w sztukę nowoczesną. Mam to krótkie, proste, jedyne prawo oddać ludowi. Będę jak pies szczekał to hasło po nocy dookoła siedlisk ojczyzny, żeby go nie przespała w swym gnuśnym śnie.

*Słychać ponowne stukanie DANA. CZAROWIC przykładając do ściany ucho i czyta.*

„Znalazłem na pewno tajemnicę ognia. Muszę do laboratorium. Staraj się! Mój wynalazek...”

*CZAROWIC, śmiejąc się, stukając w ścianę*

Sprzedaj co prędzej twój wynalazek szatanowi. Niech go co prędzej opatentuje Mister Devil. Może on cię stąd za pomocą swych wpływów wydobędzie...

*Słychać ponowne stukanie DANA. CZAROWIC czyta.*

„Znalazłem tajemnicę ognia. Będę mógł z wielkiej odległości zapalać proch i dynamit. Będę wysadzał z oddali fortece, palił armie”.

*CZAROWIC odbiega od ściany. Staje przy oknie. Z jękiem:*

Puśćcie mię, kraty! Puśćcie mię! Puśćcie mię, kraty! Gdybym wyszedł na tę płaską ziemię, zanurzyłbym w nią dłonie, urobiłbym sobie ręce po łokcie! Ujrzano by naród nowy, spojony, nierozzerwalny, olbrzymi. Ujrzano by rasę zapomnianą, pełną prastarej wspaniałości i nowoczesnego geniuszu. Szedłbym przez tę ziemię od karpaccich gór do morza, siejąc gąszcz bohaterstwa jak młody las. Szedłbym polami, zdeptanymi od kopyt moskiewskich koni i siałbym świętą pszenicę braterstwa. Szedłbym drogami niemieckich wytępień i siałbym święte żyto ofiary. Stworzyłbym nowy polski gwar zbudzonych miast. Wyważyłbym skarby niekopane z przebogatej ziemi. Sprzedawałbym towar tu wypracowany ludowi na rynkach. Przeorałbym martwe grunta pługiem nowotnym. Tchnąłbym męską miłość współbraci w rozszarpane działnice. Poczuliby w żyłach tę nową potęgę, której, mając w sobie, nie mają. Opasałbym kraj wytężonymi ramionami młodych synów Polski nowej.

Puśćcie mię, kraty! Puśćcie mię!

ANZELM

*Wszedł tajemnie do celi. Stoi przy drzwiach. Słucha pilnie.*

Towarzyszu Lechu!

CZAROWIC

Czy ja śpię? Kto to?

ANZELM

To ja, Anzelm.

CZAROWIC

Jakeś<sup>57</sup> tu wszedł?

<sup>57</sup>jakeś tu wszedł — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika, inaczej: jak tu wszedłeś. [przypis edytorski]

ANZELM  
Puścił mię żandarm.

CZAROWIC  
Gdzie teraz jesteś?

ANZELM  
Tu obok ciebie siedzę w celi.

CZAROWIC  
Czego ode mnie chcesz?

ANZELM  
Słyszałem, że szarpiesz kraty.

CZAROWIC  
Tyś słyszał?

ANZELM  
Tak.

CZAROWIC  
Jakżeś to usłyszał z tamtej celi?

ANZELM  
Słyszę, gdy ktokolwiek w Polsce szarpie kraty.

CZAROWIC  
*blady z rozpaczy*  
Zdradziłeś sprawę! Tyś mię wydał!

ANZELM  
Zdradziłem głupstwo, które zowiesz „sprawą”.

CZAROWIC  
Szpiegu!

ANZELM  
Romantyku!

CZAROWIC  
*z krzykiem*  
Nic się ode mnie nie dowiesz! Niczego nie usłyszysz! Nie powiem! Ja umiem milczeć.  
Milczę tu już siedemnaście miesięcy. Idź precz!

ANZELM  
Nic nie wymilczysz. Choćbyś, jak Rawana<sup>58</sup> stał na głowie wśród pięciu ognisk przez dziesięć tysięcy lat — ten sam będzie skutek twej sprawy. Ale oto ja ulitowałem się nad tobą... Zresztą — przychodzę do ciebie z prośbą... Tyś to mi dał na pamiątkę ową książeczkę poety... Pamiętasz, gdyś ze mną, nędzarzem, ty, wielki pan, czytywał w polu wiersze Mickiewicza i Słowackiego... Chodziliśmy, pomnisz<sup>59</sup>, na pylną, daleką szosę za miastem, żeby na pamięć wyczytywać. Serce ścisnął słodki i bolesny skurcz obłudy tej poezji. — „A kiedy śpiewa chór — drży serce wroga!” — pamiętasz, towarzyszu Lechu?

CZAROWIC  
Idź, idź! Ja ci nie zapłacę ani grosza. Ja tobą pogardzam!

---

<sup>58</sup>Rawana (mit. hind.) — złośliwy demon (tj. *raksasa*) przedstawiany jako niebieskosina postać o dziesięciu głowach i dwudziestu rękach, stąd zwany jest też: Daśamukha (Dziesięciolicy), Daśakantha (Dziesięciogłowy); w indyjskim eposie *Ramajana* opisane zostały jego nieczne uczynki: objęcie tronu Lanki za pomocą podstępny, porwanie Sity, żony Rama, a wreszcie dokuczanie bogu Śiwie; demon usiłował przesunąć górę Kajlas, na której Śiwa tulił swoją żonę Parwati, oburzony Śiwa przycisnął górę do ziemi, przygniatając ręce demona, ten zaś straszliwie zawył z bólu: w ten sposób zyskał przydomek Rawana, tzn. „Krzykacz”. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>*pomnisz* (daw. forma) — (czy) pamiętasz; od: *pomnieć*: pamiętać, por. *pomnik*. [przypis edytorski]

ANZELM

Strasznieś<sup>60</sup> mię wtedy skrzywdził, ty, coś mię wywłókl z barłogu niewiedzy, coś ocucił z martwych moją świadomość, a teraz mną pogardzasz. Kłamstwo twoich poetów ukazało mi w całej pełni prawdę o mojej nędzy. Czyś miał prawo do tego, żeby mię wyciągnąć z błota, żeby mi odsłonić raj i kazać iść do niego drogą twojej fantazji? Kto ci na to dał pozwolenie, żebyś mnie przeznaczał na śmierć dla szczęścia przyszłych pokoleń — jakieś to mówił — a w gruncie rzeczy dla ścigania po ziemi chimery poetów? Szeptales do mnie: „tyś był głodny, ojciec twój cierpiał nędzę, matka w hańbie umarła, twój syn posiadzie to samo dziedzictwo — broń ich wszystkich i siebie”. Czy miałeś pewność mojego zwycięstwa? Miałeś ją... w wierszach twoich poetów. Pewna była tylko moja śmierć. Tyś o tym wiedział, a ja nie. Jaki mógł być zysk z mojej śmierci? Żaden. Tyś o tym nie myślał nigdy, że lepiej jest żyć w głodzie, niż nie żyć wcale.

CZAROWIC

Myślałem zawsze, że lepiej jest nie żyć niż żyć w hańbie. Myślałem zawsze, że wszystkich ludzi należy nakarmić, napoić i odziać. Nie miałem czym. Myślałem przez całe moje życie, że dobro świata musi służyć wszystkim ludziom jednako, a nie miałem żadnego innego sposobu, tylko ci w rękę dać broń.

ANZELM

A miałeś pewność zwycięstwa?

CZAROWIC

Wierzyłem, że ją mam, gdy wszystek lud powstaje!

ANZELM

A czy może powstać wszystek lud?

CZAROWIC

Przebiegłość siły rzeczy powiedziała, że nie może.

ANZELM

Kłamałeś, twierdząc, że gdy ja zginę, zbawiony będzie lud. Ludu z nędzy nic wybawić nie może. Odpowiadaj dziś, co lud z nędzy wybawić może?

DAN

*stuka w ścianę z sąsiedniej celi*

Słuchaj! Pamiętaj! Znalazłem tajemnicę, znalazłem tajemnicę ognia. Geniusz człowieka wszystko może!

CZAROWIC

*radośnie*

Słyszałeś! Geniusz człowieka wszystko może!

ANZELM

Poezja przemawia. Chcę ci się odwzajemnić za wszystko, coś dla mnie zrobił, ja szpieg. Przyniosłem ci, gdy jesteś nędzarzem, ten oto puchar.

*wyciąga puchar*

Ten sam w nim napój, któryś ty mi dawał. Poezja — *vinum daemonum*.

CZAROWIC

Skądżeś to tak możny, jakimi sposobami tak dalece uczony, biedny i ciemny Anzelmie?

ANZELM

Bardzo są w Polsce uczeni, bardzo ćwiczeni w mądrości prowokatorowie. Przez długie i mordercze studia, w jaskiniach spisku, posiadli wszystką umiejętność, ażeby was pojąć, ażeby nieomylnymi palcami namacać gardziel waszego ducha, zagmatwani panowie, szlachta — socjaliści! Samiście temu winni, romantycy, niezrozumiali dla świata. Wycwiczyliście nas, swoje z motłochu powstałe sobowtóry, swoje cienie. Taka to już, jak

<sup>60</sup>strasznieś mnie (...) skrzywdził — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: strasznie mnie skrzywdziłeś. [przypis edytorski]

ty mówisz, polska dola, że szpieg musi stać na najwyższym cyplu polskiego intelektu. Pij, towarzyszu polskiej doli, *vinum daemonum*. Znajdziesz ulgę, pociechę, zapomnienie. Po polsku — poezją zapiszesz „sprawę”. Nic większej nie sprawia rozkoszy nad poezję. Jeden z ojców kościoła nazwał ją winem diabelskim — (mówi o tym w rozdziale *Of Truth*<sup>61</sup> poczciwy Francis Bacon<sup>62</sup>) — ponieważ ona nasycy wyobraźnię jakoby nieustannymi cieniami kłamstwa. Nie jest jasnym, świadomym kłamstwem, w mózgu zrodzonym, lecz chwianiem się prawdy, upadaniem jej stałym i dobrowolnym zaślepieniem. My, Polacy, lubimy żyć cieniami kłamstwa i prawdy. Jest to nasz system filozoficzny, nasza narodowa mądrość stanu. Pij, towarzyszu polskiej doli, to tęgie wino. *In vino veritas*<sup>63</sup>!

CZAROWIC

Nudzę się, szpiegu, słuchając twojej mowy. Zostaw mię w spokoju z moimi błędami. Idź precz!

ANZELM

Wysłuchałem był twoje myśli tajemne, gdyś wstrząsał kratą. Śnił ci się sen o przyszłej Polsce. Chępiłeś się, że zanurzywszy w nią ręce, wstrząsniesz jej jałową, starą, zatechłą glebę, że z niej uczynisz cudny kraj, wysnioną stolicę państwa Kosalów z Ramajany, pełną domów radosnych, świątyn bogatych, parków uroczych — raj, w którym nie ma już nędzy, nie ma złodziejów i nie ma zdrajców. Śmiałem się do rozpuku. Ty, co z taką łatwością zamierzasz zmienić naturę i siły całej tej wiecznie niewolnej ziemi, przerób — proszę cię o to gorąco — nasamprzód duszę jednej istoty, Krystyny...

CZAROWIC

*pchnięty jego słowami*  
Skąd wiesz?

ANZELM

Wiem wszystko.

CZAROWIC

Co wiesz?

ANZELM

Przekonasz się, gdy powiem. Szedłeś z nią w nocy jesienną aleją. Z niewymownym wdziękiem, jak bezszelestny cień, stąpała po mokrym asfalcie chodnika. Pamiętasz? Skromny, czarny kapelusz, z kształtu podobny do kapeluszków noszonych za Henryka VIII — przy nim z boku czarne, długie, puszyste strusie pióro. Jasnozielona suknia. Krótkie palto pluszowe. Wzór europejskiej piękności i kultury: wszystka ciemno-aksamitna. Strusie pióro! Pamiętasz chwilę, kiedy sekretnie dotykałeś go musnięciem ust, skoro, odwracając szybko głowę, zbliżała je do twojej twarzy? Pamiętasz tę niewypowiedzianą rozkosz, gdy puch strusiego pióra czuleś na wargach? Miałeś w oczach jej włosy, choćś ich nie widział — włosy czarne jak woda ślepa w nocy pod nisko nawisłymi olchami. Lśnienia po nich migały jak księżycowy połysk na czarnej, nieznannej, niebezpiecznej wodzie... Miałeś w oczach jej czarne, aksamitne oczy, które się czają w precudownych podrzęsnych błękitach z niewyśpiewaną pięknnością morza otoczonego przez śpiący lazur niebios. Miałeś w oczach jej usteczka, jej usteczka, stworzone — o, straszliwa prawdo poety! — *for tenderness or scorn*<sup>64</sup> — do pocałunków albo do pogardy, do okrutnych skrzywień pogardy, od których serce drży jak ziemia od razów piorunu.

Jeden ich uśmiech, jeden uśmieszek, delikatny, jak cień słaby oliwnego drzewa w skwarze włoskiego wybrzeża — zakrył ci wieczność. Szedłeś wtedy upojony od szczęścia czy od rozpacz, niosąc w sobie tę chwilę tajemną, kiedy o głuchym północy wschodzi gwiazda

<sup>61</sup>*Of Truth* — „O prawdzie”. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>Bacon, Francis (1561–1626) — filozof ang., prawnik i mąż stanu na dworze króla Jakuba I Stuarta (pełnił funkcję naczelnego prokuratora państwa), wicehrabia St Albans (1621); w filozofii twórca empiryzmu oraz nowożytnej metody naukowej opartej na eksperymencie i indukcji; w pierwszej części swojego głównego dzieła, *Nouum Organum* (1620), jako pierwszy stwierdził, że do przekazywania prawdy naukowej potrzebny jest uniwersalny i jednoznaczny język oraz podał klasyfikację sposobów pojawiania się dwuznaczności w mowie (teoria złudzeń). [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*in vino veritas* (łac.) — w winie (jest) prawda. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>*for tenderness or scorn* (ang.) — dla pieszczoty lub pogardy. [przypis edytorski]

wyblyskująca nad bezsensnym uczuciem. Wysoko w pustej alei śniły swój sen o wieczności elektryczne księżycy, siejąc różowy półblask na zadumane drzewa jesienne. Suchy liść spływał z wysoka za lada powiewem. Jak suchy liść klonowy poniewierało się u jej stóp twoje serce. Twe serce tak wyniosło u jej stóp... Czy pamiętasz?

CZAROWIC

Pamiętam...

ANZELM

Aleja była pusta. Nikogo! Tam i sam pod drzewem ze zwieszonym aż do ziemi łbem drzemał koń powozowy, a dorożkarz spał twardo na koźle, wtuliwszy głowę w wielki kołnierz płaszcz. Lekki wiatr sączył się przez czule gałęzie lip, od światła elektrycznego martwo-białe albo cielisto-różowe. Pamiętasz głos tego wiatru? Pamiętasz ów lekki huk pod niebem?

CZAROWIC

Pamiętam...

ANZELM

Zdawało ci się wtedy, że światło elektryczne widzi. Czuleś, że ono zapamięta twoją tajemną radość, że ją na wieki przechowa. Sprawiało ci to rozkosz, że w tej chwili tak wielkiej, tak wysokiej od szczęścia — nie ma nikogo. Nikogo! Umyślnie usnął koń woźnicy i wtulił woźnica w kołnierz swój głowę...

Nie wiedziałeś, oczywiście, romantyku, że ja czuвам, ja, Anzelm. Gdy usnęło miasto, gdy zawarł bramę stróż, gdy odszedł na spoczynek żebrak uliczny, gdy zasnął nawet koń i zamarł nawet wiatr — to ja, zgniły łachman polski, szpieg podbramny, snułem się niewidzialny popod ścianami, przy kratkach ogrodów, wtulałem się we wnęki, czailem w cieniach, za murowanymi słupami, biegłem za tobą od pnia do pnia — z oczyma wlepionymi w twoją duszę. Na dowód — powtórzę rozmowę.

CZAROWIC

Powtórz...

ANZELM

Mówiłeś jej wiele, uczenie i książkowo o sztuce i o pięknie. O pięknie. Parsknęła jadownicie i zdradziecko. Spytałeś — czemu się śmieje? Odpowiedziała, że nic jej bardziej nie śmieszy nad wszelkie gawędy o „pięknie”, dyskusje „estetów” o tym, czego nigdy nie widzieli, ponieważ piękno swoje zna tylko artysta i to wówczas, gdy zamierza tworzyć, a nie wówczas wcale, gdy dokonał dzieła. Rzuciła krótko, że, według niej, sztuka nowoczesna zając się powinna zniweczeniem owego zjętcałego piękna, które stało się nie do zniesienia wskutek plotkowania o nim estetów — i wydobyciem w sztuce — na przykład — brzydoty. Broniłeś się, mówiąc, że brzydota, jako obiekt sztuki, nie będzie bynajmniej wytworzeniem kultu brzydoty, lecz znowu kultem tego samego piękna. Utrzymywałeś, że to, co nazywamy teraz pięknym, złą ma może nazwę, ale zawiera w sobie intencje słuszne, gdyż stanowi usiłowanie zbadania zjawiska — takiego na przykład jak *Los Borrachos*<sup>65</sup> Velasqueza<sup>66</sup> — pojęcia go i zawarcia w sylogizm.

Mówiła: — to mi się podoba, a to mi się nie podoba — ma prawo powiedzieć Goya czy Beardsley. To jest ładne, a to jest brzydkie. Oto wszystko. Żadnego piękna absolutnego nie ma. Jest tylko wola artysty, jego prawo. Esteci mogą sobie rozprawiać, ile im serce dyktuje, gdyż to, co się im podoba lub nie podoba w dziełach artystów, jest czymś zgoła innym niż rzeczywistość twórcza.

Prosiłeś jej<sup>67</sup> z pokorą, żeby zechciała przeżyć, przestudiować i zgłębić cudowne życie i cudowne prace Leonarda da Vinci, żeby nie dowierzała własnym dzisiejszym wyobrażeniom, gdyż tylko w taki sposób może zajaśnić jej geniusz malarski.

<sup>65</sup> *Los Borrachos* — tj. „Pijacy” alternatywny tytuł *Triumf Bachusa*, powst. w l. 1628–1629 obraz barokowego malarza Velasqueza. [przypis edytorski]

<sup>66</sup> *Velasquez, Diego* (1599–1660) — hiszp. malarz barokowy, związany z dworem Filipa IV; znany portrecista. [przypis edytorski]

<sup>67</sup> *prosiłeś jej* — dziś popr. z B.: prosiłeś jej. [przypis edytorski]

Rzekła cicho: — Po cóż mi to? Ja przecie chcę malować tylko dla siebie, wcale nie tak, jak tam należy, albo jak malował jakiś, taki albo inny Leonardo.

Ty: — Dzieło sztuki powstające powinno być wyższe nad wszystko, co dotąd było, musi zwalczyć wszystko, co było, wznosić się ponad całą przeszłością.

Ona: — Nie wiem, co być powinno. I to mię nic nie obchodzi. Gdybym postępowała tak, jak pan radzi, tobym się musiała męczyć w ciągu dziesiątków lat, wydać mnóstwo grosiwa na studia, wszelkiego rodzaju badania, podpatrywania, leonardowania... Po dwudziestu latach, gdy byłabym już bardzo mądra, ktoś kupiłby mój obrazek spreparowany według zasad, gdyby go najbardziej gadatliwy esteta zalecił do nabycia za rubli srebrnych sto — popierającym sztukę fabrykantom tudzież ziemianom.

— Więc cóż począć? Przecież pani nie ma własnych funduszów... Gdybyż to można malować tylko dla siebie!

— Toteż ja obmyśliłam tak, żeby właśnie sztuki nie profanować sprzedawaniem, lecz sprzedawać raczej siebie.

— Jakże to siebie można sprzedawać?

— Sprzedam się za drogie pieniądze jako kobieta, a raczej jako niewinna dziewczica, gdyż dziewice są najdroższe. Mając kilkadziesiąt tysięcy rubli rocznie, będę mogła malować tylko dla siebie, nikomu tego, co namaluję, nie pokazywać, nie „wystawiać” w tych „salonach” i „zachętach”, malować tak, jak zechcę, to tylko, co zechcę i wtedy, gdy zechcę. A teraz oto wypowiadam aforyzm najbezwstydniejszy w ustach młodej panienki z towarzystwa: Kocham moją sztukę bardziej niż siebie. Tylko ją jedną Kocham.

— Jakże pani zdoła załatwić to sprzedanie siebie?

— Użyję pośrednictwa stręczycielki. To się zrobi w Paryżu. Już nawet z jedną rozmawiałam, ale proponowała tak małą sumę, że nie było o czym mówić. Za to, co ona proponowała, nawet automobilu utrzymać by nie można...

Zachwiałaś się wtedy na nogach i podniesionym głosem mruknęłaś ostro, żeby zamilkła. Nie zamilkła. Łagodnie uśmiechnięta mówiła: — Może to panu sprawia przykrość, ale to już niejednemu sprawiało przykrość, więc niech to pana pocieszy. Na przykład pańskiemu bratu Benedyktowi...

Ciszej dodała: — Kochałam dotąd moją mamę i moją sztukę...

Roześmiałaś się wtedy głośno i szorstko. Ona rzekła z naciskiem:

Pamiętasz blask elektrycznych księżyców, który ci wtedy w oczy złowieszczo zaświecił? Widziałem drżenie twoich ramion, żeby zadusić podłość życia, które ci ją wydierało, albo zadusić siebie, bezsilnego niewolnika. Widziałem jak na dłoni myśl, żeby wyrwać z kieszeni rewolwer i roztrzaskać sobie głowę w jej czarnych, aksamitnych, spokojnych oczach. Widziałem myśl, czy by nie najlepiej, najrozumniej i najkrócej było ją przede wszystkim — starym obyczajem — położyć trupem...

CZAROWIC

*głosem głuchym*

Słuchaj... Tak wszystko wiesz, pamiętasz, umiesz na pamięć — czy nie mógłbyś udać jej głosu, przypomnieć brzmienia jej słów...

ANZELM

Każdy człowiek korzysta z usług szpiega. Lecz szpieg nie pracuje za darmo. Dobrze, usłyszysz jej głos, przypomnisz sobie czarujące dźwięki, tak zupełnie zapomniane.

*Nagle zmienia głos. Schyla się do nóg CZAROWICA. Zebrze.*

Mam na świecie synka małego. Oleś... Małe dziecko. Syn szpiega. Biegną za nim dzieci całej ulicy, gdy się na chodniku pokaże, ciskają kamieniami jak na wściekłego psa, krzyczą na niego jak na zarażonego trędem. On ucieka wciąż, ucieka bez przerwy, kryjąc twarz w rączyny. Łkanie jego wygania mię z mogiły. Nie masz miejsca na ziemi, gdzie by się to dziecko mogło skryć przed straszliwym dla niego przekleństwem świata...

CZAROWIC

A gdzie ona teraz jest? Powiedz mi, gdzie ona jest?

ANZELM

Kto?

CZAROWIC

Ta kobieta, Krystyna.

ANZELM

Wszystko ci powiem, ale się zmiłuj nad Olesiem! Po to do ciebie przyszedłem. Wydam ci wszelkie tajemnice. Wszystko zdradzę, ale się zmiłuj nad Olesiem! Słuchaj: ta kobieta bywała tutaj ciągle. Przychodziła wielekroć, żeby cię zobaczyć, ale jej, oczywiście, nie puszczono ani razu. Sypała pieniędzmi, żeby uzyskać jedno widzenie. Wyrzucono ją brutalnie. Narażała się, gdyż znajomość z tobą...

CZAROWIC

Ona tu przychodziła?!

ANZELM

Tak.

CZAROWIC

Kłamiesz!

ANZELM

Nie. To szczerza prawda. Stała wielekroć w tłumie pod bramą, pośród szlochającej biedy polskiej, w gromadzie matek, sióstr, dzieci, w ogroju przybramnym bab, którym nazajutrz miano tracić na szubienicy braci, ojców, mężów... Przychodzi i teraz wciąż słuchać...

CZAROWIC

Powiedz mi to jedno! Powiedz mi tylko tyle: — gdzie ona jest teraz?

ANZELM

Gdzie ona jest? Czy chciałbyś ją we śnie zobaczyć? Wypij ten kielich wina demonów — i zobaczysz cuda, zobaczysz pewnie i ją samą.

CZAROWIC

Jakże się to stać może?

ANZELM

Sam się dowiesz.

CZAROWIC

Daj kielich!

ANZELM

*cofa kielich*

Mam na świecie synka małego...

CZAROWIC

Daj kielich!

ANZELM *wyciąga ku niemu kielich. CZAROWIC pije jednym tchem. ANZELM znika. Nastaje głuchy, posępny mrok. CZAROWIC siedzi pod oknem na krześle z obwisłymi rękoma, z głową, która bezwładnie odwalila się na kratę. Nagle rozległ się potężny szcęk. Nie odmykając drzwi, weszło BOŻYSZCZE w postaci i zbroi króla Władysława Warneńczyka<sup>68</sup>. Gięta kolczuga od stóp do głów jednolitą stalą okrywa całą jego wielką postać. Głowa okryta szłodem<sup>69</sup> stalowym. Szłom wysoki, polerowany, ze złotymi skrzydłami. Na biodrach pas, kuty z czteropromiennych gwiazd. U boku wielki, prosty miecz. W prawicy młot ciężki. W lewej ręce drzewo nabijane oszczepu. Spiczaste stopy, w karacenową zbroję obute, stanęły w przekątnej żłobowinie celi, którędy więźniowie machinalnie chodzą, biegają i błędzą z wolnego od sprzętów kąta pod oknem w wolny kąt przy piecu. Surowe lica, osłonięte stalą, posępnie dumają. Wielka dłoń spoczęła na głowicy miecza, wyulekła go z za pasa i podała więźniowi.*

<sup>68</sup>Władysław Warneńczyk (1424–1444) — syn Jagielly, król Polski w latach 1434–1444, król Węgier od 1440 r.; poległ w bitwie pod Warną (nad Morzem Czarnym, na terenie dzisiejszej Bułgarii) podczas wojny z Turkami. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>szłom — hełm bojowy. [przypis edytorski]

BOŻYSZCZE

Weź miecz.

CZAROWIC

*w szale radości pochwyił miecz, przycisnął do piersi. Ustami przywarł do rękojeści  
Miecz rycerski! Wrogowie!*

BOŻYSZCZE

Targałeś kraty. Patrz długo na mnie. Jestem podobny do wielkiego na ziemi człowieka. Jestem ten, który wytraca niemoc cierpienia. Jestem ten, który miota po ziemi siłę i radość. Jestem podburzyciel człowieka. Jestem król wasz nowy, który zakładam wpośród waszych dusz mocarstwo woli.

*uderza CZAROWICA dłonią w twarz*

Weź ostatni policzek niewoli!

*bierze z rąk CZAROWICA miecz. Uderza go klingą w prawe ramię*

Weź w duszę z mych rąk zmycie policzka niewoli!

*oddaje mu miecz*

Pójdiesz dziś ze mną w świat. Pamiętaj, żeby ci się dusze polskie nie wydały stokroć, tysiąckroć boleśniejnymi od krat więzienia wrogów, a ziemia polska ciaśniejszą i bardziej okrutną, bardziej martwą i niemą od celi wroga. Patrz daleko poprzez i ponad ludzi, jakieś poprzez kraty patrzył na niebo. Biada ci, jeżeli westchniesz za żelaznymi kratami więzienia, pasowany rycerzu!

CZAROWIC

Moja pierś nie zazna westchnienia! Moja dusza nie zazna żalu!

BOŻYSZCZE

*dźwiga ciężki młot, uderza w ścianę lewą raz, drugi, trzeci. Ściana pękła. Przez otwór rzuca młot do celi sąsiedniej, gdzie przebywa więzień DAN. Mówi przez wyłom.*

Bij co siły w twe kowadło! Kuj dzień i noc! Niech wytryska twój ogień! Chwytaj tajemnicze iskry! Pochłoń je myślą! Hasło nasze — „Warna”.

*do CZAROWICA*

Milcz z zaciśniętymi zębami albo składaj wewnątrz siebie przysięgę, kiedy idzie o Polskę. Za mną! Hasło nasze „Warna”.

*Porwał z rąk więźnia miecz i z ramienia, odlewnym ciosem zwałił w kraty. Rozcięte kraty zwisły. Drzewcem oszczepu zaczął bić w mur podokienny. Rozerwał kraty i żelazną prawicą wyłamał je z muru jak badyle. Uderza w mur drzewem tam i sam, wysoko i nisko. Mur wielkimi odłamami runął na zewnątrz, bryłami wyleciał w dół. W rozwartą jamę wdarł się skowyczący wichur. Powiał lotny śnieg. Zajrzała noc.*

BOŻYSZCZE

Pójdź!

CZAROWIC

Wodzu! A ten — a ten?

BOŻYSZCZE

Uśpiony?

CZAROWIC

Czyliż zostanie tu?

BOŻYSZCZE *łokieć ręki prawej wspiera na poprzecznicę mieczowej. Głowę opiera na dłoni. Duma głęboko. Uśmiech czarujący oświetlił mu usta.*

BOŻYSZCZE

Zostanie.

CZAROWIC

*zgina kolano*

Daj rozkaz: niech idzie z nami!



BOŻYSZCZE

To władca. Jego dusza sama sobie rozkazuje. Stopy jego własną idą drogą: to krwawymi Polski manowcami, to szerokim sybirskim gościńcem. Zostanie. Będzie do końca sam.

*Przekłada oszczep z prawej ręki do lewej. Postąpił krok — stanął. Postąpił drugi krok ku uśpionemu. Wyciąga wysoko nad jego piersią żelazną prawicę. W dłoni jego nagle rozkwitła czarująca, szkarłatna róża. Cicho, lekko, miękko wypadła z dłoni na uśpionego pierś.*

CZAROWIC

O, różo!

BOŻYSZCZE

W drogę!

*Wyszli w otworzelisko rozbitego muru. Po złomach i gruzie spadłej ściany schodzą obydwa olbrzymimi krokami w dół. Po schodach z murów, po pochylniach stoków cytadeli, śniegiem zawianych, wyszli poza Wrota Iwanowskie ku Wiśle. Wicher dmie. Zamieć.*

CZAROWIC

Słyszę, jak tam w dole szumi Wisła. A tam za nią daleko — Mazowsze...

BOŻYSZCZE

woła w noc

Calcabrina!

rżenie końskie

Graffiacane!

*Rżenie końskie. Dwa w wichrze wielkich drzew stoją rumaki. Trzepią się w śnieżycy wspinałe ich, długie, białe grzywy. Biją o zmarzniętą ziemię stalowe podkowy. Dosiedli jeźdźcy rumaków. Pomknęli. Pomknęli z wichrem w zawody na lotnych niedościgłych ciałach biegunów, jak gdyby z mroźnego stworzonych powietrza. Wlecieli w czarną noc, w dzikość pól. Bachmaty brzuchami rozorują zwiewne śniegi. Daleko miotają bryzgi lodu ich w skok lecące kopyta. Ogony ich rozdyma wiatr, jakoby surmy bojowe. Grzywy ich fruują wśród wiatru jakoby hetmańskie wojenne buńczuki. Jeździec nie czuje wagi swego ciała. Ziemi nie widzi. Czarna w oczach noc. W duszy szczęście.*

CZAROWIC

nachylił się w biegu. Piersi jego chwytają wicher. Usta szlochają

Wodzu!

BOŻYSZCZE

„Warna”!

CZAROWIC

To jest wolność!

BOŻYSZCZE

„Warna”! „Warna”!

## OBRAZ PIERWSZY

*Olbrzymia, parapiętrowa hala fabryczna. Przez szklany, zakopcony dach wpada odblask elektrycznych słońc, świecących na zewnątrz w dziedzińcu. W hali światła nie ma. Odblask nieruchomo lśni na wyszlifowanej, stalowej powierzchni wielkich rozpedowych kół, wisi bez przerwy, jak nici srebrnej pajęczyny na pasach transmisji, wstrzymanych w biegu, uśpionych w głuchym letargu. W dole światło polśniewa tu i ówdzie na wyświechtanym kaszkiecie, na siwiejących pod sadzą włosach człowieka, na zgrabiałych rękach, zaznajomionych rozkoszy letargu. Tłum do tysiąca osób napętnia wnętrze sali. Z mroku dochodzą głosy niewidzialnych mówców.*

PIERWSZY

Ściągnęli nam zapłatę, w dół poza rok 1904<sup>70</sup>. Trzy dni w tygodniu robimy. Resztę siedzimy z założonymi rękami, patrząc w międzyfabryczne pola z kupami łódzkiego bru-

<sup>70</sup>ściągnęli nam zapłatę, w dół poza rok 1904 — tj. obniżyli nam wyplatę poniżej sum, które otrzymywaliśmy przez 1904 r. (czyli przed wojną rosyjsko-japońską i rewolucją 1905 roku: oba wydarzenia spowodowały kryzys polityczno-ekonomiczny w Imperium Rosyjskim). [przypis edytorski]

du, w czerwone kominy i w czarne mury. Życie zdrożało. Nie oplata<sup>71</sup> nam za tę cenę robić. Posłali my<sup>72</sup> delegatów do właściciela. Poszli dwaj i przełożyli<sup>73</sup> sprawę. Na pyski ich kazał zepchnąć ze schodów. „Skończyły się — powiedział — wasze chamskie czasy. Nadszedł teraz rygor wojenny. My teraz! Żadnych delegatów! Prawaście<sup>74</sup> — powiedział — dyktowali? Teraz my wam podyktujemy cenę roboty. I za pół tego — powiedział — będziecie robić. Przyjdziecie do mnie ze szlochem, żebym was wziął na trzy dni w tygodniu za tyle, za ile chcę i raczę”. Ujęliśmy się za posłów. Rzuciliśmy pracę. Wezwał wojsko. Kazał generał otoczyć mury wojskiem. Ośmiuset nas było. Stoimy na dziedzińcu. Wyszedł do nas policjant i nakazał: kto za strajką<sup>75</sup> — na lewo! kto przeciw — na prawo! Dwustu młodych odeszło na lewo. Sześciuset starszych poszło na prawo. Tych, co poszli na prawo, partiami wypuścił. Tych, co poszli na lewo, otoczył murem żołdatów. Z nich jedną gromadę posłali w Rosję rygorem swoim moskiewskim. Drugą gromadę wysłali na miejsce zamieszkania<sup>76</sup>. Trzecią gromadę zamknęli do kryminału. Nas dwudziestu, cośmy twardo stali przy sprawiedliwym rozumieniu, zesiekli różgami, po sto różeg na człowieka. Krew z nas ciekła. Słuchajcie, robotnicy łódzcy! Siekli nas różgami za to, żeśmy prawdy sprawiedliwie dochodzili! Słuchaj nas, ludu pracujący!

*Westchnął bezsilnie lud.*

#### DRUGI

Przemysł kraju jest jako drzewo. Owoc jego służy fabrykantowi i robotnikowi. Skoro drzewo podważysz w korzeniu, nikomu ono owoców nie da, ni fabrykantowi, ni tobie. Jeśli właściciel zatrudnia ludzi przez trzy dni w tygodniu, to znaczy przecie, że tego nie czyni dobrowolnie, lecz z musu. Obstalunków nie ma! Gdy po trudach niemałych zyska się obstalunek, wtedy wy, szaleńcy, podbechtani przez głupców, strajkę zaczynacie. Przemysł bawelniany kryzys przechodzi. Przemysł żelazny kryzys przechodzi. Nie zważaliście na stan przemysłu, strajkę prowadząc bez końca, wydaliście fabrykantom wojnę. Zdało się wam, że zwyciężycie. A teraz — oni zwyciężyli. Kto zwycięża, ten jest panem i dyktatorem prawa. Tego jest łaska albo niełaska. Nie dziwota, że wam strąca zapłatę aż poza rok 1904. Nie dziwota, że się zabezpiecza przeciwko wam i u rządu moskiewskiego szuka pomocy.

#### TRZECI

Przemysł kraju jest jako drzewo, w które zapuszcza korzeń i na którym rośnie inny twór, niby inne drzewo — jemiola. Fabrykant jest to jemiola, która rośnie na drzewie pracy ludu. Robotnik jest korzeniem, pniem, konarem i listowiem. On to sobą karmi jemiolę. Kto strajkę rozpoczynał po to, żeby pracujący ludzie mieli większą zapłatę i krótszy roboczy dzień, ten nie korzenie drzewa chciał wydzierać z ziemi, lecz chciał wyrwać korzenie jemioli z drzewa. Gdyby wydrzeć korzenie jemioli z drzewa — cudnie by się drzewo rozrosło. Jeno<sup>77</sup> ptak, kwiczoł, który się jagodami jemioli żywi, może sądzić w egoizmie swoim, że i jemiola, i drzewo — to jedno jedyne drzewo. Nie chce kwiczoł słyszeć o tej prawdzie, że, żywiąc się jagodami jemioli, żywi się sokami drzewa. Nie dziwota — gdyż kwiczołowi jeno o bytowanie i rozrost jemioli chodzi, albowiem kwiczoł żywi się jagodami jemioli.

#### CZWARTY

Przemysł! Przemysł! Przemysł!

Pełna jest polska gęba tego słowa. Tym słowem zatkał sobie Polak gardziel sejmikową i zasłonił sobie jak tarczą oczy przed hańbą. Bodaj on się w ziemię zapadł ten wielki przemysł! Zeszliśmy się tu ze wszech stron ziemi ubogiej. Obsiedliśmy ten piasek, okryli go nagim kadłubem naszym, jego łachmanem, jego wszami i kałem. Pracujemy. Przez Bóg żywy! Krwawo pracujemy. Czarne mamy twarze i czarne ręce, krwawą płwocinę i ciemne

<sup>71</sup>nie oplata nam (...) robić — nie oplaca się nam pracować. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>posłali my (gw. forma złoż.) — posłaliśmy. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>przełożyć — wytłumaczyć, objaśnić. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>prawaście (...) dyktowali — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: prawa dyktowaliście. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>za strajką — dziś popr. forma r.m.: za strajkiem. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>wysłać na miejsce zamieszkania — tj. na zesłanie (w taki sposób karano większość skazanych, część tylko trafiała do więzień, na przymusowe ciężkie roboty itp.). [przypis edytorski]

<sup>77</sup>jeno (daw., gw.) — tylko. [przypis edytorski]

widmo w duszy. Patrzymy na nasze dzieci wychudłe, rosnące w kałuży Bałut. Golgotą ludu polskiego jest to miasto! Spójrzcie na nie nowymi oczyma, pracujący ludzie. Spójrzcie na pałace, sztukaterią ohydną jak cycelesami obwieszona. Spójrzcie na domy niskie, zielone od pleśni, czarne od sadzy, rude od błota. Wesele ziemskiego żywota my tu stracili. Czemu? — pytam się was, pracujący ludzie. Kto i co zyskał na tym, że tu, polski lud, zamieramy w dymie, w kurzu bawełny, w fetorach farb dla powiększenia bogactw spanoszonych Niemców i zbogaconych Żydów? Czy zyskał na tym ojczysty nasz kraj chociaż grosik jeden? Czy na zatraceniu naszym zyskała cokolwiek ojczyzna? Na opłaceniu moskiewskiej policji dla utrzymania nas w hańbie niewoli idą z rąk fabrykantów zyski z wypracowanych przez nas towarów. W zgrzebnym samodziale albo w moskiewskim i jarosławskim perkalu chodzi wieśniak polski, w grubą sukmanę, w cuchnący kozuch, w wełniak krosienny się odziewa, a wytwór naszych rąk idzie w dalekie, azjatyckie kraje. Czysty pieniądz zysków idzie do Berlina, do kas fabrykantów niemieckich. Jednego szeląga nie osiągnęła z prac naszych polska strona ni sprawa. Założyliśmy tu, na tej Golgocie ludu polskiego, posterunek teutoński, gniazdo wrogie nam, fortecę niemiecką. Pluje nam Niemiec w ślepie za nasz trud, w tym miejscu, gdzie tyle cierpimy. A jeśli wściekle głowy podźwigniemy, wydaje nas w szpony moskiewskiego posiepaka. Siły nasze wrastają w cielsko wroga. To nasza krew krąży w jego żyłach, kiedy na nasze barki spuszcza bicz. Z naszej pracy, z męczarni naszych ramion rośnie jego kość i mięsień, stalowe jego kły z bagnetów, pazury jego z armat i pióropusz jego w kształcie szubienicy.

#### TRZECI

Ta jest twoja myśl, że byłoby lepiej, gdyby nie było miasta. Ta jest twoja myśl, żebyśmy stąd wrócili do pługa i motyki, do fornalskich koni i wyrzucania widłami nawozu, żebyśmy się znowu oblekli w zgrzebny samodział, w perkal jarosławski, w cuchnące sukmany i baranie kozuchy. Lepiej by wtedy, według ciebie, było ojczyźnie. Więcej by zyskała, gdybyśmy melli ziarno w żarnach ręcznych na chleb razowy, zboże żęli sierpem na skwarze i młócili je cepami na mrozie.

#### CZWARTY

Zyskałaby ojczyzna tyle, że dusze nasze nie byłyby zatrute widokiem rozpusty bogaczy za zysk wyssany z naszych żył, wyciśnięty z naszej krwi. Jedlibyśmy chleb razowy, mielony rękoma w powietrzu i pod słońcem. Gdzie jest szkoła dla naszych dzieci, gdzie dla nas godziwe mieszkanie, gdzie dom spoczynku na starość? Z ziemi naszej wyrośnie przemysł nasz własny, polski, z polską ziemią i tutejszym człowiekiem związany, ku jego służący potrzebie. Spuścimy się w tę ziemię, my, górnicy przyszłości, wyniesiemy na światło bezcenne jej skarby. Założymy warsztaty przetwarzające nasz skarb roślinny, zwierzęcy i kopalny na potrzebę naszego młodego świata. Nie będziemy sprowadzać rudy z Krzywego Rogu, a bawełny z Ameryki, żeby zaspakajać potrzeby Kirgizów i Jakutów. Nie będziemy wówczas gnąć w Bałutach, żeby Niemiec z naszej krwawicy budował sobie pałac marmurowy w Berlinie i stamtąd nam prawo śmierci dyktował.

#### PIĄTY

Jesteśmy proletariatem, wytwór potężnych świata sił, a najpotężniejsza funkcja, czyli potęga, mocy rodzaju ludzkiego. Jeśli my pracujemy, żyje i rośnie świat. Jeśli my ustanowimy, stanie świat. Jesteśmy wędrowcy wieczni. Tam idziemy, gdzie się wznosi dym z wysokich kominów, gdzie huczą stalowe koła i patrzą w niebo ślepe szyby. Płyniemy jako rzeka z gór, która nie baczy, jakie granice, z jakimi herbami słupy graniczne przemija. Należymy do rzeszy wszechświata, niezłomnie i wiecznie walczącej o prawo wydarte człowiekowi pracującemu. Do nas lub do synów naszych należy jutro świata. Na robotników przekształcimy wszystkie świata ludy. Nie dajmy się tylko złudzić podszeptom! Pilnujmy niezmienną drogą proletariackiej, która wcześniej czy później, nas lub synów naszych przyprowadzi na wzgórze dyktatury. Nie dajmy się omamić złudą państwa polskiego w proletariackiej masce. Nasze oczy nieustraszone patrzą pilnie w prawo rozpostarte poza Polski słupami granicznymi. Widzimy, że będzie ona „ojczyzną” szajki zbogaconych fabrykantów lub magnatów, która pochwyli w swe ręce rząd i będzie przeciwko nam wysyłała wojsko, kuła na nas w swym parlamencie zabójcze prawa i wypijała naszą krew. My, którzy jesteśmy rewolucją wieczną, którzy pługiem niestrudzonym orzemy wszelką

niwę, a zaród nowego życia siejemy wszędzie, walczmy na śmierć ze złudą Polski, gdyż jest ona pustą plewą, we wnętrzu niemającą nasienia. Łoskot pracy naszych fabryk, których tysiące puściliśmy w ruch, szeroki zamach naszego proletariackiego ramienia i owoc trudu naszego, który do życia powołał na tym pustym miejscu nowoczesny, na kapitale oparty, daleko sięgający handel — skuł na wieki Polskę z Rosją. Gdyby oderwać Polskę od Rosji, upadłby polski przemysł i handel. Idea niepodległości narodu polskiego ma w sobie zaród klęski nieobliczalnej, a zawołanie jej — niepodległość — to utopia. My jedni, proletariat fabryk, tworzymy bogactwo wszystkich, my jedni wykarmiamy wieczny postęp i wieczną rewolucję. Wszystko, co idzie przeciwko nam, idzie wbrew dobru plemienia, wbrew postępowi i wbrew rewolucji. Ktokolwiek chcesz sztucznie oderwać Polskę od Rosji — ten z natury rzeczy jesteś wrogiem naturalnego rozwoju dobrobytu, wrogiem postępu i wrogiem rewolucji, czyli jesteś sługą reakcji.

#### SZÓSTY

O, ludzie, którym mózgi przeżarł syfiliś paradoksu! Ziemię waszą naszedł postronny wróg, skuł wam ręce, spętał nogi, nagiął grzbiety, wyłamał od dzieciństwa w ramionach ku dołowi skrzydła woli, z oczu wam wyjął siłę widzenia prawdy i odczytał was mowy wolnej, płynącej z głębin rozumu. Z rozkoszą pod Maratonem<sup>78</sup> umierał niewolnik. Z honorem i męstwem umierał polski parobek pańszczyźniany pod Raszynem<sup>79</sup> i pod Ostrołką<sup>80</sup>. Wy, zamiast otwierać źrenice ku najdosłójniejszemu dobru wolnego człowieka, ku blaskowi wolności, zagłębiacie je w mrok co najgłębszej niewoli, kierujecie w najciemniejszy kąt sofizmu. Nie chcecie niepodległej Polski, dopóki w niej nie będzie zagwarantowana dyktatura wasza...

#### KRZYK Z TŁUMU

Nie chcemy przechodzić duchem z więzienia Rosji do więzienia Polski. W więzieniach nie ma wolności. My chcemy z tych wszystkich waszych więzień wyjść na wolność, na wolny świat!

#### SZÓSTY

Jakże wyjdiesz na wolność, jeśli nie zdepczesz mocy tego, kto wolność na tej ziemi skuł w kajdany? Tego, kto wolność zakuł w kajdany, trzeba ubezwładnić, a jeśli nie poddaje się — zabić. Nie jest to człowiek, nie jest to bliźni, lecz wróg i martwe narzędzie niewoli. „Moskala, służącego Mikołajowi, zabijać, łowić, ściagać”... Kto to wyrzekł? To jest mowa genialnego rozumu rasy. To wyrzekł ten, co widział przeszłość wszech Słowian od początku i przejrzał przyszłość najdalszą, głos sprawiedliwego. Skrzydła jego były od początku do końca Polski. Dusza jego wzięła w siebie wszystko dobre i złe ze świata, a wszystka tchnęła wolnością. Słuchajcie tych słów mężnych, niewolnicy, którym pacierz wolności wytruł w duszach żydowsko-niemiecki paradoks o dobrobycie albo zaślepiona żądza utylitaryzmu. Gdy wyjdzie zdławiony wróg z twojej ojczyzny, oddasz mu pozdrowienie w człowieczeństwie i pocałunek słowiański.

#### PIĄTY

Przestarzałe deklamacje emigranckie! Zwietrzałe tezy: „najprzód być, a potem myśleć, jak być potrzeba”. Płonne spory nominalistów z realistami. Za dziesięćciu Moskali zabitych

<sup>78</sup>pod Maratonem — chodzi o bitwę pod Maratonem (490 p.n.e.), najważniejszą bitwę pierwszej inwazji perskiej na Grecję: wojska ateńskie pod dowództwem Miltiadesa pokonały w niej armię perską, która wylądowała w Attyce, 40 km od Aten. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>bitwa pod Raszynem — bitwa okresu wojen napoleońskich, stoczona 19 kwietnia 1809 r. przez wojska polskie i saskie, dowodzone przez księcia Józefa Poniatowskiego, z korpusem wojsk austriackich, pod dowództwem arcyksięcia Ferdynanda Karola d'Este; taktycznie nierozstrzygnięta, jednak ze strategicznego punktu widzenia okazała się sukcesem Polaków, ponieważ zapoczątkowała kampanię, której efektem było między innymi dwukrotne powiększenie obszaru Księstwa Warszawskiego i zwiększenie polskiej siły zbrojnej z 14 tys. do 60 tys. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>bitwa pod Ostrołką — bitwa powstania listopadowego, stoczona 26 maja 1831 r.; główne siły wojsk polskich pod dowództwem gen. Jana Skrzyneckiego starły się w niej z wojskami ros. dowodzonymi przez Iwana Dybiczę; bitwa nie dała rozstrzygającego zwycięstwa żadnej ze stron, przed całkowitym rozbitciem uchronił Polaków atak oddziału konnego pod dowództwem Józefa Bema, ale w starciu Rosjanie stracili ok. 5700 żołnierzy, jednak ostatecznie uznano bitwę pod Ostrołką za klęskę Polaków: poległo 2 tys. żołnierzy (w tym gen. Ludwik Kieki i gen. Henryk Kamiński), kolejnych 4 tys. odniosło poważne rany, armia polska straciła inicjatywę strategiczną i przeszła do defensywy. [przypis edytorski]

chyłkiem, zza węgła — „służących Mikołajowi” — zawiśnie pięćdziesięciu na szubienicy, tyłuż zostanie szpiegami, a stu znajdzie sposobność do rozboju i złodziejstw. Wynajdź, geniuszu rasy, sposób na zniszczenie wroga, na wydalenie go z „ojczyzny” — i wtedy deklamuj patetycznie! Posłuchamy z ochotą.

#### SZÓSTY

Szukajcie pośrednictwa u tego mówcy! Przykujcie sobie za jego poradą mocniej ręce i nogi do kajdan. Gdy się uciszycie zupełnie, powiedzie was przed pałac, obwieszony cycelesami sztukaterii. Wyjdzie może do was pan. Będzie z wami rozmawiał. Umoczy może palec w wodzie i zwilży wam spiekłe wargi...

#### SIÓDMY

Słuchajcie lepiej poprzednika rady. Mordujcie! Doprowadzicie sprawę do tego, że zarabiać będziecie sześćkroć tyle, co dziś. Nie mając gdzie podziać zarobku, najmować będzie każdy z was po dwie utrzymanki. Pić będziecie arak i wino — jeść tłusto — robić po nocach hulanki i burdy — chodzić w futrach, kortach i webach — obwieszać się cycelesami biżuterii. Po to przecie żyjecie na ziemi.

#### ÓSMY

Długie wywody. Mój wywód prosty: trzeba na nowo strzelać we łby, w których się pali ogień buntu. Dokądże to będziemy cierpieć na sobie ten ciężar, niedający nam uczciwie, po dawnemu pracować w zgodzie z pracodawcami? Niech poczują jeszcze raz naszą twardą, robociarską pięść! Albo się uciszą, albo zginą!

#### DZIEWIĄTY

Strzelać we łby i my potrafimy! Zaczynaj, najemny sługusie!

#### ÓSMY

Kazał ci już agitator dobyć broni!

#### DZIEWIĄTY

Zaczynaj, żydowski popleczniku!

#### ÓSMY

Masz już za mego trupa rozgrzeszenie!

#### DZIEWIĄTY

Obaczmy z czyjej ręki padnie celniejszy strzał!

#### KRZYK ODŁAMÓW TŁUMU

Towarzysze! Do broni!

#### KRZYK ODŁAMÓW TŁUMU

Sokoły! Do broni!

#### BOŻYSZCZE

*szeptem do CZAROWICA*

Już czas.

#### CZAROWIC

Bracia! Zniźcie broń. Wymijcie ładunki. Wyrwijcie zemstę z serc. Wyrwijcie z serc nienawiść proletariusza do proletariusza. Połączcie się w jedną falę. Wy, którzy jesteście żywą i wiecznie twórczą falą polskiego świata — niechaj się dokona w tej oto chwili odpływ wasz spod skały nieszczęścia. Kości po drogach Sybiru rozsiane, mogiły w pustkach Moskwy, lochy więzień, drewna szubienicy, lzy podań i płacz waszych dzieci, wołają do was: — Niech żyje Polska niepodległa! Przekazała wam to prawo wielka dusza Mickiewicza i wielka dusza Słowackiego.

#### KRZYK Z TŁUMU

To, coś ty wyczytał w pismach Mickiewicza i w pismach Słowackiego, nas nie dosięgło. My jesteśmy kadłub Polski — ciało jej grube, w którym przewala się pokarm, krąży krew, prężą się mięśnie do dźwigania ciężarów i do odpierania napaści. Kiedy w kadłubie tym wieje pustymi kiszki wiatr głodu, ty byś chciał puste kiszki napełnić śpiewnym dźwiękiem Słowackiego.

CZAROWIC

Przynoszę wam nie śpiew, lecz wyzwolenie z kajdan waszych przesądów i szaleństw. W nas samych leży wyzwolenie. Naród polski sam, przez bezwład duszy swojej, wzywa najezdniczy rząd, żeby regulował sprawy między Polski odłamami. Któż nam wszystkim może odjąć siłę przeistaczania się z kształtu w kształt? Kto zaprzeczy narodowi prawa do stawania się dobrowolnie ludem? W naszej to jest mocy zjednoczyć ręce i poprzysiąc sobie wyzwoliny. Jeżeli każdy z nas da prawą rękę na to, że pójdzie w jednym ze wszystkimi celu, któż nas złamie?

GŁOS W TŁUMIE

Czy to tylko nie prowokator?...

CZAROWIC

Jeżeli w tę drogę pójdziecie, dokąd ja idę sam, nie złękniecie się prowokatora. Pół serca polskiego zgnilo od skira<sup>81</sup>. Nie można już w kole braci mówić do braci bez ohyd- nego przekleństwa trwogi, że słucha w kole utajony szpieg. Nie można słuchać mowy braterskiej bez plugawego pytania w sercu: azali nie przemawia zdrajca. Wytężył wróg siłę swoją dzięki nam samym tak daleko, że zasiadł w kole naszej narady i w szepcie spisku naszego uczestniczy. Wyzywa na śmierć śmiałka i wiesza go ze śmiechem na haku. Ale ty masz w sobie moc wyrwania się z pęt, ducha nieśmiertelny polskiego ludu! Ty, coś przymierał głodem za kolejowego strajku, coś tyle krwi wylał, wiernie wspierając każde hasło, dałeś dowód, że posiadasz w sobie siłę do wyzwolin. Ja nie przynoszę ci nowego, po tylu innych — hasła. Nie przynoszę nowego rozkazu. Przynoszę radę. Słuchaj mię, serce ludowe, przez miłość dzieci, które rosną w hańbie niewoli! Ozdrowiej, serce zarażone od skira zdrady! Podnieś się, męstwo!

GŁOS W TŁUMIE

Kto ty jesteś?

CZAROWIC

Jestem żołnierz.

GŁOS W TŁUMIE

Skądże to do nas przychodzisz, żołnierzu?

CZAROWIC

Przychodzę do was z daleka.

GŁOS W TŁUMIE

Z jakiej jesteś partii?

CZAROWIC

Byłem grzeszny przed wami, podbudzając was zgłodzonych, bezbronnych do boju, aczkolwiek nie miałem pewności zwycięstwa. Teraz wam wyznaję winę. Byliście najpo- chopniejsi do porzucenia życia, gdyż dola najwięcej z was życia wyżarła, a rewolucja kosz- towała was tylko tę resztę przeżartą od chorób — więc na wasze barki waliłem pospołu z innymi najcięższy trud. Wyście najchętniej brali na ramiona posłannictwo śmierci. Teraz już do boju nie wystąpicie bez pewności zwycięstwa. Do boju za was wszystkich wystąpię ja sam i tacy jak ja, jeśli ich ta ziemia wyda. Wojnę wydam wrogowi i sprzymierzeńcowi wroga w ojczyźnie ja sam i tacy jak ja, jeżeli się znajdą w ojczyźnie. Nie wydamy wojny bez pewności zwycięstwa. Ażeby osiąść pewność zwycięstwa, trzeba osiąść broń, środki i sposoby walki. Ażeby je osiąść, trzeba zacząć nie od rzeczy najłatwiejszej, od posyłania zimnym gestem wodza bliźnich na śmierć, bliźnich, których życie zżarło, a śmierć przy- wabia — lecz trzeba zacząć od rzeczy najcięższej, od posłania na śmierć siebie samego, gestem męża, który wie wszystko, a rozkazuje tylko sobie samemu. Trzeba rozum własny niezmiernymi, o wściekłość i szaleństwo zahaczającymi pracami — wygiąć w łuk śmier- cionośny. Trzeba wykuć w pracowni bogów strzałę zatrutą. Skoroście wy przegrali sprawę w walce z wrogiem i ze sprzymierzeńcem wroga w ojczyźnie, to teraz my samozwańcy, — łamać się będziemy z wrogiem i światem. Wszystko poczniemy dla was, lecz bez was. Na

<sup>81</sup>skir (daw.) — ciężka choroba degeneracyjna: rak. [przypis edytorski]

nas się zwali cały ciężar walki. Na nas się zwali nienawiść i zemsta świata. Nie darujemy sobie wywczasu, gdy wy jęczycie u boku maszyn. Ani jeden z nas nie będzie spracowany. Ujrzycie nas w oddali, w których zamieszka Polska, i musicie pokochać się w widziadłach naszych. Wyrzeczemy się dla was wszystkiego, zwleczemy szaty aż do ostatniej koszuli. Będziemy, samozwańcy, łamać za dnia berło przemocy, czegoście wy nie zdołali złamać; będziemy wołać po nocy o dobrowolne wyzwolenie. Czego nie dokaże nasz głos, dokaże siła. Przetniemy wrzody zbierające na ciele narodowym od czasu Sasów, żeby nareszcie wyszła z nas zgniłość.

Ozdrowieje ciało polskie. Przejrzą źrenice, zalane krwią szaleństwa. Będziemy zdrowiejącym głosić pismo polskie: zrzeczenie się prawa do gwałtu i do pobratymstwa z wrogiem zewnętrznym.

KRZYK TŁUMU

Nie rozumiemy, o czym gadasz. Gadaj nam z rozumu do rozumu!

CZAROWIC

Mówię do was szczerze. Podnoszę do majestatu waszego cierpienia głos mojej samotnej duszy. W was, ludu roboczy, który jesteś w niedoli swej świętą raną bolesną, wiecznie otwartą na błoto, syпки kurz i mróz — tai się w ukryciu tyrania, wyzysk, zdrada, rozpusta i wszelka zbrodnia, która przed oczyma waszymi jawnie wybuchła w uczynkach waszych tyranów, wyzyskiwaczy i rozpustników, żyjących z waszej krwi.

KRZYK TŁUMU

Precz! Znieważa nasz ból! Oszust! Wygnać! Wyrzucić!

CZAROWIC

Skoro my, samozwańcy, podejmiemy walkę ze sobą i ze światem, ażeby do was przyjść w nagości naszych ciał — skoro każdy z nas zamknie w sobie całą polską ojczyznę, to i każdy z was to samo uczynić musi. I wy musicie podjąć walkę ze sobą.

Tak tylko we wszystkich nas może zstąpić polska ojczyzna. Tak ozdrowieje ciało polskie. Tak się wyzwoli dusza.

KRZYK TŁUMU

My nie mamy portek, więc nie mamy co zwłóczyć. Żony nasze rade by właśnie czymś okryć nagość swojego brudu.

CZAROWIC

Nie chcę wam zmniejszyć zarobku. Chcę go wam powiększyć do tej właśnie granicy, gdzie winna być granica posiadania waszych wyzyskiwaczy. Lecz wzywam was do żołnierstwa w wielkości, do zakonu zjednoczenia się duszy ludowej. To zjednoczenie się nasze będzie naszą polską religią.

GŁOS Z TŁUMU

Zdejm buty i chodź na bosaka, kozłowito<sup>82</sup>, religiancie!

CZAROWIC

Nie można wygrać wojny z wrogiem zewnętrznym, jeśli się wprzód nie zespolić, nie opasać znakiem powszechnej szlachetności. Umieście się głodzić w ciągu tygodni, potrafiście wtedy dociągnąć się duszami do paragrafu tego prawa, o którym ja mówię. Był to wasz pierwszy post, był to początek czuwania dusz przed wielkim świętem ojczyzny.

BOŻYSZCZE

do CZAROWICA

Mów im o nagrodzie róży.

---

<sup>82</sup>*kozłowita* (pogard.) — mariawita, wyznawca mariawityzmu: polskiego odłamu katolicyzmu opartego na kulcie Marii (nazwa pochodzi od słów: „*Mariae vitam imitantes*”, tj. naśladowcy życia Maryi), podążaniu drogą pokory, miłości, czystości i modlitwy; wyznanie powst. na przełomie XIX i XX w., po objawieniu Miłosierdzia Bożego, którego miała dostąpić polska zakonnica Feliksa Kozłowska (zw. Mateczką) w 1893 r. i które zobowiązało ją do podjęcia misji uzdrowienia polskiego duchowieństwa; Mateczkę Kozłowską wspierał w jej działaniach ks. Jan Kowalski; mariawici działali początkowo w ramach kościoła rzymskokatolickiego, zachowując jego zwyczaje i praktyki pobożnościowe, jednak w 1906 r. papież Pius X nałożył na założycieli wspólnoty ekskomunikę. [przypis edytorski]

CZAROWIC

Cóż człowiekowi przyjdzie, chociażby strajkiem wydarł z fabrykanta niebywałą zapłatę? Przydarzyło mi się widzieć takich, o czym tu już słowo padło, że wydusiwszy z fabrykanta niebywałą zapłatę, po dwie brali utrzymanki, a bawili się nimi tylko do czasu ciąży. Potem je wyrzucali na bruk...

KRZYK TŁUMU

Kiedy fabrykant nurza się w rozpuście, ty do niego z kazaniem nie idziesz. Precz, zdraco robociarskiej sprawy, płatny fabrykancki agitatorze, romantyku, ideologu, obłąkańcze, ojczyźniaku!

CZAROWIC

Daleko, tam, skąd przychodzę, widziałem na własne oczy takich, którzy wyrzekli się byli ojca i matki, umiłowanej kobiety, szczęścia ojcowstwa, domu i ojczyzny, sławy i własnego odzienia — widziałem takich, którzy wdziali kajdany i więzienną opończę na całe życie, ażebyście wy mieli coraz lepszy dom i coraz lepszą zapłatę, ażebyście mieli żony i utrzymanki, ażebyście mogli hulać po nocy i pić zdrowo.

Musicie i wy — przez honor proletariacki! — rzec się prawa do hulatyki i rozpusty. Mówią tamci: nikt nie wyrzekł się więcej niż ja — ani jeden proletariusz nade mnie! — Musicie i wy przez miłość wspólnego ideału...

KRZYK TŁUMU

Wynoś się raz nareszcie, idealisto, mnichu, kozłowito! Kładź na się kajdany i więzienny strój!

## OBRAZ DRUGI

*Wnętrze szopy na polu, murowanej z kopanego w głębi ziemi kamienia, który zowią siwakiem. Bryły nieforemne kamienia spojone są gliną. Dach kryty papą smołowcową. Powąły nie ma, podłogi również. Do wnętrza prowadzą wielkie, stajenne wrótne, w danym momencie przymknięte. Szereg podłużnych okienek w górze pozabijano umyślnie deskami, żeby wytworzyć ciemnię. Ławki z tarcic, przybitych do słupów, powbijanych w ziemię, ustawiono w poprzek wnętrza. W środku sali na pace od obroku, dnem do góry wywróconej, stoi duża, najnowszego systemu latarnia czarnoksięska. Na przeciwległej ścianie szerokie, białe płótno. Tłum chłopów, rzemieślników, dziewcząt, chłopców ze szkoły, dzieci i garść osób z inteligencji zajmuje ławki, stoi w kątach, siedzi na brzegu paki, zwisa z gzymsów muru pod dachem. Na dworze mrok. Zima. Wiatr. Śnieg z deszczem. Na płótnie ukazują się obrazy rzucane z latarni czarnoksięskiej. PRELEGENT, człowiek młody, o pięknym głosie prowadzi wykład. Twarzy jego w mroku nie widać. Tylko długie jasne włosy słabo bieleją.*

PRELEGENT

Ten siedemdziesiąty szósty z rzędu odczyt nasz w tej szopie, ze względu na przypadającą dziś rocznicę styczniewego powstania, koło nasze postanowiło wypełnić obrazami Artura Grottgera i objaśnić te obrazy w odczycie. Niech was to nie dziwi, że te obrazy przerywają nasz systematyczny kurs nauk, któryście<sup>83</sup> już słyszeli.

Nie mogliśmy o pamięć tego dnia zapomnieć, a malarz, którego dzieła wam tutaj pokażemy w obrazach świetlnych, najlepiej nam przypomni dzieje powstania.

*Obok PRELEGENTA staje młoda kobieta i dwa kwadratowe przezrocza wsuwa w ruchomą ramkę latarni. Przesunęła lekko ramkę. Ukazuje się na dużym płótnie prześliczny, wielce powiększony obraz aresztowania z Polonii Grottgera. Głuchoniemy zachwyt ogarnął wraz zgromadzonych. Nie słychać ani jednego głosu, ani jednego tchu. Wiatr tylko wyje w szparach poddasza i pluszcze wilgoć ściekająca.*

Co to było powstanie? Niejeden z was je pamięta...

KUBA

*stary wyrobnik, wzdycha*

Och!... Albo się to człowiek mało naterał w polach, w partii Lelewela<sup>84</sup>...

<sup>83</sup>któryście (...) słyszeli — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika, inaczej: który słyszeliście. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>partia Lelewela — demokraci. [przypis edytorski]



PRELEGENT

Ja powstania nie widziałem. Urodziłem się znacznie później. A przecież je znam, jakoby czas, który się za młodu na oczy widziało. Widziały ten czas na własne oczy matki nasze i dużo nam o nim mówiły. Powstanie — był to czas, kiedy ludzie polscy różnego stanu, majątku i zajęcia chwycili za broń, wydali wojnę najezdnikowi, wyszli z domów, tułali się po lasach, spali na gołej ziemi. Spał na gołej ziemi nasz Kuba i spał jaśnie pan ze dwora. Wojnę tę przegrali, a za swój czyn wycierpieli najsroższą karę w Sybirze, na wygnaniu i w mniemaniach swoich rodaków. Różne są sądy o tym ich uczynku i rozmawia się przedstawiane dzieje tych lat. Można powiedzieć, że co człowiek, to inny sąd o tej sprawie wydaje. Ja nie chcę tutaj przyłączać się do żadnego sądu i żadnego mniemania nie będę się trzymał. Postąpię sobie tak, jak ów malarz, którego obrazy wam pokażą. Uczczę wraz z wami wolę czcigodną tych ludzi polskich, którzy wyszli z domów, rzucili rodziny, dzieci, interesy, tułali się w lasach, spali na gołej ziemi, ponieśli rany i śmierć, żeby los kraju poprawić, a potomnym dać wolność i szczęśliwszą dolę.

*Tłum głucho i głęboko westchnął. Uczniowie ze szkoły rzemiosł, wyrostki pod wąsem, skupili się ramię w ramię w niemym milczeniu, patrząc, zacisnąwszy zęby. Dzieci ze szkół początkowych szepcą, pokazując sobie szczegóły obrazu. Słuchacze kursów wieczornych sennie, głęboko dumają.*

Co oznacza ten obraz, który tu widzicie? Jakiś człowiek spał był w domu. Nad łóżkiem jego widać półkę, na niej książki...

*Cizba posuwa się bliżej, falą. W ciągu sekundy trwa zjednoczenie inteligencji, posiadaczy, rzemieślników, chłopów, robotników w uniesieniu, które mogłoby się stać źródłem odradzającego czynu. Nikt w tym gronie nie mógłby powiedzieć: Polska — to ja. Wszyscy mogliby o sobie powiedzieć: My — to Polska. W ciągu krótkiej sekundy trwa stan, jakiego w życiu gromadzkim Polski nie ma wcale, a jaki w ludzkiej i wojsku japońskim, prowadzącym wojnę, był ciągle a bez odmiany: zdolność do ofiary, uniesienie czynne, czyli miłość ojczyzny, świadoma swego źródła, swych dróg i celu.*

PRELEGENT

Oto w nocy wdarł się do mieszkania nieprzyjacieli. Znacie te dzieje: lomotanie we drzwi po nocy, najście zbirów moskiewskich na dom, rewizja, aresztowanie.

*Dwaj rzemieślnicy — MULARZ i MALARZ pokojowy — chyłkiem uchylają wrót i wymykają się na zewnątrz. Za drzwiami pod okapem dachu zapalają papierosy i z cicha gwarzą.*

MULARZ

Zimno psiamać! A będzie paplał najmniej z godzinę. Dopiero się zaczęło, a mnie już gnaty zdrętwiały.

MALARZ

Siedziałby oto człowiek u Mendla, wydoiłby tę butelczynę piwa... Nie! Stercz co niedziela w tej budzie, słuchaj o fizykach, elekstrykach, botanikach, balonach, gwiazdach i sztucznych nawozach. Choroba!

MULARZ

Nudno, że człowiek na stojącą zasypia.

MALARZ

No, ja muszę tu głębię świecić i uśmiechać się, jak zapisał, bo mi się u nich szykuje robota na całe lato przy tej ta ich wariackiej szkole, ale pan czego się tu flańtasz, to mi w głowę nie włazi.

MULARZ

A mam w tym swoje rachunki. Chciałbym wziąć robotę u tego na górze.

MALARZ

Widział pana już?

MULARZ

Dydek<sup>85</sup> go ta spenetruje. Szedł koło mnie, nawet okiem rzucił, jakem mu czapkował, ale czy mię widział, to kto go ta „rozbierze”. On zawsze patrzy tak, jakby widział akuratnie nie to, na co patrzy. Diabli wiedzą, co to jest za człowiek.

MALARZ

A wiesz pan, że ja jużem sobie nieraz myślał nad tym — co to jest za numer.

MULARZ

Jakiś w tym szwindel, mój panie, musi być. To by bez szwindla nie obstało. Po co by to robili? Przecie to koszta, zabiegi, starania. Albo to tamte, endeki, nie urządziły odczytów? Przecie to samo latali po wsiach z tymi swoimi latarniami jak koty, kiedy im ogony w patyki powszczepiać. Pokazało się potem, o co szło. O poselstwa. Zostali posłami — „do izby” — hy! — i szlus. Żadne im ta teraz odczyty nie w głowie, jak sobie do tej „izby” powchodziły — i po cztery tysiące rubli na rok w kieszeń pchają.

MALARZ

No, ja panu powiem, że człowiek człowiekowi nie równy. Ci sami na te interesa psioczyli. Diabli ich ta zresztą rozgryzą, o co im idzie. Jakies w tym pewnie mają osobne wyrachowanie. Teraz nędza w modzie. Im większy pan, tym głodniejszemu oberwańcowi rękę podaje, bo przez to większego waloru nabiera.

MULARZ

To jest prawda, wiesz pan, że bywa między nimi i dziwny człowiek. Na ten przykład choćby ten biały. Całą jesień w tym ta sklepiku kooperackim przesiedział, naftę i śledzie, tabak i słoninę sprzedawał, ręce poodmrażał... Powiedźże mi pan, co miał w tym za interes? Jużci jakiś interes musiał mieć, ale teraz nie widać. Albo może jucha taka już strasznie głupia, że nie ma o czym gadać...

*BOŻYSZCZE i CZAROWIC wychodzą z za węgła szopy i zbliżają się do rozmawiających*

CZAROWIC

Dobry wieczór! Można posłuchać odczytu?

MULARZ

Czy ja wiem? A panowie skąd?

CZAROWIC

My jesteśmy podróżni.

MULARZ

A skądże panom było wiadomo o tutejszym odczycie?

CZAROWIC

Słyszeliśmy od chłopów we wsi.

MULARZ

A żaden z tych chłopów nie przyprowadził panów? Czemuż to? Co to za chłopci gadali o odczycie?

BOŻYSZCZE

Jeden z nich powiedział swe nazwisko: Grześ Wójcik. Młody chłopiec, dorodny, rumiany, wysoki. Grześ...

MULARZ

A Grześ — no to co innego. To już wiadomo.

CZAROWIC

Więc można?

MULARZ

Jeśli Grześ powiedział — to można.

*BOŻYSZCZE i CZAROWIC wsuwają się do wnętrza i wsikają w tłum zwarty.*

<sup>85</sup>dydek a. dydka — diabeł. [przypis edytorski]

MALARZ

Zrazu myślałem, że szpicle, ale to, widać, z Grzesiowej kompanii.

MULARZ

Co by tu zresztą mieli do szpiclowania. Na te odczyty jest pozwolenie. Sam przecie głupi wójt słucha...

*Uchylają drzwi i nastuchują.*

PRELEGENT

Oto znowu inny obraz. Wnętrze dworu. Widzicie te płaczące kobiety? Straszna przyziół wieść człowiek, który stoi... Cóż to za wieść mógł przynieść ten człowiek?...

*BOŻYSZCZE niewidzialnie staje za plecami osoby zakładającej klisze i w chwili jej niewuagi w opróżnione miejsce po wyjęciu obrazka spuszcza kliszę swoją. Niewiasta przesunęła ramkę. Ukazuje się obraz nienależący do cyklu Polonii. Widać w oddali górę zarosłą jałowcem. Pod nią wioska. Na przedzie obrazu oplotki i droga, której koleiny biegną wprost ku widzom. Tą drogą ucieka powstaniec półnagi, skrwawiony, ranny na całym ciele. Twarzy jego nie widać, gdyż jest zapuchnięta od przebić bagnietem i zalana krwią. Na włosach ma jak gdyby czapkę ze krwi zaschniętej i zaskorupiałej — nogi bose. Po jego zgrzebnej koszuli sączą się czerwone strugi. Gonią go chłopci z wioski podgórskiej w Kieleckiem — rzucają węń kamieniami, skibami przemarzłej ziemi, żeby go oszołomić, pojmać, związać i za zapłatę odstawić skrzepowanego do miasta, generałowi Czengieremu. W tłumie odczytowanym gwałtowne, nieme poruszenie.*

PRELEGENT

*oniemiały wpatruje się w obraz. Przeciera oczy. Szeptce.*

Co to za klisza? Skąd taki obraz? Usunąć! Proszę natychmiast usunąć!

*Pomocnica przesuwa ramkę.*

To była jakaś pomyłka. Zapłatana klisza skądinąd... Wracam do rzeczy. Musimy rzucić zasłonę na wszystko, co było w tej przeszłości okrutnego z jednej lub drugiej strony. Czas już zapomnieć i czas przebaczyć! Musimy z tej przeszłości wybrać tylko to, co nas łączy, co nas spaja, co nas podnosi, ożywia, w czym jest siła, honor i wesele życia.

*BOŻYSZCZE w opróżnioną po wyjęciu kliszy przegrodę ruchomej ramki wpuszcza nowe przezrocze. Ukazuje się wnet obraz zamglony, w którym na początku trudno coś rozpoznać. Stopniowo, jakby ze mgły, wylaniają się budowle, później coraz wyraźniej widać gumno, tłum ludzi, człowieka obnażonego na śniegu. Śnieg skrwawiony. Nareszcie z olśniewającą wyrazistością widać ohydny scenę jakiejś kary. Rozciągnięty nieprzystojnie chłop drga pod łozami. Prelegent gwałtownym ruchem odsuwa kliszę. Ukazuje się scena, gdzie chłopci pomagają zbierać rannych na polu bitwy.*

PRELEGENT

Oto mamy widok ojczysty, widok, który nam serce krzepi. Takich oto wszyscy potrzebujemy gwałtownie widoków, które by nam nie wątlily serca, które by w nie wlewały siłę i otuchę umacniającą!

CZAROWIC

*z głębi audytorium*

Na pół godziny uniesienia. Po upływie tego czasu już znowu potrzebujecie widoku, który by w was wlewał siłę i otuchę umacniającą. Ciągłe się tak krzepicie i umacnacie, odwrócenie od prawdy, ciągle się podpalacie i grzejecie, a zimni jesteście jak sople lodu, martwi w całych kupach, jak kupy popiołu!

PRELEGENT

*groźnie*

Kto mówi?

CZAROWIC

*groźnie*

Gorycz mówi.

PRELEGENT

Och, ta uroczysta, bezsilna gorycz wasza, którą po nieszczęsnej ziemi obnosicie jak upadła dziewczyna swój bezwstyd — nie umiając nic nowego wskresić, nic mocnego związać!...

CZAROWIC

Lepiej jest obnosić pajęczynę obłudy, zalepiać nią po staremu rany wygniłe. Należy być młodym Tobiasza synem<sup>86</sup>, wyszukać żółć we wnętrznościach ryby i żółcią trzeć oczy ślepego ojca, żeby światło ujrzały. Niewola leży w nas samych. Niewola leży w ruchu ręki twej, kiedyś obraz niemiły odepchnął...

*Za szopą, w nocy, daleko słychać urwany, niespokojny krzyk. Chłopiec wiejski, dwudzie-stoletni, GRZEGORZ WÓJCIK, bez czapki, z roztrzepanymi włosami, wbiega do szopy, wołając.*

GRZEGORZ

Kozacy we wsi!

PRELEGENT

Spokojnie! Bóg zapłać, Grzesiu, za ostrzeżenie. Mamy papier zezwalający na odczyt...

GRZEGORZ

Pytali się o drogę do szopy. Pokazałem im w inną stronę. Ale tu trafia.

PRELEGENT

Zgasimy latarnię. Rozejdziemy się powoli, bez popłochu. Kiedy przyjadą, będzie tu już pusto. Tylko bez popłochu! Spokojnie, spokojnie!

*Gasi latarnię. Zebrani powoli opuszczają szopę. Słychać szepty niespokojne dzieci, płacz kobiet. Ktoś wynosi latarnię. Chłopcy ze szkół z wolna wychodzą za drzwi. W nocy na zboczach góry widać płomień smolnej pochodni, wskazujący szlak, którym pędzą kozacy. Słychać głuchy tętent koni. Pochodnia zapada w dolinę, ukazuje się na sąsiednim pagórku i zdaje się lecieć w powietrzu przez czarne pola ku szopie. Wiatr jej płomień szarpie i rzuca go na strony. Z tłumem, który się oddalił na przeciwległe wzgórze, dochodzi pogwar, pomruk, szept. Tętent coraz bliższy. PRELEGENT spokojnie zamyka wrota pustej szopy i odchodzi w noc. Przed zamkniętymi drzwiami zostaje BOŻYSZCZE i CZAROWIC, obydwoj w czarnych, żelaznych zbrojach, na głowniach mieczów oparci. Czekają.*

## OBRAZ TRZECI

*Wielka sala balowa przeistoczona na czarodziejski pałac. Tłumy publiczności. Na galeriach, w lożach pięter i parteru wychylone ku głębi różno-białe gorsy koszul, koafiury i obnażone ramiona kobiece. Wnętrze sali tak doszczętnie wypełnione jest przez publiczność w fantastycznych kostiumach, w strojach balowych i frakach, że dla tańczących został jedynie wąski, dwumetrowej szerokości, przesmyk, jak elipsa obiegający wokół salę. W przesmyku tym krążą, kołują do taktu walca i marząco wypoczywają pary tańczące. Muzyka rozkołysała już ludzką masę. Wysoce artystyczne a oryginalne upiększenie sali za pomocą witrażów i specjalnie w tym celu wykonanych obrazów przez najmłodniejszych artystów — dodaje zabawie szczególnego uroku. Balkon przystrojony jest fryzem, zwieszającym się na salę. Żyrandole elektryczne, przyćmione fantastycznymi przezroczkami, rzucają światło podnoszące nastrój nerwowy. — Wszystkie oczy kierują się ku sztucznie wzniesionej estradzie przybranej w girlandy kwiatów, gdzie z pasowej kotary z ciężkiego aksamitu mają się ukazywać fantastyczne postacie i symbole. Snują się coraz żywiej gospodarze balu. Gwar rozmów staje się coraz bardziej podniecony i przemienia się jak gdyby w akompaniament dla innerwacyjnych ukołysań muzyki. Zapach perfum ulatuje nad salą. Migocą brylanty i roziskrzone oczy, lśnią wielobarwne materie, pióra wachlarzów i łagodnie mieni się między czarnymi frakami biały atlas. Nowe fale wciąż napływają przez rozwarne drzwi, a nie znajdując już miejsca w sali, wypełniają przedsionki, parlatoria, marmurowe schody i boczne korytarze. Radość kipi w tym tłumie jak szampan w kielichu. Zbiorowy, radosny pół okrzyk cizby balowej daje się słyszeć, gdy z nagle rozsunięto szkarłatną zasłonę. Jakoby w ramach szerokich ukazuje się postać kobieca w czarnym, szerokofałdzistym, aksamitnym kostiumie. Wysoki, czarny kaptur okrywa jej głowę, obfita szata, niby z całunu*

<sup>86</sup>Tobiasz a. *Tobit* — postać biblijna, gł. bohater *Księgi Tobiasza*; jego syn, również o imieniu Tobiasz (znaczenie: „Jahwe jest moim bogactwem”), idąc za radą archanioła Rafała, przyłożył ojcu na dotknięte bielmem oczy żółć ryby wylowionej w czasie przepawy przez rzekę Tygrys, co przywróciło Tobiaszowi seniorowi wzrok; podobnie młody Tobiasz, dzięki archaniołowi, wypędził ze swej żony Sary złego ducha, Asmodeusza, który doprowadzał do śmierci wszystkich jej dotychczasowych wybranków. [przypis edytorski]

ściągniętego z katafalka uszyta, osłania jej postać. U dołu szaty wyhaftowane białe róże sliczny stanowią ornament, szlak jak gdyby żałobny. Mała rączka, w tym na pozór celu, żeby dać swobodę zstępującym stopom, wolno unosi brzeg żałobnie ciężkiej szaty i odsłania w cielistej pończosze nogę aż do kolana. Spod posępnego kaptura wychyla się piękna twarzyczka, nosząca znamię niemal — dzieciństwa, tudzież skończonego diabelstwa. Naiwne, błękitne oczy zezują na prawo i na lewo, delikatne usteczka przystrajają się w uśmiech czarownie zepsuty od zarania. Snopy rażącego światła reflektorów, umieszczonych gdzieś w głębi teatru, padają na postać, uwydatniając niezwalczony wdzięk tej rozpustnej żałoby. Piękna, aksamitna suknia boleśnie lśni w świetle. Pod czernią falują od wzruszenia młode piersi. Postać z lekka nachyla się, gdy ją kamieniuje burza oklasków, i zsuwa się falisto ze schodów, zupełnie jak towarzyszka Messaliny w obrazie Aubry Beardsley'a. Z grupy panów stojącej obok estrady słychać głosy.

PIERWSZY

Cóż za uśmieszek!

DRUGI

Co za spojrzenie!

PIERWSZY

No, to musi być numer taka panna!

DRUGI

Co za wdzięk w uchyleniu tej czarnej spódnicy...

TRZECI

Czy nie znajdujecie panowie, że taka spódnica to przecie dla nas klęska.

DRUGI

Ona to dobrze wie.

TRZECI

Jeżeli wie, to czemuż urąga naszemu bólowi.

PIERWSZY

Może ów ból dałoby się za jakąś cenę ukoić...

TRZECI

A czy nie wiecie przypadkiem, kto to taki?

DRUGI

Oho! — Już połknęliśmy haczyk...

TRZECI

Ależ nie! Tylko że wyszła tak niespodziewanie, jak z obrazu tego rozpustnika Beardsley'a wyszła, jak tamta wychodzi z za cielska Messaliny.

DRUGI

A gdzież jest Messalina?

PIERWSZY

Dajże pokój! Wszakże ta żałobnica wystarczy...

*Rozwarła się, przed chwilą zawściągnięta, zastona. Ukazał się rycerz, zakuty od czuba do pięt w błyszczącą zbroję blaszaną, w hełmie ze spuszczonego nanośnikiem, z olbrzymim mieczem drewnianym i kitą, świeżo umalowaną na czerwono. W tłumie słychać głosy.*

PIERWSZY

A... otóż i nieodzowny rycerz...

DRUGI

No, dobrze, owszem. Widzimy. Brawo, rycerzu, z ciotczynym piórem, świeżo ufarbowanym! Widzieliśmy.

TRZECI

Jesteśmy ludzie niewojenni, nad-cywilni, pozamilitarni. Nic nie mamy do czynienia z pałazami. Darmo nas podjudzasz do „czynu” swym blaszanym durszlakiem.

CZWARTY

Podnieś no — nieustraszony — maskę z fizjonomii!

TRZECI

Nie udźwignie, bo to z prawdziwej blachy cynkowej, wyprodukowanej w Dąbrowieckim Zagłębiu.

DRUGI

Ostrożnie! To może jaki Zawisza Czarny...

TRZECI

Dziś już takich nie ma. Są tylko Wisusy spod Czarnej Topoli.

CZWARTY

No, i czegoż on jeszcze stoi? Widzieliśmy, nawzdychaliśmy się. Jesteśmy ludzie umiarkowanej ambicji *Bella gerant alii* — mój blaszany Zawiszo — my siejemy rzepę wszędzie, gdzie się tylko da, tudzież buraki na tym właśnie miejscu, gdzie toczyły się boje. Potrzebujemy godziwej zabawy i dlatego przybyliśmy w to miejsce — nie znajdujemy jednak, żeby patrzeć na ciebie...

TRZECI

Potrzebujemy widoku ognistych kobietek...

CZWARTY

O, ten znowu swoje! Nie nadajesz się do dyskusji.

TRZECI

Ja, istotnie, sam to czuję, że nadaję się tylko do dziewcząt...

PIERWSZY

Panowie! Skoro niczego nie szanujecie, szanujcie wszelako — przeszłość.

TRZECI

My przeszłość szanujemy w miarę możliwości — *wszelako* wolimy od najbardziej szanownej przeszłości najbardziej współczesne facetki.

*Rycerz, oburzony do żywego daremnym wyczekiwaniem na oklaski, zstępuje okrakiem ze schodów, szeleści złośliwie blachą, kiwa strusim piórem i bezsławnie przepada w masie. Po chwili w szeroko rozsuniętych połowicach zastony ledwo się może pomieścić dama, odziana w doskonale stylowy strój z czasów Diego Velasqueza. Doskonały jest długi jej stanik i podpięcia krótkiej, a niebywale szeroko rozpiętej sukni. Spod splotu rudej peruki wyzierają prześliczne, błękitne oczy i rysy nieposzlakowanej piękności, jakby w kamei rzeźbione. Głosy w dalszych i bliższych grupach widzów.*

PIERWSZY

Bogowie! Cóż to za śliczna papużka...

DRUGI

Ależ to mieszkanie, lokal — taka spódnica.

TRZECI

Lokatorze, uważaj no, że wokół słuchają damy.

DRUGI

Ależ ja w najniewinniejszej myśli, po prostu...

TRZECI

Ja wiem, że ty po prostu...

CZWARTY

Księżniczko! Infantko! Królewno!

TRZECI

Patrzcie, panowie... Z odległych wieków, z dworu Filipa IV przyszła do nas ta dama. Jest jak u siebie. Rozstąpcie się, zróbcie miejsce dla niepisanej jej mości krynoliny. Nie przybyła do barbarzyńców...

DRUGI

Przybyła do narodu, który umie czcić wszelkie na świecie krynoliny.

TRZECI

W tej złośliwości kryje się prawda. Jesteśmy bliscy kultury zachodu — starej i nowej. Drogi nam jest zachód. Cierpimy, przykuci do wschodniego barbarzyństwa.

DRUGI

Cierpieliśmy zresztą tak zawsze. Już Wacław Potocki w *Wojnie chocimskiej* opiewał nasze zmartwienia:

TRZECI

Co za pamięć! A przecież — jak wówczas, tak samo i dziś satyryk był, jest i będzie u nas instytucją najmniej pożądaną i pożyteczną. To rzecz szczególna, że z Polakiem wszystko można zrobić pochwałą, nic naganą. Taka natura.

DRUGI

No, bat nic sobie nie robi z tej natury. Poza sferą bata, istotnie, najbardziej pożytecznym był dla nas zawsze ten, kto w nas wmawiał przymioty, jakich zgoła nie posiadamy. Zdaje się, że to zawsze tak będzie. Pochlebstwo, zda się, najbardziej nas będzie zawsze jednoczyło w naród.

TRZECI

Jakąż społeczność, jakie towarzystwo osób może jednoczyć brutalstwo, wypowiediane prosto w oczy i ze złośliwością? To przecież jest czynnik destrukcyjny...

*Dama à la Velazquez zstępuje wśród oklasków na swych wysokich korkach i natychmiast, otoczona przez tłum mężczyzn, wplata się w taneczne koło. Miejsce jej na estradzie zajmuje dama jak gdyby wyjęta z Rape of the lock Pope'a w koafiurze niezmiernie wysokiej i wspaniałej, w sukni dekolowanej, strojnej i szerokiej. Z oczu jej, ze skrzywionych usteczek, wieje przewrotność, pasja i zmysłowy szal. Dama budzi sympatię. Słychać głosy.*

PIERWSZY

Uroczę jest, moi panowie, życie, zaręczam wam. Nigdy nie skusi mię wasz pesymizm...

DRUGI

Życie jest śmiesznie piękne, jak ta dziewczyna, odziana w tak niewiarogodne objawy cywilizacji zachodniej.

TRZECI

Ona mi przypomina Mozarta, jego muzykę w *Così fan tutte*.

DRUGI

Panie! Życie przemija jak sen. Nie możemy go wcale pojąć, jak nie można pojąć snu. Starość jest zła, potworna, jak przebudzenie ze snu. Jakże wrócić życie, jak wrócić sen?

CZWARTY

Sztuka, poezja...

DRUGI

Sztuka...

*Dama zstępuje wśród powszechnego aplauzu. Wychodzi zza zasłony ułan polski, wszytek złoty od złotych rabatów i lampasów. Lśniący kask bajecznie ozdabia jego zadartą głowę — kita diabła stroi kask. Ułan ćmi fajeczkę brûlé-gueule, poprawia szablę i uśmiecha się z tryumfem do burzy, do szaleństwa oklasków. Głosy.*

PIERWSZY

Nasz!

DRUGI

Oto właśnie! Tego chcieliśmy widzieć!

PIERWSZY

Brawo! Jakby wyrwany z naszych serc!

TRZECI

Nareszcie coś, co krzepi ducha i raduje oczy. Co to za strój, co za dzielność.

CZWARTY

Do mordowania Hiszpanów, broniących swej ojczyzny.

TRZECI

O — już jest!

PIĄTY

Pierwszą nagrodę ułanowi!

TRZECI

INFANTKA

*w stroju à la Velázquez do grupy otaczających ją młodzieńców*

Kiedyż panowie przywdziejecie nareszcie takie oto ułańskie stroje?

BLONDYN

Pani! Już wkrótce. Już bliski jest ten czas.

BRUNET

Czy organizuje się znowu jaki bal kostiumowy?

MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

Młody Izydor Działoszycki — dawniej Działoszycker — kazał się portretować w stroju tego ułana. Malował go sam Drągal, zwany Pinturichio... Mundur i inne efekta żołnierskie, które mamy szczęście widzieć na tym indywiduum, są indywidualną własnością Izia z Działoszyck Działoszyckiego.

DAMA W WIEKU

*do otaczających pań*

„Matkami niewojennej — niech wam wstyd będzie zwać się generacji”...

PAN Z ZAROSTEM

*do wykształconego sąsiada na ucho*

Czy to jest z tego Słowackiego?

PAN WYKSZTAŁCONY

*szeptem*

To, zda się, z Leopardiego<sup>87</sup>.

MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

Ten Leopardi nosił przez całe życie garb z tyłu i garb z przodu. Za pośrednictwem garbu na przedzie brzemienny był w tak krwiożercze aforyzmy.

PAN Z ZAROSTEM

Takie wiersze w epoce rozbrojenia i konferencji w Hadze! My zawsze spóźnieni jesteśmy w stosunku do Europy i jej kultury co najmniej o pół wieku.

MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

*uspokajająco*

To tylko mamy na pociechę, że możemy się łatwo rozbroić. Gwiżdźmy na tego żołdaka, zmusimy go jednomyślnie, żeby zmykał do garderoby, zdjął lampasy, oddał je do zbrojowni Izia Działoszyckiego — i już po naszym rozbrojeniu. Jak sądzisz?

PAN Z ZAROSTEM

Mogłoby to damom zrobić przykrość, gdybyśmy się względem tego złotego lansjera czy szwoleżera tak nieżyczliwie i niegrzecznie zachowali. Byłoby to nie po polsku, niegrzecznie i nie wiadomo by z jakiego powodu.

---

<sup>87</sup>Leopardi, Giacomo (1798–1837) — filozof i poeta wł. epoki romantyzmu, prekursor pesymizmu jako systemu filozoficznego. [przypis edytorski]



MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

I na to jest rada. Moglibyśmy się zasłonić względami natury politycznej. Moglibyśmy zapytać, czy należy drażnić czynniki miarodajne widokiem żółtych lampasów w chwili wyteżonych „zabiegów” naszego przedstawicielstwa i w sposób lekkomyślny utrudniać wymienione *zabiegi*? Jak sądzisz?

PAN ŁYSIEJĄCY

Dysputa polityczna? Panowie — w konie! Zmykajmy, uchodźmy sromotnie do bufetu, zasłońmy się od walki tych stronnictw małą czarną i większym Curassao de Chypre.

GRONO DAM

Ułan — brawo! Ułan — brawo! Brawo!

*Ułan z męstwem schodzi ze stopni. Na jego miejsce wysuwa się nieśmiało zwyczajny zakonnik, jowialny grubasek z uśmiechniętą twarzą. Wita go szept przychylny, pomruk radosny. Głosy.*

PIERWSZY

A — bardzo nam miło powitać...

DRUGI

Czy to jest wyżej wzmiankowany ojciec Gaudenty?

PAN STARSZY

Moi panowie! Drwijcie sobie z czego wam się podoba. Tylko już od tych spraw — z daleka!

PIERWSZY

My sądziliśmy, że właśnie należałoby się tej sprawie przyjrzeć z bliska.

PAN STARSZY

W takim rozbiću, jak obecne, niechaj to jedno przynajmniej zostanie świętością: kapłan katolicki.

DRUGI

Ależ niech zostanie świętością — my nic nie mamy przeciwko temu.

PAN STARSZY

On nam uporządkuje społeczny stosunek warstwy do warstwy, postawi na właściwym stanowisku, co zostało zepchnięte przez obłąkańców i szaleńców — on wreszcie zaprowadzi wśród ludu należytą oświatę.

MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

Tak jest. Właśnie i ja sądzę, że po podkopaniu Macierzy<sup>88</sup> — jest to czynnik najbardziej powołany do zaprowadzenia należytej oświaty.

PAN STARSZY

Po podkopaniu Macierzy... Łaskawy panie — niech przepada szkoła polska, której nie prowadzi kapłan katolicki!

MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

To życzenie już się ziściło. Jeżeli weźmiemy cyrkiel i jedną jego odnóżkę umieścimy w jakimkolwiek punkcie na mapie naszego kraju, a drugą odnóżką zatoczmy koło

<sup>88</sup>Macierz — Polska Macierz Szkolna, także: Macierz Polska a. Macierz Szkolna, społeczna organizacja kulturalno-oświatowa działająca na terenie Królestwa Polskiego w l. 1905–1907, której idea narodziła się wśród inteligencji warszawskiej zajmującej się pracą oświatową; celem organizacji było krzewienie i wspieranie oświaty w duchu chrześcijańskim i narodowym poprzez zakładanie i prowadzenie instytucji wychowawczo-oświatowych; ochronek, szkół powszechnych, seminariów nauczycielskich, szkół średnich (w tym progimnazjów i gimnazjów) i szkół wyższych, organizowanie czytelni, bibliotek, uniwersytetów ludowych, urządzania odczytów, wykładów, pogadanek, przedstawień publicznych, wydawania i rozpowszechniania książek (przez własne wydawnictwa oraz sieć drukarni i księgarni); działała legalnie, na mocy prawa zezwalającego na prowadzenie szkół prywatnych, w 1907 r. stała się największą organizacją oświatową w Królestwie, liczyła ponad 900 kół zrzeszających 110 tys. członków, prowadziła 681 szkół początkowych (dla 63 tys. osób), 317 ochronek (dla 14 tys. dzieci) oraz 505 bibliotek, Uniwersytet Ludowy PMS zgromadził na swych wykładach ponad 8 tys. osób; 14 grudnia 1907 rosyjski generał-gubernator warszawski zawiesił działalność Polskiej Macierzy Szkolnej; reaktywowana, funkcjonowała następnie na terenie całego kraju w l. 1916–1939. [przypis edytorski]

w stosunkowym promieniu czteromilowym, to na pewno w tym okręgu nie znajdziemy ani jednej szkoły, prowadzonej przez kogokolwiek.

PAN GRUBY

*do kolegów*

Panowie — ostrzegam, tu jest dyskusja o oświacie, o Macierzy i tym podobnych akcjach naglących. Ukazanie się tego świętobliwego starca może spowodować jakieś grubsze składki. Skierujmy się raczej w tamtą stronę, gdzie mówią o rzeczach mniej niebezpiecznych...

*Zakonnik uroczyście, ale bez głębszego wrażenia schodzi z estrady. Złączono zastony. Kiedy się znowu rozsunęły, ukazuje się osobliwa postać kobieca. Jest wysmukła, przecudnie wyniosła. Dwa czarne skrzydła wyrastają z jej ramion. Jedno z nich, wyrosłe z lewego ramienia, strzela wysoko i daleko w górę. Drugie, przetrącone zwisa i wlecze się po ziemi. Czarna, skrważona, potargana szata osłania jej ciało. Wzburzone włosy opasuje żelazny sznur, spięty nad czołem dwiema psimi czaszkami. Bezsilne ręce wsparty się na wielkim mieczu, po którym krew ściekała przed chwilą. Czarujące, tajemnicze, straszliwe oczy widziadła spoglądają w gromadę tańczącą. Bezwładna ręka wzniosła się z głowni miecza i spoczęła na przetrąconym skrzydle, jakby je chciała nastawić i popchnąć do lotu. Ale nie mogło dźwignąć strudzonej postaci skrzydło wywichnięte i nie mógł jej utrzymać sandał zbroczony. Bezwładna ręka opadła na głownię. I znowu nieopisane oczy zwróciły całą swoją siłę w tłum. W tłumie pomruk, niechęć, złość, gniew. Słysząc głosy.*

PIERWSZY

A to co ma znaczyć?

DRUGI

Co to jest właściwie?

TRZECI

Jakiś symbol...

DRUGI

Cóż za symbol? Co znaczy ten symbol?

DZIENNIKARZ ŚLAZ

Już ja się domyślam! Panowie! Jest to echo, zabłąkane z epoki pamiętnej anarchii umysłów, obnażeń płciowych i doktrynerskiego radykalizmu na wszystkich polach etyki i socjologii.

PIERWSZY

Ach, więc to tak...

DZIENNIKARZ ŚLAZ

Spekulanci sensacji, historycy społecznikujący sądzili, że, pokazując nam to piękne dziwo, wytworzą znowu efekt jak za ekstazy wiecowej.

DRUGI

Pomyłka, łaskawcy! Gruba pomyłka!

DZIENNIKARZ ŚLAZ

Umysłowość warszawska zbudziła się już z maligny i ze smutnym uśmiechem ironii spogląda wstecz na dzieje tych bachanalii myśli i słowa, w których sama grała rolę korybantki<sup>89</sup>.

PAN Z ZAROSTEM

Doskonale mówi!

PAN ŁYSIEJĄCY

Bagatela! — Ślaz.

<sup>89</sup>korybantka — żeńska forma od: *korybant*: w mit. gr. jedno z bóstw demonicznych (potomków Kronosa i Rei) a. jeden z uczestników obrzędów kultu frygijskiej bogini Kybele, późn. pot. synonim hulaki. [przypis edytorski]

DZIENNIKARZ ŚLAZ

Koncert waszej ekstazy myśmy nareszcie zdołali zagłuszyć naszym protestem rozsądku i dobrego smaku. Nie damy się już nigdy włóczyć przez oszalałe menady<sup>90</sup> i opluwać przez legiony histeryków i histeryczek.

PAN Z UCZERNIONYMI WĄSAMI

Znakomicie! Po prostu aksjomaty<sup>91</sup>.

PAN ROZTARGNIONY

A kto to mówi tak dużo?

PAN Z ZAROSTEM

Jak to? Nie wiesz? Toż to sam Śláz.

PAN ROZTARGNIONY

Sam Śláz? A cóż to za jeden?

PAN ŁYSIEJĄCY

No, Śláz, publicysta, pisarz, dziennikarz.

PAN STARSZY

Pokażcie mi tego Śłaza, niechże go zobaczę i usłyszę.

DZIENNIKARZ ŚLAZ

Można dziś już rozpocząć dyskusję z jaką taką przynajmniej nadzieją, że w pijanym do niedawna społeczeństwie logika odzyskała swe prawa...

MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

Czy on może na serio zechce rozpocząć tu wykład i dyskutować na temat, jak to logika odzyskuje swe prawa? Co do mnie, to wołałbym rozpocząć dyskusję z tym skrzydlatym symbolem. Czy widzicie te oczy? Toż to чудо! Spróbujmy ją zaczepić, gdy zejdzie na ten padół. (*Szeptem do sąsiada.*) A nuż dałoby się ją wziąć na stajenkę... Ja bym wiele ryzykował...

PAN ŁYSIEJĄCY

Panowie! Słuchajcież z łaski swej. Toż to Śláz mówi!

MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

Niech ten Śláz mówi do innych. Przecie on nic innego nie robi, tylko pisze lub mówi. Kiedy pisze, przypomina mi jedną z działających kieszek gumowych, którymi stróże warszawscy polewają systematycznie rozprażoną ulicę. Woda, strzelająca z kieszki, przypomina strzały, ale to tylko nasza ułuda. Przed każdą warszawską redakcją stoi jakiś Śláz i co dzień strzelającą wodą ze swej kieszki redakcyjnej polewa ulicę. Przed każdą kamienicą stoi materialny stróż i polewa ulicę. Wszystko to pod dyktando komisarzy policyjnych. Jedno i drugie zjawisko jest konieczne. Jedno i drugie zjawisko świadczy, że logika naszego bytu już jest znowu w murach tego, pijanego do niedawna, miasta, ale przyznajcie, na litość — jakże nudne!

PAN STARSZY

Gdyby nie Śláz, nie tak łatwo, jak się to na pozór wydawać może, władza przywróciłaby porządek w kraju. Panowie! Szanujmy Śłaza! Niemało się przyczynił do ocknienia społeczeństwa z owej strasznej maligny...

MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

Ja nie jestem ulicą, a Ślázowie pobierają wynagrodzenie za pilne manewry gumową kieszką i usilność w polewaniu ulicy. Nie widzę powodu, dlaczego miałbym wysłuchiwać trzaskania wody.

<sup>90</sup>*menady* (gr.: szalejące) a. *bachantki* (mit. gr.) — kobiety z orszaku boga wina i płodności Dionizosa (mit. rzym. Bachusa), tańczące w nieokiełznanej religijnej ekstazie. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>*aksjomat* (z gr. *ἀξίωμα*) — pewnik, podstawowe założenie; w tradycyjnej logice matematycznej i filozofii (za Euklidesem): zdanie przyjmowane za prawdziwe, którego, w obrębie danej teorii, nie dowodzi się. [przypis edytorski]

PAN STARSZY

Ze smutkiem widzę, że nie jesteś pan patriotą.

MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

Patriotyzm może być jedynie kultem piękna. Patriotyzm jest systematem myślenia i sumą uczuć osłaniających piękno tarczą ochronną przed barbarzyństwem. Nie widzę w Ślązie nic pięknego.

PAN STARSZY

Wyobraża on pożytek społeczny.

MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

A więc podwójmy mu honorarium. Ja sam najchętniej dołożę nadwyżkę, jaka na mnie przypadnie.

PAN Z ZAROSTEM

Co to jest? Śląz przestał mówić. Śląz gwizdże!

PAN ROZTARGNIONY

W istocie ten Śląz gwizdże.

PAN Z ZAROSTEM

Widocznie zaszła potrzeba.

PAN ROZTARGNIONY

Czy wszyscy mamy gwizdać?

MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

Do diabła! Taka śliczna dziewczyna...

PAN STARSZY

Ale jej się zachciało upiększać okropności i ohydy ruchu rewolucyjnego, anarchię, dzikie rozpasanie bandytyzmu, zachciało jej się sztucznie pięknocią zacierać straszne obrazy zwierzęcości w Łodzi, orgie feminizmu walczącego o równouprawnienie płciowe, zachciało jej się na naszym biednym gruncie symbolizować owymi skrzydłami ekspozyturę rewolucji rosyjskiej — mówię — rosyjskiej...

MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

Przepraszam... Jako zwolennik ścisłości, chciałem zapytać — dlaczego „rosyjskiej”?

PAN STARSZY

Dlatego „rosyjskiej”, że ten przymiotnik — „rosyjskiej” — w opinii ogółu polskiego miażdży ohydę zjawiska w zarodku, zabija samo *principium* tak doszczętnie, jak sublimat właściwie użyty zabija laseczniki. Dlatego — „rosyjskiej”. Czy to nasyciło pańską pożądlivość ścisłości?

MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

To wyjaśnienie nasyciło moją pożądlivość ścisłości, ale zabiło ścisłość pańskiego dowodzenia tak doszczętnie, jak sublimat właściwie użyty zabija laseczniki.

PAN STARSZY

Czy mogę żądać wyjaśnienia — dlaczego? Mianowicie — dlaczego?

MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

Dlatego mianowicie, że ohydę zjawiska istotnego można zabić jedynie odczynnikiem istotnym. Zabicie *principium* za pomocą jego nieścislej genealogii i wmówienia jej w siebie, tudzież w ogół — jest czynnością ściśle polską, czyli nieobiecującą procentu od wyekspensowanego<sup>92</sup> kapitału. Jako zasadniczy przeciwnik rewolucji polskiej poszukiwałem na nią odczynników zabójczych niewątpliwie...

PAN ROZTARGNIONY

do sąsiada

Czy to jakie pe-pe-pe?

<sup>92</sup>wyekspensowany (daw.) — wydany (o pieniądzu). [przypis edytorski]

PAN Z ZAROSTEM

Zdaje się, że to jest jakieś przemądrzałe pe-de, lyse od najwcześniejszej młodości...

PAN ŁYSIEJĄCY

Panowie! Dość tych rozpraw... Podobno należy gwizdać.

PAN ROZTARGNIONY

No, więc gwizdźmy nareszcie!

MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

Ja nie będę gwizdał. Rewolucja jest zwalczona, więc po co się tu fatygować. Zwalczają ją czynniki w tym celu powołane. Zresztą... ta śliczna dziewczyna...

*Postać, wyobrażająca rewolucję, zstępuje z wolna ze schodów, wlokąc po ziemi wylamane skrzydło. Suną się z trudem ze stopnia na stopień krwawe jej sandały, bezwładnie w rękę zwisa ociężały miecz. Nim postać ta dosięgła niechętnego, wzburzonego, a tu i ówdzie wrogięgo thumu, rozdarła się zasłona, ukazując w widzialni nową postać. Jest to Goyi<sup>93</sup> Aquellos Polvos<sup>94</sup>. Skazaniec w wysokiej, śpiczastej, pisanej czapce z żeńskim pióropuszem siedzi na czarnym stołku. Szata dziwna, malowanymi po niej diablami, rodzaj ornatu, okrywa go. Twarz jego wyschnięta w więzieniach, wargi szerniałe w torturach, dłonie boleśnie ściśnięte od długich mąk. Oczy ubite w ziemię. Głosy.*

PIERWSZY

Znowu coś odrażającego!

DRUGI

Ci dekadenci po prostu lubują się w brudach, w obrzydliwościach, w perwersjach i okrucieństwach.

TRZECI

No, to zakrawa już na jakąś prowokację! Cóż to za zabawa, gdzie pokazują same ohydy?

PIERWSZY

Kogóż to ten drab ma wyobrażać, co pokazuje?

DRUGI

Jakieś nowatorskie teoryjki, nowinki z czwartego piętra, osądzone przez rozum publiczny.

TRZECI

Jakiś tedy nowator.

CZWARTY

Jakiś ateusz, burzyciel, nowinkarz, mędrek, zbawca ludu, łowca dusz, łapichłop.

TRZECI

Co za misterna czapeczka!

PIĄTY

Nosek się kawalerowi wydłużył.

SZÓSTY

Buzia zamilkła.

TRZECI

Schudła i wydłużyła się rączka.

<sup>93</sup>Goya, *Francisco José de* (1746–1828) — malarz, autor fresków, grafik i rysownik hiszp. okresu romantyzmu, nadworny malarz Karola III Burbona, Karola IV Burbona i Ferdynanda VII Burbona; jego styl ewoluował od baroku i rokoka, poprzez neoklasyczny akademizm aż do preromantyzmu i preimpresjonizmu. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>*Aquellos Polvos* — rycina Francisco Goyi z cyklu *Kaprysy* (nr 23) zatytułowana *Te pyłki*, przedstawiająca postać męską o zgnębionej twarzy, pochylonej głowie, ze związanymi z przodu rękoma, odzianego w rodzaj habitu oraz absurdalnie długą, stożkową czapkę błazeńską, mężczyzna siedzi na podwyższeniu, jakby na scenie, otacza go poniżej morze głów publiczności, zaś z trybuny naprzeciw niego ktoś odczytuje z książki czy broszury prawdopodobnie oskarżenie; Tytuł wywodzi się z powiedzenia: *de aquellos polvos, estos lodos*, tzn. „z tych pyłków takie błoto”. [przypis edytorski]

CZWARTY

Bo to najprawdopodobniej jakiś Żyd albo socjalista.

PIĄTY

A więc powiadacie, że socjalista?

TRZECI

Socjalistyczny Żyd.

PIERWSZY

Żydowski socjalista.

DRUGI

Ach, ty socjal-żydzie, ty żydowska papugo!

TRZECI

Ty dekadencie! Naga duszo<sup>95</sup>! Jawny lubieżniku!

CZWARTY

Zwyrodniały altruisto, perwersyjny historyku wyrozumiałości dla grzechu, ty, litości-  
wa negacja wszelkich kryteriów etycznych, ty, siewco zgnilizny, obrońco łotrów, wrogu  
ojczyzny i rodziny!

PIĄTY

Zamieraj co prędzej, psie diabelski!

TRZECI

Schowajcie co prędzej to wstrętne żydowskie doktrynerstwo!

CZWARTY

Zasunąć kotarę!

PIĄTY

Nie chcemy patrzeć! Zabrać to co prędzej!

SZÓSTY

Precz z tym! Do trupiarni!

GŁOS Z GŁĘBI SALI

Panowie! Obrażacie wizerunek cierpienia...

TRZECI

Precz z cierpieniem! Tu jest bal, nie szpitalna sala. Cierpienie powinno być wyrzucone  
do odpowiednich instytucji.

MŁODZIENIEC ZŁOŚLIWY

Pragniemy właśnie popchnąć w kierunku trupiarni to, co się ma ku zgniliznie. Nic  
więcej.

PIERWSZY

Kiedyż nareszcie pozwolą nam odetchnąć spokojem, ciszą, pięknem?

DRUGI

Toteż nie zwracajmy uwagi!

TRZECI

Pogardźmy wszystkim tym i tańczmy!

CZWARTY

Tańczmy!

*Zasunęła się kotara. Cisza. Daje się słyszeć głos zza zasłony.*

---

<sup>95</sup>*naga duszo* — iron. nawiązanie do koncepcji teoretyka Młodej Polski, Stanisława Przybyszewskiego, przed-  
stawionej m.in. w manifestie pt. *Confiteor*: „naga dusza” to dusza artysty, wyzwolona z konwenansów społecz-  
nych, przekraczająca stereotypy myślenia i zachowań i przez to zdolna do odczuwania istoty bytu. [przypis  
edytorski]

CZAROWIC

Panie! Panowie! Szeroko, szerzej zatoczcie taneczne koło. Nadszedł nareszcie po nocy tak długiej wesela waszego czas. Nie możemy — niestety, niestety! — przywołać skrzypka godnego was, który by wam do tańca zagrał ulubioną piosenkę. Gdyż odszedł skrzypek ze służby waszej i narzędzie muzyczne zabrał ze sobą. Panie! Panowie! Przywołaliśmy w nędzy naszej ku waszej uciesze muzykusa, na jakiego nas stać. Ubrał się w co ta miał. Związane wprawdzie ma ręce, ale wam zaśpiewa piosenkę ulubioną. Wybaczcie prostakowi. Śpiewajże państwu piosneczkę, warszawski chochole!...

*Zastona się potargala. Stała między jej połowami i zaraz zstępuje ze schodów postać w nakrochmalonym perkalowym worze trójkątnym, spadającym aż do samej ziemi. Śpiczasty róg worka sterczy nad głową postaci. Głowa jej od tułowia oddzielona jest pętlicą stryczka. Reszta urwanego postronka zwisa na piersiach chochoła aż do ziemi. Milczenie zrazu grobowe w tłumie, później popłoch, ścisk, przekleństwa, ucieczka. Słychać krzyki.*

PIERWSZY

Gdzież jest policja?

DRUGI

Co robi policja?

TRZECI

Wołać policji!

CZWARTY

Policja! Policja!

# SPRAWA DRUGA

*Biuro w policji tajnej. Wielka, ciemna izba. W głębi drzwi obite blachą. Na prawo mniejsze drzwi, obite ceratą. Z lewej strony wąskie, wysokie, zakratowane okno. Przód sceny oddzielony jest od głębi grubą, wyświechtaną balustradą, wysokości połowy korpusu człowieka. Z tamtej strony balustrady, w głębi sceny, stoją pod ścianami szerokie, grube ławy. Z tej strony balustrady, od widowni, po lewej ręce widzów biurko naczelnika. Na nim książki, lampa, dzwonek i przybory do pisania. Po prawej ręce widzów, w pobliżu drzwi głównych, pali się wciąż nierówno drżący płomyk gazu. Półmrok. Gdy podniesiono zasłonę, widać w półmroku głębi na ławach ciemne figury oczekujących. Jest ich osiemnastu. Jedni drzemią nieruchomo z głowami opartymi o mur, inni rozmawiają cichaczem, ku sobie nachyleni. Ktoś chrapie z głową opartą na zgarbionych plecach sąsiada. Czterej chodzą z kąta w kąt, rozmawiając. Słychać gwar rozmowy, z którego dolatują słowa i zdania.*

PIERWSZY

Już większego magła jak tamten we czwartek, widzi mi się, że nigdy nie będzie.

DRUGI

Skądże to wiesz, te, Pitagoras? Mnie się i dzisiaj jakoś patrzy łupa jak nigdy.

PIERWSZY

A ja wam mówię, że on sam musiał się nad tamtą zastanowić. O Dudzie się nic nie dowiedział. A kto wie, czy to na wierzch nie wylezie, co z nim było. Kto wie, czy on za tamto nie beknie?

DRUGI

Pleć, gadaj! Koło brylantowe albo włodzimierza z bantom i mieczami dostanie. Wiesz ty teraz?

TRZECI

Kto tam co dostanie, to dostanie, a ciebie, bracie, albo kramolnik kacprem przeżegna, że stracisz ciepło i idziesz się grzać pod zieloną kołderkę, albo w ryło od naczałstwa. Takie twoje pieskie przeznaczenie...

CZWARTY

Co z luftu warczysz? Gnał cię tu kto do dziadowni? Sameś się prosił w szpiony, a teraz wyrzekać! Bierz smutek w troki i wystawiaj dęba, gdzie ci śpiłuje.

TRZECI

Jest takie jedno, że nie daje smutku w troki wiązać. W kieszeni, bracie, ani jednej lzy, do żalowania daleko, dzieciśka skwierczą. A nie wątło ciągiem łeb trzymać na pniaku. Lubi się życie, po prawdzie powiedzieć...

CZWARTY

Lubi się życie i piwonię u Mańki.

DRUGI

Lubi się, kasztanie, piwonię wlewać, a juchę lubi się lać na ziemię, do jasnego skonia! Niechże też czerwona chlusta w ziemię za moje sobacze życie! Tak czy nie?

CZWARTY

No, jużci tak — o co chodzi? Czego to gębą na próżno pleść?

DRUGI

Chciałeś wolności, pętaku, masz wolność. Gdzie możesz prac psią jego mość człowieka, aże mu z kinola wszystka jucha wyciurka? Na ziemię — he? Gdzie ma ciurka? Do nieba? A gdzie masz taką wolność, jak nie tu, w dziadowni? Pozwolą ci prac, psia ich mać, gumą, bykowcem, sprężyną we skórze — i pierzesz, bracie, do zielonego skonania. Bo widzisz, bracie, za twoje sobacze życie!

*W głębi słychać monotonną śpiewkę, którą półgłosem nuci.*



SZÓSTY

PIĄTY

Becki polują na nas, my na nich, bałwanów. Sobacza je ich mama — „Polska niepodległa”!

TRZECI

O, Chrypa, ten wiedział, gdzie prawda. Chrypa! Te, galicyjski matolek, krakowski całujączka, powiadaj, jaka jest prawda...

CHRYPA

Cichajcie, chłopcy! Nie trza prawdy powiadać. Musi się skołatana ojczyzna w jedno zlepiać, to się też i schodzimy w jedno miejsce.

PIĄTY

A tak, my tu są wszyscy *iz pod triach zaborow*<sup>96</sup>.

TRZECI

Chrypa chodził bez szelek po Krakowie, słuchał, jak hejnał grają, rączki jaśniepanom całował za to, że portek nie ma, a teraz swój własny zegar nosi na łańcuchu ze srybła<sup>97</sup>, brzucha nie może zapiąć w łódzki kort<sup>98</sup>, trzydzieści papierów chowa co miesiąc w pulares<sup>99</sup>.

CHRYPA

Zarobek jest abo go nie ma. Ale który z was, gnojki warszawskie, potrafi tak się spracować jako ja? Już jak ja, bracie, tnę kramolnika w pępek, to od jednego tchu macha kozła na Bródno, w piachu się bawić<sup>100</sup>. Nasza krakowska: nie dajmy się!

SZÓSTY

*śpiewa półgłosem*

PIĄTY

Co womitujesz<sup>101</sup>, Stasiak, te wiersze? Co siebie smęcisz<sup>102</sup> i drugiego, te, warszawski poeta? Całe, mówię, towarzystwo we flanelę owijasz i smęcisz, kapusiu zatracony.

TRZECI

Daj mu spokój, daj spokój i sam siedź cicho.

PIĄTY

Efekt psuje! Co tu są Powązki czy Bródno<sup>103</sup>? O efekt idzie, nie o niego. Efekt to grunt, a jego niech jeneral-gubernator do chrztu trzyma — mnie co do tego?

CZWARTY

On mi, Stasiak, coś schudł i dlatego takie pieśni wyśpiewuje.

PIĄTY

Nie schudł wcale, tylko był przedtem z obu stron nabity, a teraz stęchl<sup>104</sup> i bez to<sup>105</sup> nie pasuje do siebie samego.

SZÓSTY

*śpiewa półgłosem*

CHRYPA

Żeby się magiel prędzej skończył, to całą kompanią idziemy najprzód na girę, a potem do Mańki. Mam sześć papierowych fałatów i trochę szmergla. Stawiam — Stasiak

<sup>96</sup>*iz pod triach zaborow* (ros.) — spod trzech zaborów. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>*śrybło* (gw.) — srebro. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>*kort* — mocna tkanina wełniana o skośnym splocie, używana gł. na ubrania męskie. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>*pulares* (gw.) — pugilares; portfel. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>*na Bródno, w piachu się bawić* — tj. na Cmentarz Bródnowski w Warszawie. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>*womitować* (daw.) — wymiotować. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>*smęcić* — tu: zasmucać. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>*Powązki czy Bródno* — nazwy cmentarzy w Warszawie. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>*stęchnąć* — pozbyć się opuchlizny. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>*bez to* (gw.) — tu: przez to; z tego powodu. [przypis edytorski]

słyszysz? — czterdziestkę *per* twarz — i agata do rana. Stasiek — tobie Franka malowana na gniado<sup>106</sup>. Zaraz ozdrowiejesz, bracie!

SZÓSTY

Dobra! Tak to lubię, Waluś. Już jak ty powiesz, to warto ucha nastawić. Chwacki z ciebie krakowiaczek!

CHRYPA

On, Stasiek, tu w dziadowni taki osowiały. Jak wyjdzie na Miodową, sztywniak na pomadzie przekrzywi, parkan od pałta sztorcem najeży, a zaczną na niego grzebieluchy psykać — zaraz mądrzeje.

SZÓSTY

„...A Jasiowi wianuszek uwiła” ...

PIĄTY

A Jasiowi wianuszek francuski uwiła...

SZÓSTY

PIERWSZY

Daj no filipusa, krakowiaczku.

CHRYPA

No!

SIÓDMY

Nie kopc tu, bo i tak smród wszędzie i smród, psiakrew! — w duszy.

PIĄTY

W porę se jaśnie pan przypomniał. Wszystko, jak robić w porę, to robota gra.

SIÓDMY

Idź ode mnie. Nie skowycz!

PIĄTY

No?

SIÓDMY

Idź, mówię! Smród — psiakrew! — w duszy. Merkaptany<sup>107</sup> dokoła — psiakrew!

PIĄTY

Słyszycie, filory, kawaleria warszawska? Jaśnie pan cierpi na duchu. I czego? Przecie jaśnie pan z naczelnikiem przez pół na ty. On do jaśnie pana: ty, draniu! A jaśnie pan mógłby do niego tak samo, ale przez dobre wychowanie woli: panie naczelniku...

SIÓDMY

Wściekam się, merkaptanie! Wiesz, drabie, co to merkaptan?

PIĄTY

Nie miałem dotychczas ciekawości, proszę łaski pana dziedzica.

SIÓDMY

To ty tak śmierdzisz, jak merkaptan, i ja tak śmierdę, jak merkaptan. Mercurioaptusy jeden z drugim — tfu!

PIĄTY

Teraz to już wiem. To tak: nóżeczki pana naczelnika pieczołowicie a z pokorą umyć i brudek polską buzią według skinienia wypić. To już wiem, jaśnie panie.

SZÓSTY

*śpiewa*

<sup>106</sup>malowana na gniado — tj. farbowana na ciemno rudy, kasztanowy kolor (określenie od typu umaszczenia konia). [przypis edytorski]

<sup>107</sup>merkaptany — tioalkohole, pochodne węglowodorów alifatycznych, w których jeden lub więcej atomów wodoru zostało zastąpionych grupą tiolową SH; w większości są to bezbarwne ciecze o obrzydliwej woni (jeden z nich stanowi broń skunksa). [przypis edytorski]

SIÓDMY

Skończ z tym wyciem, francuski pudlu!

PIĄTY

Szlachcic, widzę, giry dzisiaj nie wachał i bez<sup>108</sup> to taki nielaskaw na kolegium. Pójdziemy zaraz po łupie do Mańki, będzie knajpa i znowu nam zapachnie życie.

SIÓDMY

Pożycz rubla, drabie, to z wami pójdę. Inaczej nie pójdę, hołoto!

PIĄTY

Dobra! Idzie warsztat. Któż by nie wsparł srebrnym kantem niezamożnego studenta polskiego, srodze — ach! — przez wrogów ojczyzny więzionego w warszawskim ratusiu<sup>109</sup>?

SIÓDMY

Dawaj tego rubla i — słyszysz? — pluń mi w zgniłe serce! Pluń mi w zgniłe serce!

CZWARTY

A pluńże mu w zgniłe serce!

PIĄTY

Kiedy nie wiem, którędy się dostać do jaśniepańskiego zgniłego serca...

CZWARTY

W ślepie mu pluń na wszelki wypadek. Zawsze się coś dostanie...

PIĄTY

Ale gdzie? Wyjmie batystową chusteczkę i wytrze do sucha. A resztę grzebieluchy<sup>110</sup> wycalują w gabinecie na Krakowskim.

CZWARTY

Święty opłatek spożywał jak jarzynę, żeby się z Pana Jezusa natrząsać, a sobie ulżyć, pies zatracony!...

SIÓDMY

Idź z donosem.

CZWARTY

Żebyś dwa razy nie radził!

SIÓDMY

No!

CZWARTY

Chciałaby dusza jeszcze raz między prowoki<sup>111</sup>, ale już żandary nie biorą. Psiekrwie moskale!

SIÓDMY

Milcz, ty chamie!

PIĄTY

Milcz, ty chamie, bo tera mówi urzędnik spod czarnego kasztana...

*Dzwonek elektryczny. Wszyscy momentalnie milkną i zasiadają na ławach. Wchodzi NACZELNIK. Agenci zrywają się na równe nogi. NACZELNIK, człowiek lat czterdziestu paru, przystojny, szczupły brunet, średniego wzrostu. Ubrany po cywilnemu, wykwintnie, zeszedł w milczeniu przed szeregiem, na nikogo nie patrząc. Otworzył drzwiczki w balustradzie, dostał się na przód sceny i zamknął drzwiczki za sobą. Usiadł przy biurku. Dał znak, żeby osiemnastu siadło. Na pewien czas zatopił się w swych papierach. W pewnej chwili przycisnął ręką krążek dzwonka. W bocznych drzwiach ukazał się policjant. NACZELNIK dał mu znak skinieniem ręki. Czterej żołnierze wprowadzają do sali robotnika OSTA, okutego w nożne*

<sup>108</sup>bez (gw.) — tu: przez (z powodu). [przypis edytorski]

<sup>109</sup>w (...) ratusiu (gw.) — w ratuszu. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>grzebielucha (daw.) — jaskółka; tu: gw. prostytutka. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>prowoki — tu: prowokatorzy. [przypis edytorski]

*kajdany. Postawili go przed balustradą. Wyszli. Naczelnik przycisnął znowu krążek dzwonka. Czterej inni żołnierze wprowadzili CZAROWICA w nożnych kajdanach. Postawili go przed balustradą. Wyszli. CZAROWIC i OSET znajdują się przed agentami*

NACZELNIK

*do CZAROWICA*

Pańskie nazwisko — Czarowic.

CZAROWIC

Tak.

NACZELNIK

Imię — Jan?

CZAROWIC

Tak.

NACZELNIK

Kawaler?

CZAROWIC

Tak.

NACZELNIK

Pseudonim partyjny?

*CZAROWIC milczy*

Pseudonim partyjny — *Lech*? Nieprawdaż?

*CZAROWIC milczy*

NACZELNIK

*do OSTA*

Twoje nazwisko — Oset?

OSET

Tak.

NACZELNIK

Imię — Andrzej?

OSET

Tak.

NACZELNIK

Jesteś wdowiec?

OSET

Tak.

NACZELNIK

Rodziców nie masz?

OSET

Nie.

NACZELNIK

Masz dziesięcioletniego syna?

OSET

Mam syna.

NACZELNIK

Twój pseudonim partyjny — *Szawel*? Nieprawdaż?

*OSET milczy*

NACZELNIK

*wskazując na CZAROWICA, do OSTA*

Od razu powiedz: czy znasz tego człowieka?

OSET

Nie znam.

NACZELNIK

z *ironią*

Od razu powiedz formułę: pierwszy raz go widzę na oczy.

OSET

z *ironią*

Pierwszy raz go widzę na oczy.

NACZELNIK

Tak. A ja ci radzę, jak człowiek, który wie wszystko o tobie i który wie, co cię czeka, przyjrzyj się temu panu, poznaj go i staraj się zmiękczyć swój los wyznaniem prawdy. To ci powiem: nie zobaczysz ty więcej swego chłopaka. Słyszałeś?

OSET

Słyszałem.

NACZELNIK

Przypomnij sobie dobrze, przypatrz się temu panu, żebyś się zaś nie pomylił. Namyśl się. Ja ci podpowiem: to jest pan Czarowic, *Lech*. Cóż? Nie znasz go?

OSET

Nie znam.

NACZELNIK

Mnie tu dano niewątpliwe wskazówki, że to ty właśnie z tym oto panem Czarowicem różne roboty majstrowałeś.

OSET

Żadnych ja z nim robót nie majstrowałem. O niczym nie wiem!

NACZELNIK

Zaraz, zaraz! Nie tak znowu prędko! Jeszcze nie wiesz, jak i co, a już — „żadnych”! Ja, bratku, mam najdokładniejszą wiadomość, że to wy na spółkę z tym panem Czarowicem zabiliście generała. Tyś strzelił z mauzera, a pan Czarowic wydarł karabin nadbiegającemu żołnierzowi i ocalił cię od złapania. Tyś skoczył przez parkan i uszedłeś ogrodami ku Wiśle, a pan Czarowic powalił żołnierza na ziemię. Kiedy ludzie się zbiegli, znikł w tłumie. To prawda czy nie?

OSET

To wierutne bajki, nie żadna prawda. Ja tego pana Czarowica, czy jak go tam zwać, na oczy w życiu nie widział...

NACZELNIK

A tego nie było, żebyście na spółkę rzucali maszynę<sup>112</sup> do karety gubernatora wojennego?

OSET

Nawet mi szkoda na odpowiedź psuć sobie gęby.

NACZELNIK

A gdzież ty w takim razie wtedy byłeś?

OSET

Kiedy?

NACZELNIK

No, wtedy, gdzie byłeś, jak on był w Kaliszu? Gadaj!

---

<sup>112</sup>maszyna — tu: ładunek wybuchowy, bomba. [przypis edytorski]

OSET

Ja o niczym nie wiem. Może byłem w domu, a może we fabryce, przy marmurach, gdzie<sup>113</sup> zawsze robił. Ja nie wiem wkiedy<sup>114</sup>! Miesiące, kwartały, lata siedzę w kryminale.

NACZELNIK

Ty mi to powiadaj wyraźnie, gdzie byłeś, kiedy Czarowic tę bombę rzucił?

OSET

Kto jego wie, gdzie ja byłem! Możliwym<sup>115</sup> byłem w domu, może we fabryce, gdzie<sup>116</sup> zawsze stałem przy robocie.

NACZELNIK

Więc powiadasz wyraźnie, że wówczas, gdy Czarowic tę bombę rzucał, tyś był w domu albo we fabryce.

OSET

Pewnie, że w domu albo we fabryce.

NACZELNIK

Kiedy Czarowic bombę rzucał, tyś był w domu...

OSET

Jaką znowu bombę?! Ja o niczym nie wiem.

NACZELNIK

Powiedziałeś sam, że wtedy, jak Czarowic bombę rzucał...

OSET

Gdzie, wkiedy ja to powiedział?! Stoją tu ludzie, słyszą, niech świadczą! Czym ja o czym takim parę z gęby puścił? Nic nie wiem, pierwszy raz słyszę.

NACZELNIK

Boisz się, żeby przy tylu świadkach nie zmięknąć. Rozniosłoby się: taki solidny kawaler, sam *Szawel*, rozkleił się i sypie...

do CZAROWICA

A może pan przypomni Ostowi jaki szczegół.

CZAROWIC *milczy*

Na przykład co do dawnego projektu, w czasie sekretnego pobytu ministra w Warszawie. Pan to pamięta? Dawne czasy. Jego ekscelencja przyjechał do Warszawy *incognito*, w towarzystwie tylko jednego urzędnika, chodził po najodleglejszych ulicach, po Starym Mieście, codziennie bywał na obiedzie u Stępkowskiego... Czy wówczas nie bywał pan na ulicy Orlej, na pewnym trzecim piątku? Razem z Ostem? Czy tam nie przychodził jeszcze pewien człowiek? Ów człowiek, ciemny szatyn... imieniem... Anzelm? Co? Czy pan tam nie przyniósł pewnego dnia kufereczka do podróży, płaskiego, z Anglii rodem? Pudełko było z jasnej skóry, z etykietami hotelów w Nizy<sup>117</sup>, w Interlaken. Na froncie miało kartę z ogromnymi literami: *Bertolinis Palace Hôtel* w Neapolu. Pan pamięta to pudełko?

CZAROWIC *obojętnie milczy, jakby nie słyszał wcale, że do niego mówią*

Co zawierało to pudełko? Oset, powiesz czy nie?

OSET *milczy*

Ja dobrze wiem, co się tam znajdowało. Mógłbym szanownym panom przedstawić całe wnętrze. Mógłbym szanownym panom zrobić niespodziankę i postawić do oczu tego trzeciego, który tam z wami był na Orlej... Niestety! Już on nie żyje. Zabity został przez towarzyszy szanownych panów. Przed śmiercią szczerze dał wskazówki i co do tej sprawy

<sup>113</sup>*gdziem zawsze robił* (gw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: gdzie zawsze robiłem (tj. gdzie zawsze pracowałem). [przypis edytorski]

<sup>114</sup>*wkiedy* (gw.) — kiedy. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>*możliwym był* (gw., daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: może byłem. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>*gdziem (...) stałem* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: gdzie stałem. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>*Nizza* (daw.) — Nicca. [przypis edytorski]

również. Oset! Wiem o wszystkich twoich sprawach dokładnie. Już to, com wymienił, prowadzi na schodki. Tylko najszczerzym przyznaniem się do winy możesz karę złagodzić.

do CZAROWICA

Pana, bywalca, praktyka, znawcę musi pewno dziwić tak niezwykle badanie, w obecności tylu arbitrów. Pan, co tak zna prawa, obyczaje, warunki, pan, co tak panuje nad wszystkim i nad sobą — pan, co nazywa gubernie „województwami”, kraj przywiślański — „Polską” w protokołach urzędowych — musi się jednak zdumiewać, patrząc na moje praktyki. Ja też dla pana specjalnie przygotowałem to niezwykle badanie.

z okrucieństwem

Nie myślę się z wami długo bawić, miesiącami czekać na łaskę, żebyście prawdę zeznać raczyli.

do OSTA

Czy będziesz natychmiast zeznawał prawdę?

OSET

zimno

O niczym nie wiem.

NACZELNIK

Czyś z mauzera strzelał do generała?

OSET

wyniosłe i zuchwale

Nie ma na mnie żadnego dowodu. Kto mię gdzie widział? Ten pies, co na nas o wszystkim i o Orlej naszczekał, ziemię podłym pyskiem żre. A ja o niczym takim nic a nic nie wiem. Wszystkiemu zaprzeczam.

NACZELNIK

Chrypa! Poprosz no go z łaski swej, żeby nie wrzeszczał, bo tu nie szynk na przedmieściu, a ja dobrze słyszę.

*Agent CHRYPĄ podchodzi cichaczem z tyłu do OSTA i uderza go pięścią w lewe ucho. OSET, oszołomiony, zatoczył się bezwładnie na prawo między grupę szpiegów, którzy z ław ustali i zbliżyli się do balustrady.*

AGENT DĄSIK

mruknął rozkaz

Ścianę robić!

do OSTA

Co się na mnie pchasz?

*Uderza go pięścią w prawe ucho i odtrąca od siebie. OSET zatoczył się w lewą stronę. AGENT STASIEK uderza go w głowę z tyłu i rzuca bezwładnego na balustradę. OSET przez chwilę obwisł z bezwładnymi rękoma na balustradzie. Po chwili dźwignął się na nogi.*

OSET

bełkoce

Choćbyście... choćbyście bili... zabili... to samo...

NACZELNIK

do CZAROWICA

To na pańską cześć uczta, panie inspiratorze ludu do czynów rewolucyjnych. „Porządek stary już się wali”... No to ja go podtrzymam! Milczenie jest złotem, ale nie zawsze i nie wszędzie. Tu się waluta zmienia, a to dzięki temu, że stąd na plac ratuszowy nie wszyscy wyjdziemy. Dzięki temu, że stąd niektórzy wyruszą pod Wrótnię<sup>118</sup> Iwanowską i ani kroku dalej, milczenie staje się śmiesznie bezwartościową cyną. Tu tylko szczerza gadatliwość ma wartość złota.

do OSTA

Mów wszystko szczerze od razu, bo każę bić.

OSET

obraca się gwałtownie twarzą do szpiegów; szepce w śmiertelnej zgrozie

<sup>118</sup>wrótnia (daw.) — brama. [przypis edytorski]

Między szpiegami... nasze towarzysze!  
krzyczy  
O niczym nie wiem! Nic wam nie powiem!

NACZELNIK

Dąsik! Cóż ty tam dla parady stoisz? Ucisz tego zbója. Co on tu krzyki...

AGENT FLAŃTUS

*do sąsiada*

Kituj!

SZPIEG DĄSIK *wymierza OSTOWI cios w prawą skroń. OSET rzucił się skokiem na niego. W tej samej chwili CHRYPĄ uderzył go w lewą skroń. SZPIEG, zwany Szlachcicem, wymierzył OSTOWI policzek.*

OSET

*w szale*

Nic wam nie powiem!

SZPIEG DĄSIK *bije go raz wraz w piersi. CHRYPĄ uderza go pięścią w zęby. SZPIEG, zwany Szlachcicem, wymierza mu straszliwy policzek. OSET w tańcu straszliwym kołem toczy się i wlatuje w tłum szpiegów. Ci go uderzeniami w skronie odtrącają od siebie i podają jedni drugim. OSET biega w kole, wciąż padając i cudacznie podskakując od ciosów. Wśród szpiegów szczyry śmiech.*

NACZELNIK

Potańcz i ty, kochanku. — Karnawał teraz w Warszawie...

OSET

*po uderzeniu*

Nie powiem!

*po uderzeniu*

Nie powiem!

*po uderzeniu*

Nie powiem!

CZAROWIC *bez drżenia muskułu patrzy spod powiek na to widowisko. W pewnej chwili rzucił się skokiem ku obronie OSTA. Czterech najtęższych agentów chwyciło go za ręce.*

NACZELNIK

Puścić! Oset! Powiesz prawdę, to każę przestać?

OSET

*w kole szpiegowskim*

Powiem.

NACZELNIK

Mów wyraźnie.

OSET

Są tu... dawne towarzysze...

Zbawicielu! Zbawicielu!

Padam do nóg jeich... dawnych towarzysów... Dopraszam się łaski... Jako że już z tego miejsca nie wyjdę. Syna mam, chłopaka małego, Michałka. Jedynaście mu lat. W Kielcach. We fabryce się spytać. Michał imię, jedynaście mu lat. Przez polską mowę proszę i przez dawną pamięć. Jako że pana Czarowica nie znam i na oczy nie widziałem... Więc polskie ludzie obecne proszę i przez polską mowę zaklinam... Żeby zaś na szpicla nie wyszedł... Zbawicielu! Zbawicielu! Święte słowo mu zanieść...

NACZELNIK

To ty romanse... Co masz do powiedzenia?

OSET

Nic wam, psiekrwie, moskiewskie wychowanie, nie powiem! A ty, Zbawicielu, Zbawicielu! — daj do samego końca w honorze...



NACZELNIK

Dotrwasz, bratku, w honorze... Lejba! — przynieś no pręciki...

SZPIEG LEJBA *podbiega truchtem i podaje dwa pręty stalowe metrowej długości. Agenci chwytają* OSTA *znieca pod pachy i wyciągają jego ręce poza balustradę w stronę* NACZELNIKA.

Dajże te grabacie, dajże te łapiny, głuptasie. Zaraz ci ulży, jak pójdziesz w szczerłość. Dostaniesz kieliszek koniaku i do spania — osiolku rewolucji. Dajże te łapiny...

*Agenci składają dłonie* OSTA, *który nie wie, o co chodzi, i rozstawiają złożone palce. Naczelnik usuwa między palce równoległe pręty stalowe, a potem oburącz zaczyna ścisnąć z całej mocy jednocześnie końce prętów. Chrząsnęły miażdżone kości palców. OSET zawył z bólu. Oczy jego zapadły w głąb oczodołów. Usta szcerniały. CZAROWIC podnosi się na palcach, kołysze się miarowo na nogach, jakby miał tańczyć. Uśmiech okrywa jego usta. NACZELNIK puścił pręty.*

NACZELNIK

do CZAROWICA

Powtarzam, że to na pańską cześć uczta. Pan zbyt niełaskaw na siebie i na tego głuptaska, kieleckiego Mucjusza Scevolę<sup>119</sup>. Pan się nawet raczy uśmiechać. Lecz ja jestem od tego, żeby wytrwać do góry nogami wywracać. To trudno — ja przetrzymam każdą teorię, każdą partię, każdy spis i każdego bohatera. Umieję wynajdywać prawdę za dziesiątą skórą, wydrapać ją igielką z najkrwawszej ranki. Przetrzymałem już takich mężów, że pan zblednie, gdy powiem imiona. Cóż pan jeszcze każesz mi robić z tym nieszczęsnym, głupim Ostem? Jak go doświadczać? Bo to pan nad nim pracujesz, nie ja. Ja muszę wiedzieć, skoro jedyny świadek zeszedł ze świata.

CZAROWIC *milczy*

Oset — gdzie poznałeś Czarowica?

OSET

*trzęsąc zmiądzdzonymi palcami*

Ty! Ścierwo! Psie!

NACZELNIK

Hilary! Zamknij mu pysk.

CHRYPA

*do agenta Hilarego*

Złamać!

OSET

*nagłym skokiem rzuca się na Hilarego i usiłuje go uderzyć dygocącymi rękami*

Judasz!

SZPIEG HILARY *uderza* OSTA *w głowę. OSET zatoczył się, potknął i padł na ziemię. SZPIEG, zwany Szlachcicem, z całej mocy kopnął go nogą w bok. SZPIEG DAŚIK plunął mu w oczy. SZPIEG CHRYPA wymierzył mu cios w brzuch. Dźwignęli go z ziemi i biją w twarz z obu stron. Widać pięści ściśnięte, słycać sapanie, klątwy, razy i głuchy, urwany krzyk* OSTA.

OSET

Zbawicielu!

NACZELNIK

Dajcie mu teraz tchnąć. Niech sypie.

OSET

*z ziemi*

Nie! Nie! Nie!

*Upadł pod nowymi ciosami. Kopia go wszyscy. Krew rzygnęła raz i drugi na ziemię i na ich nogi. NACZELNIK wstał ze swego miejsca. Z trzaskiem otworzył drzwiczki w balustradzie.*

<sup>119</sup>Mucjusz Scevola właśc. *Gaius Mucius Cordus* — legendarny bohater rzymski, który został wysłany, by zamordować króla etruskiego Porsennę oblegającego ze swą armią Rzym w 508 p.n.e.; gdy jednak został schwytany w obozie wroga, włożył rękę w ogień, by dowiedzieć, że nie straszne mu tortury ani śmierć; takie męstwo przekonało Porsennę, by puścić wolno zamachowca; nosił on odtąd z chlubą przydomek *Scaevola*, tzn. Mańkut. [przypis edytorski]

Staje nad leżącym z notesem w ręku. Na dany znak przewracają OSTA twarzą ku sufitowi. SZPIEG CHRYPY rzuca się kolanami na piersi leżącego i bije go wielokrotnie w twarz, w gardziel, w piersi.

NACZELNIK

*dał znak, żeby przestać. Do OSTA*

Gadaj!

OSET

*dźwignął się na ręce. Oślepyłymi oczami szuka CZAROWICA. Jęknął*

Niech... żyje...

CHRYPY słowo „Polska” wbija mu pięścią w gardziel. Krew broczy z ust. Zemdlął. Wszyscy odstąpili. Wycierają chustkami ręce i spocone karki.

NACZELNIK

*do CZAROWICA*

Oto jest pańska zdobycz, pańska ligawka<sup>120</sup>, na której sobie grasz patriotyczne piosenki. Wyznając, że ta ligawka pięknie gra. Wyciągnąłeś pan dzielnego, uczciwego chłopaka z fabryki. Zrobiłeś z niego zbrodniarza, zabójcę. A ilu takich! Stworzyłeś szkołę morderców, instytucję produkującą bandytów. Podsunałeś mu do wykonania najśmieszniejsze zamysły. Pan jesteś romantyk, znudzony beczynościami, błędny rycerz, szukający przygód, a on przez pana tutaj leży.

*Wrócił na swe miejsce przy biurku. Drzwiczki w balustradzie zostały otwarte. NACZELNIK przez chwilę patrzy na OSTA leżącego nieruchomo. Uderzył w dzwonek. Drzwi środkowe otworzyły się. Wszedł policjant.*

NACZELNIK

*do policjanta*

Zabrać!

*Wkracza sześciu żołnierzy z karabinami. W ich liczbie żołnierz, który był<sup>121</sup> nocą stał na straży obok szubienicy.*

CZAROWIC

*skoro tylko żołnierze weszli, mówi do nich głośno w języku rosyjskim*

Żołnierze! Macie w ręku broń. Jesteście sługami ojczyzny. Nosicie w sercu surowe mięso i prostą prawość. Patrzenie! Świadcze przed wami: bezbronnego człowieka bili tutaj w kilkunastu bez dowodu winy. Macie w ręku broń. Czy zniesiecie, żeby ci cywilni tchórze, zdrajcy swego narodu, was używali do posług? Czy zniesiecie, żeby ci nikczemnicy wobec was bili mężnego człowieka? Żołnierze! Hańba wam, jeżeli pozwolicie być związanym i nie obronicie samotnych ludzi w niewoli waszej. Zasłońcie nas bagnietami od pięści podłych zbrodniarzy!

*żołnierze milczą*

*Zginąć od waszych bagnietów w walce — to rzecz słuszna. Ale czyliż zniesiecie...*

PIERWSZY ŻOŁNIERZ

*do CZAROWICA*

A ty lepiej milcz!

DRUGI ŻOŁNIERZ

*śmiejąc się*

Brechun!

TRZECI ŻOŁNIERZ

Zbuntowałeś się, to cię biją. Nie buntuj się — i bić cię nie będą.

<sup>120</sup>ligawka — tradycyjny pol. ludowy instrument dęty, spotykany gł. na Mazowszu i Podlasiu; rodzaj wygiętego lukowato rogu drewnianego o dł. ok. 1 m (2–3 łokci), wykonany z drewna świerkowego a. olchowego, złożony z dwóch połówek sklejonych woskiem; tu iron. przen.: fujarka, prosty instrument. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>był nocą stał — przykład użycia daw. konstrukcji czasu zaprzeczonego, wyrażającego czynność wcześniejszą od czynności (zjawisk itp.) wyrażonej czasem zwykłym przeszłym; inaczej: stał uprzednio (wcześniej) nocą. [przypis edytorski]

ŻOŁNIERZ SPOD SZUBIENICY  
*bezdzwięcznym szeptem do CZAROWICA*  
Słysz ty! Ej ty! Słysz...

NACZELNIK  
Zabrać!

ŻOŁNIERZE *podsuwają pod leżącego bagnety, krzyżują je i tworzą z nich jak gdyby nosze.*  
Dźwignęli OSTA. *Wywlekają go przez drzwi środkowe. Głowa jego bezwładnie zwisa i długie, więziennicze włosy zamiatają podłogę, ciągnąc po niej smugę czerwoną. Ręce się wloką przez próg. Drzwi w ciągu chwili były otwarte. CZAROWIC wydobywa chustkę, idzie na środek w to miejsce, gdzie OSET leżał, przykleknął i ściera chustką krew z ziemi. Tłum szpiegów, gdy CZAROWIC się ruszył, rozdzielił się na dwie bandy, tworzące dwa półkola, żeby mu zamknąć drogę do drzwi. Gdy on krew ściera, pierwsza pół-banda szepce chórem.*

PIERWSZA PÓŁ-BANDA  
Krew ściera z ziemi — patrzcie, patrzcie!

DRUGA PÓŁ-BANDA  
Co szepce cicho — podsłuchajmy.

PIERWSZA  
To nam tak zemstę poprzysięga.

DRUGA  
Patrzą w nas ślepie skamieniałe.

PIERWSZA  
Dygoce gęba wykrzywiona.

DRUGA  
Wszystką krew zgarnął w chustkę białą.

PIERWSZA  
Na śmierć nam zemstę w sobie przysięgł.

DRUGA  
Teraz w zanadrze chustkę chowa...

PIERWSZA  
Nie wyjdiesz z chustką tą na bruk!

DRUGA  
Nie spojrzysz nigdy w polskie miasto!

PIERWSZA  
Nie ujrzysz nigdy zboża w polu!

DRUGA  
Wyjdiesz z tą chustką w sien śmiertelną.

PIERWSZA  
Pod namydlony sznur na bloku.

DRUGA  
Tam cię przywita mistrz czerwony.

PIERWSZA  
Włożą ci ornat na ramiona.

DRUGA  
Białym kapturem nakryją włosy.

PIERWSZA  
Chustką se wytrzesz łzy ostatnie.

DRUGA  
Chustką se zatkasz krzyk w gardzieli.

PIERWSZA

Chustką zasłonisz strach na gębie.

DRUGA

Chusteczką krwawą przyjaciela.

*Na dany przez NACZELNIKA znak agenci rozpięzchli się na prawo i na lewo, głównymi i bocznymi drzwiami. Zostaje NACZELNIK i CZAROWIC.*

NACZELNIK

Otóż jesteśmy sami. Dość tragedii! Pomówmy bez gróźb, przesady, deklamacji i rozgoryczenia. Sam pan widzi, że gra idzie w otwarte karty. Wszystko teraz zależy od pana samego. Przekonał się pan, że na nic bojówki, szaleństwa rewolucyjne, romantyzmy. Wszystko o panu wiemy. Wszystko nam Anzelm od *a* do *z* powiedział. A że nie mamy tego świadka, to drobiazg. Panie — to drobiazg. Zapewniam pana, że inny Anzelm znajdzie się w szeregu, który pan za współwyznawców uważasz. Znajdzie się nie dziś, to jutro pod blokami szubieniczki. Przyjdzie w to miejsce i wszystko o panu wyśpiewa. Czy to jest pańska rola, człowieka z towarzystwa, posiadacza takiej fortuny, tułać się po kryminalach, współdziałać z wyrzutkami społeczeństwa, z podmiejskim motłochem w zabójstwach skrytobójczych, w napaściach na prawnych urzędników państwa, w grabieżach i rozbojach? Panie! Jestem urzędnikiem policji, ale pojmuję duszę pańską. Chcę panu podać rękę, chcę pana wydzwignąć.

*ciszej*

Powiem panu prawdę. Dałoby się wiele zamazać... Powie pan prawdę co do niektórych szczegółów. Nie będę wymagał wszystkiego. Rozumiem pana. Resztę puści się w niewiadomą gmatwaninę sprzeczności i zatrze. Ów głupi Oset zapewne nie wytrzyma. Był to jedyny już, ostatni świadek. Rozumie pan teraz, dlaczego ja dziś tak ostro postępowałem z tym... osłem? Jakies zesłanie, skąd, niestety, rewolucjoniści uciekają z taką łatwością... Im prędzej pan zechce nam ułatwić sprawę, tym lepiej dla pana. Sam pan widzi, że chcę przyjść z pomocą i zaskarbić sobie pańską dozoną wdzięczność...

CZAROWIC

Pan już zaskarbiłeś sobie moją dozoną wdzięczność.

NACZELNIK

Czy tak? Jakże to mam rozumieć?

CZAROWIC

Kiedy byłem w tutejszym więzieniu, jeden z funkcjonariuszów pokazywał mi separatkę, gdzie pan składałeś swoich klientów z ranami szarpanymi, z przetrąconymi kośćmi, z odbitymi płucami.

NACZELNIK

No i cóż z tego?

CZAROWIC

Teraz zobaczyłem na własne oczy samą akcję i ustanawiam sylogizm wdzięczności dla waćpana.

*śmieje się głośno, coraz głośniej, zupełnie szczerze. Podnosi się na palcach i kołysze, jakby miał tańczyć*

Pan tu wspomniałeś: karnawał w Warszawie... Warszawa tańczy do upadłego, do białego dnia. I ja mam chęć dziś tańczyć do upadłego, upaść w radosnym tańcu!

NACZELNIK

Cieszę się z pańskiego nastroju.

CZAROWIC

Pan i panu podobni, nie wiedząc o tym wcale, zadaliście swemu panowaniu w mojej ojczyźnie rany szarpane, poprzetrącaliście jego kości, odbiliście mu płuca. Już nie wyżyje, dzięki wam, Rosja w Polsce! Skona tu, na tej podłodze, we krwi Osta, którą ja w chustkę zgarnąłem. Patrz pan: czerwona róża.

*Wydobywa i pokazuje chustkę.*

NACZELNIK  
Tak pan sądzisz?

CZAROWIC  
Po powstaniu sześćdziesiątego trzeciego roku byliśmy jedynie skatowaną szlachtą, społeczeństwem bez ludu. Wyście wtedy nam, szlachcie-narodowi, lud mądrze wydarli. Teraz, w tej rewolucji, którą pan uważasz za ukończoną, zdławioną, myśmy wam lud nasz ze szponów wyrwali. Przez mękę bezprzykładną, niesławną dzisiaj, przez szalone i dzikie koleje losu, które nam, ludziom „z towarzystwa”, każą kasy publiczne rabować, — wyrwaliście wam nasz lud. I to już na wieki. Kupujemy go od was uczciwie, płacimy szczerze. Ale już go wam nie odprzedamy za żadną cenę na ziemi.

NACZELNIK  
*z szyderstwem*  
Kupcy — bandyci!

CZAROWIC  
*ponuro*  
Jest w naszej poezji jedno słowo... „Dopóki tyle głów z ich pokolenia nie padnie pod toporem kata, ile rubli wzięli z kazy<sup>122</sup> moskiewskiej, to kraj nie ożyje”. Widzisz waćpan, że my wypłacamy według ścisłego rachunku, wystawionego przez proroków.

NACZELNIK  
Chcielibyście panowie szlachta wykupić się z niewoli krwią tego ludu, który przez tyle wieków kopaliście żelaznymi butami. Ale to na nic!

CZAROWIC  
Nie zmyjesz pan ze szmat, z duszy i ze wspomnienia chłopca polskiego i robotnika krwi, którą tu wylewasz! Wasze tortury budzą z martwych dusze. Wasza szubienica pracuje dla niepodległej Polski. Wieszacie na niej raz wraz podbój dusz ludu polskiego i potęgę waszego carstwa. Po dalekich siółach idzie wędrowne, w kurzu krwi zrodzone podanie o tym, jak wspaniale umierał za niepodległość Okrzeja, Baron, Izdebski — i tylu innych. Obejdzie ono wszystkie drogi, trafi do każdego domostwa. Zrozumieją wszyscy polscy ludzie, jak niezgłębioną krynica regeneracji narodu była ta rewolucja, jak żywa siła bić zaczęła z tej wody, w boleściach wydanej przez ziemię naszą.

NACZELNIK  
Metafizyka niewoli, panie Czarowic! *Solatium servitutis* — nic więcej. Lud sprzedaje żandarmom wasze tajemnice, jak żyto, perkal i imbir — za gotowe pieniądze. Lud polski jest w naszych rękach.

CZAROWIC  
Przyszła do niego polska inteligencja ze szkołą, ze stowarzyszeniami, z organizacją. Wyście po barbarzyńsku, z bezdenną głupotą wszystko zdusili. Lud zapamiętał ten krótki czas. Ujrzał przez krótką chwilę, co mu dawała Polska, i ujrzał, co daje Rosja. Jeżeli jeszcze wśród nas są prowokatorowie i zdrajcy, to nasza wielka wina. Nasza wielka wina! Ale nadejdzie dzień, gdy zmyjemy do ostatniego znaku ten najwstrętniejszy stygmat waszego panowania!

NACZELNIK  
Dosyc tych gawęd! Deklamator! Czy będziesz pan mówił prawdę?

CZAROWIC  
Nie będę już nic mówił. Na mnie strach nie działa. Podstęp również.  
NACZELNIK *uderza w dzwonek. Ta sama banda osiemnastu agentów wchodzi znowu głównymi drzwiami. Stanęli przy drzwiach bocznych i zasłonili główne. Na dany znak półkolem otoczyli CZAROWICA.*

NACZELNIK  
*do CZAROWICA*

<sup>122</sup>kazna (ros. казна) — skarb państwa. [przypis edytorski]

Kto strzelał do generała? Oset czy ty?

CZAROWIC *milczy*

Chrypa! Spytaj go, co mówi...

AGENT CHRYPĄ *uderza CZAROWICĘ w lewe ucho. CZAROWIC ZATOCZYŁ SIĘ BEZWŁADNIE NA PRAWO MIĘDZY SZPIEGÓW. SZPIEG DAŚSIK UDERZA GO W PRAWĄ SKROŃ. SZPIEG, ZWANY SZLACHCICEM, WYMIERZA MU POLICZEK. SZPIEG STASIEK PLUNĄŁ MU W OCZY. PUSZCZAJĄ GO W TANECZNE KOŁO.*

# SPRAWA TRZECIA

*Noc. Księżyc świeci. Zupełna cisza. ŻOŁNIERZ, ten sam, który był pilnował szubienicy, przechadza się na warcie pod wrotami, prowadzącymi w stronę Wisły. CZAROWIC, po przepiłowaniu krat w oknie swej celi, przymocował do tego okna linę skręconą z prześcieradeł i cicho wyrzucił ją na zewnątrz. DAN, więzień z sąsiedniej celi, po przepiłowaniu krat w oknie swym, przymocował do niego również linę skręconą z prześcieradeł i cicho wyrzucił ją na zewnątrz. ZAGOZDA, dla ułatwienia im obydwu ucieczki, zostaje w więzieniu, ażeby odwiązać i wyrzucić linę CZAROWICA, bez której nie mogliby spuścić się ze stromych murów fortecy. Obydwaj uciekający na komendę ZAGOZDY jednocześnie co do sekundy siedli okrakiem na ramie okiennej, wysunęli się na zewnątrz i wolno, cicho, jak dwa upiory popłynęli w dół w chwili, kiedy ŻOŁNIERZ tyłem się do więzienia odwrócił i przemierzał przestrzeń placyku. Stanąwszy na ziemi, w ciemnej framudze muru, czyhają na chwilę, kiedy ŻOŁNIERZ odwrócił się, przeszedł szerokość placu i stanął przed nimi. Wtedy spadła na ziemię lina odwiązana przez ZAGOZDĘ. Jak dwa tygrysy skoczyli na ŻOŁNIERZ, stryk z liny zarzucili mu na szyję, zdusili, koniec liny ubili mu w usta. Potężnym wysiłkiem wydarli karabin obezwładnionemu nagłą napaścią. Obalonemu na ziemię CZAROWIC bagnet przystawił do piersi.*

CZAROWIC

*szeptem*

Leż! Zabiję!

*ŻOŁNIERZ gwałtownym ruchem porwał się z ziemi, usiłując zarazem wyrwać z ust knebel. Skoczył na bagnet z męstwem i pasją, pragnąc chwycić luźny karabina.*

CZAROWIC

*obalając go na ziemię*

Zabiję!

*DAN podjął co przedziej linę, oddał koniec jej, którym zakneblowano żołnierzowi usta. Chytkiem, na palcach podbiegł do wysokiego muru, który otacza teren. Koniec liny przywiązał do występu blanki. Wyrzucił ją na zewnątrz. Potoczyła się w dół, nisko, w głębiny fos, po skarpach stromej ziemi.*

DAN

*szeptem*

Zaczynam.

*Siada na murze, przechyla się na zewnątrz, znika. ŻOŁNIERZ wpatruje się w twarz CZAROWICA, oświetloną przez księżyc — i leży nieruchomo. CZAROWIC wpatruje się w twarz ŻOŁNIERZA. Poznał go.*

CZAROWIC

*trzymając bagnet, zwrócony sztorcem w jego serce*

Milcz!

*ŻOŁNIERZ skinął głową.*

Rozstrzelają cię jutro.

*ŻOŁNIERZ skinął głową.*

Uciekaj z nami!

*Ruchem głowy zaprzeczył.*

Więc cóż mam czynić?

*Przymknął powieki.*

Uciekaj!

*Ruchem głowy zaprzeczył.*

Nie mogę już wrócić!

*Przymknął powieki. CZAROWIC patrzy długo w jego twarz.*

Żegnaj!

*Trzymając karabin zwrócony przeciwko ŻOŁNIERZOWI, odchodzi tyłem w stronę miejsca, gdzie przywiązana jest lina. Waha się przez chwilę, czy wyrzucić karabin na zewnątrz muru w fosę. Nagle rzucił go na ziemię. Wpętlął na mur i znikł za nim. ŻOŁNIERZ dźwignął się z ziemi, wyrwał z ust knebel. Nastuchuje. W pewnej chwili dał się słyszeć odgłos ciężkiego skoku w przepaść. Jęł. ŻOŁNIERZ wstał z ziemi. Patrzy w przestwór. Podszedł do miejsca,*

*gdzie leży karabin. Zarzucił go na ramię. Począł przechadzać się krokiem miarowym po tej samej przestrzeni, tam i z powrotem, tam i z powrotem.*



# SPRAWA CZWARTA

CZAROWIC siedzi wysoko na kamiennym występie ponad najcudniejszym morzem południa. Zgruchotane odlamy granitowej calizny gór leżą wielkimi bryłami daleko i blisko, w falach i na wybrzeżu. Wieczna praca morza w tafle połupała najtwardsze z nich, wyźłobiła podskalne lochy, wyżarła głębokie misy, w których cuchnące schną kałuże. Rudoczerwone, ślepe, jak wybite oczy, snią tam nieprzespanie w pośród wiecznego chaosu. Wilgoć rozprowadziła tu i ówdzie porost ciemny w wygryzionych szwach. Ubogi, szorstki mech, suche piołuny i lyka, ostre jak szydła, tulą się wyżej. Nad głową CZAROWICA wznosi się skała o kolorze ognia i głowni spalonej, obłoków dosięgająca wierzchołkiem. Wąwozy w niej, pieczary i czeluście, przepięknica zielone i krwawe, smugi cieliste i wylomy, łupane w sednie góry okrucieństwem młota czasu. Widok jej narzuca się oczom, jakoby materialny wizerunek śmierci, a jednak wtłacza w duszę opór i gniew. Ani jedna już tam nie czepia się trawka. Tylko osędziaty mech chyłkiem pełza w zaciekach. U samego podnóża odsłania się spod wody czarny pień skały, obwieszony kudłami jasnozielonych porostów. Na cyplu, najdalej ze skalnego łądu wysuniętym — jak gdyby legenda szumiących wiecznie mórz o tajemniczych ładach na wysokości, jakoby śpiew czarodziejski ładów o wiecznym morzu, wyrrywający się w niebiosa — trzy strzeliste, czarne, nieśmiertelnie piękne cyprysy. Morze wokół wyspy. Obszerniejsze niż wzrok człowieka, rozpostarcie wód — lustro nieskończoności i zwierciadło duszy czującej. Białopienne<sup>123</sup> fale lecą ku wyspie z daleka — bieguny<sup>124</sup> w głuchych samotniach wieczności przez wichry wykotłysane. Uderzając o twarde, białe dno, zielone wełny<sup>125</sup> morza, które przenigdy dna nie zaznały, skręcając się w kłęby, wzdymają w banie, tarzają się, wiją i kipią. Połysk pian zrasta się w jedno, w śnieżysty wybuch. Biję wybuch w czarny trzon skały — niepoustrzymany, oszalały od pędu wlatuje w podziemne jaskinie. Dzięrga się tysiąckroć na iglicach, przez minione wyostrzonych burze, fala morska. W korowodach czarownych tysiąckroć obiega wiekuiście nieznanne, śliskie labirynty, progi, zatoki i sienie. W zalotach nieskończonych rzuca się z głazów na głazy, coraz wyżej, wołając głuchym głosem ku cyprysom ziemi. Wyrrywa się z głębokości strofą wiecznej siły pełną — którą człowiek śmiertelny w rozkoszy i zachwycie podsłuchał i uczynił zeń muzykę — skarb swój. Bucha w górę znienacka słupem piany kunsztownym jak mediolańska wieża, wzdyma się kopułami czarownymi jak dach świętego Marka. Kąpiąc się sama w sobie, tworzy ze siebie wszystkie kształty, jakiekolwiek piastuje w swych przestrzeniach ład — i ścieka z wysokich zrębów, z karbów nieżywych, syczącymi strugami, cienkimi nićmi, pudrem śnieżystym, tworząc antystrofę pięknogłosą, w której jest wyraz wszelkiego cierpienia, jakiekolwiek przemierza obszary ładu. Zlatuje ze szczeliny i pochylni do swego chłodnego morza, w nieunikniony zgon. Wiatr fruwa po stromych ścianach, wiesz się na kolcach kaktusów, wkręconych w głuchą martwicę kamienia. Obwisłe chmury, co jak wymiona ssać się dawały morzu, powściągnęły się, dźwignęły na wyżynę i znikły. Dalekie widać wybrzeża, połyskujące od łańcuchów ośnieżonych gór — i niskie smugi ziem tak dalekich, ciemnym błękitem tak uchodzące w błękitne morze, że stają się wędrowną w oku plamą, łzą natężenia żrenicy, złudą wzroku. Czyste morze bez horyzontu złączyło się z niebem i przemieniło w niebo. Z ziemi wyrosły niebiosa. Nadaremnie niespokojna wola wciska się w tę właśnie dal i usiłuje rozedrzeć ją żrenicami. Krase rybitwy szybkimi skrzydły migają w jasnym powietrzu. Z klekotem i żartocznym krakaniem spadają między warkocze pian, za krawędzie skał. Gdy wejrzeć okiem w ślad ich lotu, uderza o ucho posępny huk i srogi na zdziarach głos morza. CZAROWIC wstał ze swego miejsca i schodził po ostrych występach w dół, dokąd prowadził go wzrok, śledzący loty ptaków. Tam w dole, w sieniach i ostojach skalnych, raz wraz pękał pienisty bałwan wodny, rzucony o kamienie. Huk zagłuszał krzyki mew. W jamach, nawisłych grotach, w szarych, złowieszczych, półokrągłych pustelniach gwizdał wiatr, jakby w muszle i flety. Wędrowiec przyszedł na najniższy stopień skały. Tam przezroczyste, błękitno-zielone bryły wód niosły się w tańcu walecznym. Walczyły ze skałami i walczyły między sobą, a śmiertelne ich zawody były piękne doskonale. Ich moc była pełna wdzięku, a śmierć ich była tak pełna wzniosłości i niewymownej potęgi, jak śmierć opisana w Fedonie. CZAROWIC, przybysz z leśnych płaszczysz, z niw stratowanych kopytami głupich zwycięzców, z dróg wydeptanych lekliwymi stopami niewolników, z kraju więzień,

<sup>123</sup>białopienne — tu: o białej pianie, niosące ze sobą białą pianę itd. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>biegun — tu: ten, który biegnie, goni, gna. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>wełny — tu: fale. [przypis edytorski]

spośród plemienia bez honoru, bez woli, które się samo jadem własnej niemocy zatruwa — gdy się zapatrzył w nawałnicę morskich fal — ujrzał w niej zjawiony sen dzieciństwa swego, marzenie młodości i myśl dojrzałych lat. Zobaczył na nowo zniweczoną piękność siły swej duszy. Poznał w wyzudaniach, w zagonach, w niezłomnej wytrwałości fal duszę swoją samą w sobie. A wszystką władzę tak znienacka ockniętej i jasnowidzącej duszy zobaczył w zwierciadle morza, jak jest na całej ziemi samotny. Widział w zwierciadle tym naród swój podarty, widział jego rozproszenie, odłamy, odszczepy, części, warstwy, stronnictwa — przestrzenie ziem, okolice, miasta, wsie, krajobrazy, ludzi dalekich... Przymierzał się duszą wszędzie, tam i sam, przypadał pierśmi daleko i blisko. Szedł zgietkliwymi ulicami interesu i przypasywał do wnętrza sklepowej sprawy swoje naiwne, więzienne pomysły wyzwolin, swoje mrzonki, śmiech budzące gruby, długi i zdrowy. Poznał w nieomylnym przejrzeniu, że, stojąc na wysokości wolnego polskiego ducha, nie jest i nie będzie nigdy złączony ani z tymi zbiorowiskami ludzi, ani z żadną na tej ziemi jednostką. Widział doskonale zaród zgniłości od początku i brud narosły pod wzniosłymi hasłami — i to zarówno pod wstecznymi, jak pod najbardziej skrajnymi. Cuchnęła ze wszech stron kariera, żądza urzędu, pycha, pragnienie władzy... Dobrze to pojmował w tej chwili, że się zawiódł na tych wszystkich, którym najbezwzględniej ufiał, którym najwierniej służył w przekonaniu, że służy ojczyźnie. Zawiódł się oto na sile wszelkich polskich prawd, na wartości prądów i pośliźnięć myśli zbiorowej, uwięzłej w doktrynach stronnictwa. Nie mógł dostrzec żadnego spoidła, które by plemię polskie zjednoczyć mogło. Jedyne, ostatnie i niewątpliwe, które jak ściany mogłoby ten naród rozpieczętować w jedno zegnać i materialnymi środkami zjednoczyć — państwo niepodległe — zostało odrzucone przez wszystkich rodaków. Czuł, że dusza nie może nawet zewrzeć się z nikim w walce, bo walki nikt nie chce. Śmiech i pogardę powziął dla ZAGOZDY za jego cierpietliwość łakomą na męczeństwo, próżną rozkoszy życia a obojętną lub wstrętną dla wszystkich. Ujrzał w falach morza oczy Montwiłła idącego pod szubienicę — i z głuchym jękiem padł twarzą na kamienie, wołając: nadaremnieś za nich umarł! Kiedy zaś zapragnął oderwać oczy od fal i skierować je przemocą poza siebie, w stronę Polski, uczył ponownie na wspomnienie o niej — zaduch Pawiaka<sup>126</sup>. Kiedy pomyślał, że należy wrócić tam po własnych, cuchnących stopach<sup>127</sup>, po tropach mściwego zbiega, knującego bezsilną zemstą niewolnika — zatrząsł się w sobie ze wstrętu. Spoza skały, której olbrzymi odłam leży w pianach morza, wypłynęła łódź. Wiatr dmie w czerwony jej żagiel, kładzie go na fale i wynosi. Na środku łodzi stoi BOŻYSZCZE pod postacią piraty<sup>128</sup>. Twarz jego młoda, bez zarostu, czarna od wichrów morza i pożaru słońca. Żeglarz ma na sobie chiton<sup>129</sup> grecki, wolną koszulę do kolan z płótna tego samego, co żagiel. Przepasany jest trzosem z rzemienia twardego, jak żelazo. Z lewego boku ma krótki brązowy puginał dawnego kształtu. Silnymi rękoma umiejętnie wiosłując, wprowadził łódź w szyję międzyskałną, zasłoniętą od wiatru. Tam statek swój przywiązał łańcuchem do trzona skały i wyszedł na brzeg. CZAROWIC ujrzał jego całą postać: sandały z grubej skóry, wdziane na nagie stopy, z których sączy się woda, rękojeść krótkiego miecza, wyobrażającą posąg Diany z Efezu z trzema rzędami piersi, karmiących życie ziemi. Figura bogini ze wschodniego jest alabastru, głowa, ręce i nogi z brązu. Po ramionach jej skaczą lwy, jelenie, sfinksy i chimery, snują się drzewa i kwiaty, — na głowie wznosi się zamczysta wieża. Wspomniał CZAROWIC dawny jakiś sen...

#### BOŻYSZCZE

Roztropnie czynisz, cudzoziemcze, z przenikliwością wpatrując się w nasze fale.

#### CZAROWIC

Czemu tak sądzisz?

<sup>126</sup>Pawiak — więzienie w Warszawie, nieistniejące dziś, wzniesione w l. 1830–1835 pomiędzy ulicami Dzielną, Więzienną i Pawią (stąd popularna nazwa); składało się z oddziału męskiego oraz kobiecego (zw. Serbią); od 1863 r. Pawiak był więzieniem politycznym i śledczym (drugim najważniejszym obok Cytadeli Warszawskiej), przetrzymywano tu członków Rządu Narodowego i powstańców 1863 r., działaczy partii robotniczych, narodowych i ludowych, uczestników rewolucji 1905 r.; podczas powstania warszawskiego, 21 sierpnia 1944 więzienie zostało wysadzzone w powietrze przez ustępujące siły niemieckie. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>wrócić po (...) stopach — tj. po śladach stóp. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>pirata (daw.) — dziś popr. forma: pirat. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>chiton — codzienny strój w staroż. Grecji: prostokąt tkaniny (lnianej, wełnianej itp.) spinany na ramionach i z boku (względnie dwa prostokąty zszyte po bokach i spinane na ramionach); chiton joński był szatą długą, sięgającą do kostek, zaś chiton dorycki krótki, do połowy ud; chiton niekiedy przewiązywano w pasie, względnie pod biustem przez kobiety. [przypis edytorski]

BOŻYSZCZE

Jestem doświadczony żeglarz z tego wybrzeża. Znam naturę tutejszych mórz. Wiem, że te czyste fale wyobrażają najdoskonalej wszystko, co tylko jest najtęższego w duszy człowieka, przywodzą na pamięć wszystko i nie dają zapomnieć, co tylko jest w człowieku mocne, wieczne i zawsze jednakie. Taka jest władza tego morza.

CZAROWIC

Szczerą prawdę powiedziałeś.

BOŻYSZCZE

Zmywa ono nieskończonym chlucaniem cokolwiek w duszy człowieka jest bojaźnią wobec tyrana lub wobec tłumu, cokolwiek jest przesądem, zabobonem, co jest zastarzałym błędem myśli, z choroby lub głupoty narosłym. Odmywa i odkrusza wszystko, co jest przemijające, podatne, słabe, sypkie, co da się odłamać, oderwać, rozprościć i odmyć. To, co po pracy tych fal w człowieku zostanie, jest już naprawdę zdrowe, twarde i jędrne, jak skalina tych oto głazów.

CZAROWIC

Lepiej to doprawdy wiesz ode mnie.

BOŻYSZCZE

Należy, żeby człowiek uczył się od naszych fal, jak być zawsze jednakowym, niepodlegającym zgniciu, jak osiąść i swoją uczynić wieczną siłę życia, która w nim jest — jak opanować to, co jest samo w sobie i niezależne od niczego.

CZAROWIC

Jakże to ma uczynić przybysz na wybrzeża waszego morza z kraju jałowego i pełnego więzień?

BOŻYSZCZE

Kto nie przebywa stale na wybrzeżu naszego morza, powinien je raz na zawsze objąć zmysłami, powinien wchłonąć w siebie to całe morze umysłem i w umyśle swym oglądać zawsze istotę tych oto czystych fal.

CZAROWIC

Szczęśliwy żeglarzu! Jakimże to sposobem objąć obcym, strudzonym, na trud wieczny skazanym i szybko zapominającym umysłem to niezmierzone i w zmienności swej niewyczerpane morze?

BOŻYSZCZE

Umysł jest naczyniem obszerniejszym niż morze. Zdoła on odtworzyć wszystką ruchliwość i zmienność fal. A zresztą, o cudzoziemcze — nie ma innego sposobu osiągnięcia tego celu.

CZAROWIC

Ciekawe poruszyłeś sprawy, dobrą mi dałeś radę. Gdzie mieszkasz, ażebyś mógł odszukać, gdy stąd odpłyniesz?

BOŻYSZCZE

Nie szukaj mię, gdyż nie znajdziesz. Jestem samotny. Mieszkam w czerwonej pieczarze. Nie mógłbyś przebywać w miejscu mojego schronienia.

CZAROWIC

Ja umiem przebywać wszędzie.

BOŻYSZCZE

Ciemna to jaskinia o kolorze szkarłatu, który z chropawych ścian ściekać się zdaje — pełna pary gorącej z zapachem jodu i soli. Z załamań sklepienia padają krople gorące. Zdyszane fale przychodzą tam z morza pełnego. W głębi, gdzie jest me schronienie przed wichrem, leży ścielisko z kamieni białych jak mleko, podługowato-okrągłych tak doskonale, jakby je snycerz grecki wytaczał przez lata. Leżą tam przedziwną warstwą, skarbiec podziemny naszego morza. Nad grotą moją skała się wznosi stroma, jak pióro tego orła, co u stóp Jowisza siedał. Nikt do wejścia drogi nie zna, tylko morze i ja.

CZAROWIC

Jakże tam wytrwać możesz?

BOŻYSZCZE

Kocham samotność. Uczę się samego siebie. Przeglądam duszę swoją w falach. Gdy burza z grzmiotem tacza się po dalekich rozłogach, gdy gradonośne, stalowe chmury zrosną się ze stalowym morzem i zatopią w nim swe szpony, gdy piorun raz wraz w nie strzela, lecą fale do brzegu wielkimi skokami, a na nich płaskie zasy pian — w pianach huśta się moja łódź, w łodzi mój śmiech radosny jak piana, posłuszny poświstom. Rozwidnia się morze aż do krańca najdalszych łądów od złowieszczego śmiechu błyskawic albo zapada w otchłań czarną, a ja patrzę z pieczary czerwonej w muzykę swojej duszy. Czarne morze zabieli się i osędzieje, skacze zjuszone, żeby zajrzeć poprzez wierzchołek gór w powiaty ładu. Wicher porywa piany z grzbietów bałwanów i niesie w ukos daleko białopienną zadymkę nad wodami.

Jakże piękne bezdenne jest wówczas bezdenne morze! Nad czarnymi zwałami migają białe skrzydła mew, dzioby i szpony ich padają w grzebień wodnych brył, pisk przesywa na wskroś burzę, a wąskie skrzydła wynoszą się naprzeciwko piorunów. Czy nie słyszysz w duszy swej ich krakania, cudzoziemcze?

CZAROWIC

Żeglarzu, nie ucz mię złowieszczonego krakania...

BOŻYSZCZE

Kiedy indziej, gdy wracam z dala, a po okrutnych wichrach syzygów<sup>130</sup> wiosny ustanie deszcz, przycichnie bora<sup>131</sup>, greco<sup>132</sup>, tramontana<sup>133</sup> i sirocco<sup>134</sup> — morza stają się ciche, a leciutki powiew z południa ledwie je marszczy. W dali po nim lśniąca, srebrnobiała rozpostrze się polewa, nieruchome smugi błękitu, jakoby drogi tęsknot ku południowi, przetną je wzdłuż. Lekka krata złocistych poruszeń bawi się z sennymi skałami... W zaciszach, pełnych niedawno najgwałtowniejszego tumultu, staną się wody leniwe, bezwładne i ociężałe jak oliwa. Jakże wówczas kocham ciszę podskalną i tę przystań za wiatrem, gdzie samotny śnię, patrząc w dal — o Indiach, o palmach i cedrach, o polach, gdzie trzykroć do roku zboże dojrzewa, gdzie rosną najczarowniejsze róże ziemi i wykwitła najczarowniejsza myśl ludzkości... Zda mi się wówczas, że płynę pod czerwonym żaglem w tamte dziedziny, patrzeć w kielichy lotosów i przeglądać pod słońce tajne słowo zrodzone w zadumach Kryszny<sup>135</sup>, w postach Sakia-Muni<sup>136</sup>. Mewy bezwładne, tak samo jak ja, siedzą na szczytach skał, patrząc uważnie w dalekie morze. Pachną na słońcu gorzkie, rozgrzane zioła, bawią się kędys<sup>137</sup> dzieci, a szczęśliwy ich krzyk, jak wietrzyk w morzu, wzdyma się, przelata<sup>138</sup> i zacicha. Bawią się muszki skrzydlate na liściach żółto zakwitającej krzewiny. Drzewo migdału, białe szaty czereśni i różowe brzoskwini okryły zaciszne sady po wzgórzach dalekich. Puszczą liście figa i kasztan w ogródkach wysokich, otoczonych kamiennym murem. Winograd<sup>139</sup> z obciętymi pędami, rozprowadzony na laskach, tworzy złotawą sieć nad czerwoną ziemią, skopaną pracowicie. Czy nie uczuwasz tęsknoty do wiecznie nowych łądów południa, wędrowcze z północy?

CZAROWIC

Kusisz mię, przyjacielu...

<sup>130</sup>syzygi (gr. *σύζυγοι*: powiązane razem, ujęte w jedno jarzmo) — w astronomii konfiguracja trzech lub więcej ciał niebieskich w jednej linii. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>bora — w klimacie śródziemnomorskim: suchy, chłodny wiatr północno-wschodni. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>greco a. *grecale* — w klimacie śródziemnomorskim: wiatr południowy. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>tramontana — w klimacie śródziemnomorskim: wiatr północny (wiejący od gór, przez góry, tj. przez Alpy). [przypis edytorski]

<sup>134</sup>sirocco — w klimacie śródziemnomorskim: wiatr południowy, wiejący od wybrzeży Afryki ku Płw. Apeńskiemu. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>Kryszna — bóg w hinduizmie; wg *Bhagawadgity* Najwyższa Istota i Najwyższy Bóg; zrealizował swoje boskie wcielenie (inkarnację) w rodzinie pasterskiej, w okresie dojrzałości został bohaterskim wojownikiem i nauczycielem. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>Sakia-Muni (ok. 563–483 p.n.e.) — Budda Siakjamuni, właśc. Siddhartha Gautama z rodu Śakjów, indyjski ksiądz, filozof i reformator religijny, twórca buddyzmu. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>kędys (daw., gw.) — gdzieś. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>przelata (daw., gw.) — dziś popr.: przelatuje. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>winograd — winorośl. [przypis edytorski]

BOŻYSZCZE

Patrz na szlaki tych ziem, które tam zniżają się, zniżają w dali... Oto jest droga na południe. Tam to dźwięczy wiecznie radosna pieśń między palmami. Czyli nie chcesz tam popłynąć, cudzoziemcze?

CZAROWIC

Jestem człowiekiem północy. Widok morza waszego odradza po dziesięćkroć, wskrzesza z martwych moją duszę. Lecz konieczność wraca mię z drogi...

BOŻYSZCZE

Niewolnikami konieczności jesteście wy wszyscy, ludzie północy. Macie w sobie albo naturę ślepej władzy, podobną do waszego mrozu, albo naturę posłuszeństwa, podobną do waszego lodu.

CZAROWIC

Twardą jest władza północnej konieczności.

BOŻYSZCZE

Patrz, przychodniu, jak słońce przegląda się w otchłaniach wolnych tego morza. Czyli pod jego płonącymi promieniami nie roztopi się zamróz twoich przesądów?

CZAROWIC

Nie mam przesądów.

BOŻYSZCZE

Łudzisz się. Skuty jesteś kajdanami tysiąca przesądów — litości, współczucia, poświęcenia.

CZAROWIC

Poświęcenie nie jest przesądem, lecz siłą duszy.

BOŻYSZCZE

Pójdź jakąkolwiek z dróg ziemi, a każda zaprowadzi cię do Rzymu. Patrz tam na zamczysko Anioła. Pójdź ciemną jego jaskinią w półokrąg, w górę, w górę — i powtórz znowu, że litość, współczucie, poświęcenie jest potęgą duszy.

CZAROWIC

Nic by mi dziś nie powiedziała ta pieczara średniowiecza.

BOŻYSZCZE

W takim razie należałoby wziąć do ręki przewodnik po tej ruinie. Ta doskonała księga, oprowadzająca po korytarzach zamku Anioła, nosi tytuł *Il principe*.

CZAROWIC

Śmieszna to książka. Nic by mi dziś nie powiedziała...

BOŻYSZCZE

Cóż ci mam rać, smutny przychodniu z północy?

CZAROWIC

Na mój smutek ciężko znaleźć lekarstwo.

BOŻYSZCZE

Czyliż na ziemi nie ma kobiety, która by cię pocieszyć mogła? Zda mi się, że ją widzę... Twarz jej jest jakoby nasza, italska, ciemna, dziewicza. Oczy jej ciemne od łez, przelanych za tobą. Muzyka tęsknoty jest w tych oczach zawiedzionych, nieszczęśliwych, poszukujących nadaremnie twarzy twojej. W usteczkach jej, zaciśniętych od gorczy oczekiwania, od cierpkości doświadczeń w pustce samotnej — tysiącokroć ucałowane w tajemnicy chowa się twoje imię...

CZAROWIC

Wróżem, widzę, jesteś...

BOŻYSZCZE

Nie ma cekina w kalecie, więc wróżę z musu. Pójdź, cudzoziemcze, weź w ramiona doncellę<sup>140</sup> swoją. Jesteś bogaty. Najmij mię na sternika swego okrętu. Popłyniemy na wyspy Wyśnione, których nawet w marzeniu nie oglądały oczy twoje. Śnią w dalekości, za ciemną smugą horyzontu, jakoby chmury błękitu między jasnym lazurem morza i lazurem nieba. Powiodę was oboje w wilgotne gaje wiosny, wonne od fijołków<sup>141</sup>. Zatoczą się wasze głowy ku sobie ze szczęścia, gdy was poprowadzę ulicą ciemnych cyprysów, lasem pinii czarnych ku łączce, gdzie nad murawą jaśnie zieloną sypią czarodziejskie płatki z pąków dopiero co stulonych drzewa kamelii szkarłatnej, bezwstydnie piękne, jak neapolitańska Venus. Wyciągniecie oboje ręce do błogowonnych kwiatów magnolii, ramiona do pąsowych rododendronów. Usłyszycie tam pieśń szczęścia pierwotnego...

CZAROWIC

Daremnie mię kusisz, czarny Włochu. Nie pojedę z tobą! Pójdę tylko tam, dokąd sam zechcę!

BOŻYSZCZE

ze śmiechem

Wrócisz znowu we mgły samoudręczenia północy. Z uczynków, które wykona twa ręka, popchnięta przez szal poświęceń, wyjdzie tylko twa męka i gruby zysk oszustów. Wierzysz w jakowąś urojoną odrębność swoją od niewoli, a nie spostrzegasz tego, że gnijesz w bezsilnym miłosierdziu, z którego zyski na pewno osiągnie łotr.

CZAROWIC

Czego chcesz ode mnie? Badasz mię i doświadczasz, jak naczelnik szpiegów...

BOŻYSZCZE

Używaj bogactw, które ci los w rękę wetknął na to, ażebyś poznał smak kielicha rozkoszy. Czekają na ciebie parne noce południa, których nie znasz. Pieśń mandoliny dźwięczy w cieniach strzępiastego cedru. Duszne od zapachów ogrody wzywają w czarne uliczki. Smugą się ściele księżycowe światło na drżącym morzu — lśni na zwieszonych kiściach wistarii, która ocienia żelazną bramę do ogrodu twojego szczęścia. Za nieruchomymi wachlarzami palm bieleją w świetle ściany twej willi, wyłożone bogato marmurem. Rzeźbiony balkon zwiesza się nad kępami róż. Cicho w blasku nocnym pluszcze fontanna...

CZAROWIC

Żegnam cię już, Galeotto. Już idę w swoją stronę.

BOŻYSZCZE

Nie chodź tam! Złą ci wróżbę powiem. Złą ci wyjawię wieść.

CZAROWIC

Ja się złych wróżb nie boję. Dla mnie złych wieści nie ma.

BOŻYSZCZE

Cudzoziemcze! Pójdź ze mną na wyspy Wyśnione! Będę posłańcem twoim do niej. Przywiozę ci ją.

CZAROWIC

Odepchnęłyby cię, stręczycielu, tak samo jak i ja.

BOŻYSZCZE

Czy widzisz ten miecz u mego boku? To zdobywczy miecz piraty. Biorę cię w niewolę! Skocz w tę łódź. Zdobyłem cię. Błogosławić będziesz niewolę moją.

CZAROWIC

Kruku! Krótki jest twój puginał...

BOŻYSZCZE *chwytą CZAROWICA w ramiona. Mocują się, siepią się wzajem, walczą ze wszech sił. CZAROWIC upadł na ziemię w walce. Tarzają się na brzegu skały, otoczeni ciemnym obłokiem.*

<sup>140</sup> *doncella* (z średn. łac.: *domnicella*; por. port. *donzela*, fr. *demoiselle*) — pani, panna. [przypis edytorski]

<sup>141</sup> *fijołki* — dziś popr. forma: fiołki. [przypis edytorski]

# SPRAWA PIĄTA

*Poranek w listopadzie. Śniada, nad wilgotnymi łąkami modra mgła. Słońce lśni kędyś za wzgórzami, za lasami. Chłód. Zapach liści uwiędłych. Żółte listowie klonów i topól szczerzenie, uroczo odkryło ziemię. Na zimnej murawie uporczywa rosa odpycha oczy. Nieruchomy, stary park zdaje się tulić w głuchą zakątków, zasłanych mgłą, dawne pogrzebione wspomnienia. Nawija się ciągle przed oczy częstotliwy połysk liści oblatujących ze srebrzystej topoli. Te sphywające zwłoki liści żegna cichy szum bezlistnych szczytów, co wśród nieba się poczyna, a w sercu kończy. Serce, ściśnięte od nieugiętych szponów żalu, tuli się samo w sobie i błąka we mgle wspomnień. CZAROWIC i KRYSZYNA zeszli ze wzgórza i idą długo w milczeniu odludną drogą w parku, ponad basenem leniwej wody, na którą spadła opona złotych liści. KRYSZYNA ma na sobie uroczy swój strój: jasnozieloną suknię, pluszowy krótki paltocik, czarny kapelusz ze strusim piórem. Każdy połysk jej lakierowanego bucika szelestny jest niezapomnienie wśród złotych liści. Aksamitne jej oczy błędzą po głębinach drzew i mgieł. Policzki pokryte się od chłodu puszystym różem, usta spąsowiły. Czarujące zdrowie, jak zapach, wonieje z jej postaci. Na ustach osiadł chłodny i okrutny uśmiezek, podobny do rosy, która nie opuszcza murawy. Oczy jej ani razu nie spojrzwały w stronę CZAROWICA. Usta cedzą kiedy niekiedy słowa oziębłe. Jak uschnięty liść poniewiera się na ziemi jego upadłe serce. Wiatr je popycha tam i sam. Oczy wytężają się tylko po to, żeby nieugięta mgła lez zasłaniała ich pole widzenia. Nic nie widać...*

KRYSZYNA  
Proszę mówić...

CZAROWIC  
Wszystkie przyczyny mojego smutku są mądre, a wszystkie racje mojego wesela by-  
łyby niedorzeczne.

KRYSZYNA  
Niech to pana pocieszy, że wszelkie uczucia są niedorzeczne. Uczucia psują porządek  
rzeczy, a poeci i w ogóle ludzie podlegli uczuciom niweczą niestannie logikę. Powinno  
się z tym wszystkim walczyć szponami i zębami.

CZAROWIC  
Dlaczego pani dostarczyła mi tak niezrównanych pęków do przecięcia krat w oknie  
więzienia, skoro pani zamierzała oddać rękę mojemu bratu? Dlaczego?

KRYSZYNA  
Dlatego, że brat pański jest bardzo bogaty i będzie coraz bogatszy.

CZAROWIC  
Więc dla pani byłoby korzystniej, gdybym był zawisł na szubienicy. Mój brat byłby  
odziedziczył po mnie całą schedę. Jest nas tylko dwu na świecie. Wypuszczony przez panią  
na wolność będę znowu psuł porządek rzeczy i niweczył logikę — ponieważ, niestety,  
jestem poetą.

KRYSZYNA  
A tak — „niestety”. Że uczucia są zawsze niedorzeczne, najlepszy dowód może dla  
pana stanowić ta okoliczność, że ja, w charakterze panny z towarzystwa i narzeczonej  
pańskiego brata, kochałam się do szaleństwa w Abelu Pollet, bandycie, którego ściał kat  
Deibler za pomocą gilotyny. Takie uczucie jest chyba doskonałą niedorzecznością w sferze  
uczuć młodej i niewinnej pani z towarzystwa. No, a ja kochałam się w tym zbójcy,  
nosiłam jego fotografię na sercu, ponieważ był ciągniony na gilotynę przez pięciu ludzi,  
ponieważ patrzył na otaczających bliźnich, na cnotliwych synów ojczyzny, którzy przyszli  
nasycić swą doskonałość widokiem jego strasznych boleści...

CZAROWIC  
Jakże żałuję, że przepiłowałam kraty i uciekłam z więzienia! Gdybym był zawisł, może  
by pani była pokochała mnie tak, jak tego Abela Pollet.

KRYSTYNA

Czy powiedziałby pan to ostatnie przypuszczenie w obecności brata?

CZAROWIC

Powiem je w obecności brata, ale z pewnym dodatkiem. Dodam jeszcze, że wymagać będę natychmiast wypłaty połowy mojej sukcesji po rodzicach.

KRYSTYNA

I cóż jeszcze powie pan bratu?

CZAROWIC

Powiem mu, że tę moją część wydám na cele rewolucji do ostatniego szeląga.

KRYSTYNA

A czy to będzie ładnie, poetycznie tak zubożyć brata?

CZAROWIC

I panią.

KRYSTYNA

A i mnie w każdym razie.

CZAROWIC

Jak to — „w każdym razie”?

KRYSTYNA

Oczywiście. Gdybym, powodowana przez wyrachowanie, zdradziła teraz brata pańskiego i zechciała z wrodzoną mi przekornością dowieść panu, że wszystkie racje pańskiego smutku są niedorzeczne...

CZAROWIC

Co pani mówi? Po co takie rzeczy mówić?

KRYSTYNA

A kiedy ja należę do szeregu tych kobiet nowoczesnych, do gruntu zepsutych, niemal zwyrodniałych moralnie, które mówią tylko prawdę.

CZAROWIC

Cóż pani mówiła mojemu bratu?

KRYSTYNA

Chciałby mi pan dowieść, że nie zawsze mówię prawdę. Nie dowiedzie pan tego. Nie mówiłam bratu pańskiemu, że go kocham. Pamięta pan naszą dawną rozmowę w alejach? Postanowiłam sprzedać się... Brat pański był tak wspaniałomyślny, że chciał, zamiast nabycia, pojąć mię ślubnie za małżonkę, osadzić w dobrach swych na czele wszystkich pachtów<sup>142</sup> i krescencji<sup>143</sup>, uczynić ze mnie obywatelkę, kolatorkę<sup>144</sup> parafii, matronę, przechowującą stare cnoty i tradycję rodu Czarowiców. A pan to wszystko znowu popsuł.

CZAROWIC

Jakimże się to sposobem stać mogło? Jakże to ja, siedząc w więzieniu, skompromitowany nie tylko w oczach policji moskiewskiej, ale również w oczach całego, dobrze myślącego ogółu, mogłem wpłynąć na rozumowanie pani, tak mocno zbudowane na fundamentach logiki?

KRYSTYNA

Powiedzieć panu?

CZAROWIC

Powiedz, Krystyno!

<sup>142</sup>*pacht* (daw.) — dzierżawa. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>*krescencja* (z łac.) — dosł. wzrost; tu: oprocentowana lokata. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>*kolatorka* (daw.) — fundatorka (kościół, klasztoru itp.). [przypis edytorski]



KRYSTYNA

Dobrze, powiem. Tylko bez wszelkich egzageracji, bez uniesień i bez spoufalconych wykrzykników w rodzaju tego — „Krystyno”! Otóż... Spodobało mi się to wszystko, co pana spotkało. Nie to wcale, co pan robił, lecz pański los. Spodobało mi się to, że na przekór im wszystkim, wbrew wszystkim kolatorom, publicystom, wszelkim zuchom, drabom i żulikom literackim... Nazywali pana zdrajcą, bandytą, brodiagą<sup>145</sup>, deklamatorem patetycznym... Sami nikczemni, intryganci, karierowicze — znienawidzili pana za to, żeś nie szedł z nimi. *Aquellos Polvos...*

CZAROWIC

Miłości moja!

KRYSTYNA

Sprawiało mi niewymowną rozkosz zaciskać zęby i przysięgać panu cześć do grobu. Zacisnęłam zęby, schowałam szpony i lubiłam całymi godzinami wsłuchiwać się w ich głosy, patrzeć na morze głów szelmowskich, kiwających nad panem z politowaniem, z oburzeniem, z urągowskiem. Polubiłam na śmierć tę pańską śpiczastą czapkę...

CZAROWIC

Uwielbiona!

*Oboje zbliżają się do ławki przydrożnej. Ławka ta stoi nad basenem wodnym, w pobliżu małej śluzy. Przez drewniane stawidło spada fartuch wodny, gęźba półgłówna, wciąż jeden głos wydająca. KRYSTYNA i CZAROWIC usiedli. KRYSTYNA, pół odwrócona swoim obyczajem, patrzy w przestrzeń.*

KRYSTYNA

Teraz niech mi pan opowiada jeszcze powiastki o sobie, przygody i szczegóły...

CZAROWIC

Myślałem, że pani mi powie...

KRYSTYNA

Nic nie powiem. Musi pan jeszcze uciekać stąd w świat. Niech pan ucieka!

CZAROWIC

A co dalej?

KRYSTYNA

Nie wiem, co dalej.

CZAROWIC

Daj mi słowo nadziei!

KRYSTYNA

Och, nawet tej „nadziei” pan mi nie oszczędził! Zupełnie jak w powieści dla moralnych rodzin, której zadanie polega na „wlewaniu otuchy, tudzież siły krzepiącej”...

CZAROWIC

Więc co?

KRYSTYNA

Nic. Gdy pan pojedzie, zniknie mi z oczu...

CZAROWIC

To co?

KRYSTYNA

Muszę zobaczyć, czy pana stać na to, żeby pan mógł być moim głębokim, duchowym przeżyciem — czy pan może zawładnąć wszechwładnie moimi farbami. Czy będę zmuszona przez pana... nadal malować czucia i ruchy tajemnicze duszy, czy będę zmuszona przetwarzać pana w moją sztukę? Zdarzało się malować pejzaż przedwieczorny, a to był nokturn o panu, kwiaty... a to był bukiet dla pana... Zobaczę, czy w panu jest taka moc

<sup>145</sup>brodiaga (z ros.) — włóczęga, wagabunda, łazik, kloszard. [przypis edytorski]

nadprzyrodzona, żeby pan mógł popchnąć rękę do najwyższego, do wymarzonego od lat dzieła mojego życia...

*Twarz jej pokryła się ciemnym rumieńcem i powoli, na krótką chwilę zwróciła się w stronę CZAROWICA. Uśmiech boskiego początku i piękności nieśmiało wykwitł na wargach, łaska spłynęła w spojrzeniu.*

CZAROWIC

Krystyno!

KRYSTYNA

Cóż pan powie bratu?

CZAROWIC

Powiem mu okropną prawdę.

KRYSTYNA

Okropną prawdę... Cóż to jest owa okropna prawda?

CZAROWIC

Powiem mu, że pani zrywa z nim dla mnie i przeze mnie.

KRYSTYNA

Okropną prawdą będzie wyjawienie, że żywy towar jest nie do nabycia. Towar ogłosił swą niepodległość — czyż kto kiedy słyszał tak straszliwą pogłoskę na okręgu świata?

CZAROWIC

Cóż pani ze sobą pocznie? Za mną nie można iść. Na tej ścieżce, którą ja pójdę, dla dwu osób miejsca nie ma.

KRYSTYNA

*nachyla się ku niemu*

Toteż ja nie pragnę chadzać we dwoje. Proszę zapamiętać tę okropną prawdę, że ja chcę iść ścieżką, na której dla drugiego człowieka miejsca nie ma.

CZAROWIC

Może gdzieś, na cyplu góry te ścieżki się spotykają.

KRYSTYNA

Och, metafora! Może się zresztą schodzą na owym cyplu góry...

CZAROWIC

Jakże osiągnąć tego miejsca bez obciętych kuponów, bez sleepingów, automobilu, służby, kufrów?... Na szczyt dochodzi się w łachmanach z pokrzwawionymi rękami i nogami, z sercem na poły pękniętym.

KRYSTYNA

Nie pójdzie pan moją ścieżką, więc się pan nie dowie, jak się tamtędy wchodzi na szczyt góry.

CZAROWIC

Ale czy duszę kobiecą zdołasz donieść tam nieskalaną?

KRYSTYNA

To znaczy: czy dziewictwo moje, panieństwo ciała nie zostanie kędyś, w połowie wysokości?

*Nadchodzi BENEDYKT, starszy brat CZAROWICA.*

BENEDYKT

Takeście się państwo dobrze ukryli, że ledwie was mogłem znaleźć.

CZAROWIC

Może byłoby lepiej, gdybyś nas był nie znalazł wcale.

BENEDYKT

Doprawdy? *do* KRYSTYNY — Mama pani zaczęła się na serio niepokoić i poleciła mi szukać w parku.

KRYSTYNA

Mama zawsze miewa złe przeczucia. W tym wypadku złe jej przeczucie sprawdziło się.

BENEDYKT

Byłbym zrozpaczony, gdyby cokolwiek złego stało się pani w tym parku!

KRYSTYNA

Brat pański mię skrzywdził.

BENEDYKT

Czy podobna? Janek?!

KRYSTYNA

Niesłusznym podejrzeniem skrzywdził mię tutaj...

BENEDYKT

Cóż on mógł przypuścić, co pomyśleć o pani, o wonnej róży, która na wiosnę zakwitnąć ma w tym ogrodzie?

KRYSTYNA

Ach, jak pan to kunsztownie wyczelował! Pan Jan posądział mię tutaj o brak logiki, o łatwowierność, o naiwność, o nieobywatelskość i skłonność do poezji.

BENEDYKT

Jakże on to wyraził? Jako sędzia, muszę mieć przytoczony dosłownie ścisły tekst jego przewinienia w słowie.

JAN

Musi mię pani zadenuncjować — to darmo. Ja jestem do tego przyzwyczajony...

BENEDYKT

Jaś... Mogłeś oszczędzić nam tego słowa!...

JAN

Nie znam się, Benie, na oszczędności. Jestem rozrzutny i marnotrawny.

KRYSTYNA

Marnotrawny brat!... Utracił wszystko, zmarnował mienie, przyszedł półnagi. Zabito na jego cześć cielca utuczonego, przyjęto go z miłością bratnią, z ojcowskim przebaczeniem... — a oto, jakże postąpił?

JAN

Przed chwilą zęgnąłem się przecie z tymi drzewami, które dziad legionista sadił, pod którymi młodzieńcem marzył ojciec...

BENEDYKT

Zęgnąłeś się? Czy wyjeżdżasz?

JAN

Wyjeżdżam, Benku.

BENEDYKT

Czy nie możesz powiedzieć mi, dokąd jedziesz?

JAN

Wyjeżdżam bardzo daleko.

BENEDYKT

*niespokojnie*

Przecież mógłbyś powiedzieć mi, jak bratu!...

JAN

*patrzy na szczyty drzew, na oblatujące liście srebrnej topoli*

BENEDYKT

*któremu łzy płyną z oczu*

Niepoprawny w okrucieństwie, wieczny, głuchy, bezpłodny marzycielu! Uspokój się, porzuć te przeklęte złudzenia! Krystyno, powiedz mu ty, bo ja słów już nie mam. Mnie on nie zrozumie i nie zechce wysłuchać. Może ty zdołasz...

KRYSTYNA

Złego pan wybrał we mnie pośrednika.

BENEDYKT

do JANA

Myślisz, że nie rozumiem twojej duszy, że nie odczuwam tego, co ci piersi rozpiera. Wystarczy ci, gdy powiesz sobie o mnie w myśli: narodowy demokrat — realista — ugodowiec czy inaczej, według waszej recepty wyzwisk. Sądziś, że człowiek, który orze, sieje, żnie, który liczy snopki, ażeby mu ich nie skradziono, mierzy korcem zboże, hoduje konie, krowy, owce i świnie — nie ma prawa do krążenia marzeniami w tym kraju, gdzie ty przebywaś.

JAN

Ja tak nie sądzę.

BENEDYKT

Nie chciałbym się zająknąć od słowa, jakie by ci sprawić mogło przykrość. Ale pragnę dotrzeć do prawdy, która by nas pojednała. Jasiu, kocham cię dziś głębiej niż kiedykolwiek.

JAN

Wiem o tym i głęboko ufam ci, Benku!

BENEDYKT

A więc chciej mnie zrozumieć.

JAN

O ile jestem w stanie, rozumiem cię. Ale ja muszę wszystko, co mówię, mówić — i wszystko, co czynię, czynić na poziomie prawdomównej i niepodległej duszy polskiej. Inaczej nie mogę.

BENEDYKT

To, co wzięłam po ojcu dla nas obydwu, zliczyłam, oceniłam, zbadalam i powiększyłam niemal w dwójnasób. Pozwalam sobie mówić o tym przy pannie Krystynie — i przepraszam ją za tę rozmowę. Słyszysz mnie, Jasiu? Zwyczajka majątku powstała na mojej i na twojej części, więc dzielę ją pół na pół. Pracuję od świtu do nocy i chępię się tym, żem jeden z pierwszych gospodarzy w kraju. Czy sądziś, że pożeram to, co zarabiam? Nie! Niech no poprawią się czasy, będziemy krzątać się około oświaty ludu i polepszenia jego bytu. Cenią mnie chłopci, uczą się ode mnie nowoczesnej gospodarki. Ufają mi. Cała okolica jest ze mną. Nie z tobą, Janku, który o nich tysiąc wypowiedziałś przemówień, lecz ze mną...

JAN

Wiem o tym. Czemuż chłop we mnie zaufać może? Słowu, które wiatr porywa i niesie? Dola moja jest taka: ja orzę, bronuję, sieję, żnę, wiążę, młóczę, pocę się i ziebnę, dźwigam ciężary i upadam, a ludzie na mnie patrzą i nie widzą nic a nic. Przeciwnie, ciskają na mnie ze wstrętem swoim nawozem i błotem, po którym depcą ich nogi przez całe życie.

BENEDYKT

Zostań z nami! Będziesz rządził swą schedą. Weźmiesz folwark, który tylko wybierzesz. Będziesz robił eksperymenty, jakie tylko zechcesz. Zechcesz podwyższać parobkom płace do najwyższej granicy — stać nas na to do diabła! — Czarowiców! Zechcesz zakładać instytucje — póki tylko starczy twej części... Swojej ci nie oddam, gdyż mam swe wyrobione zdanie, ukochane idee, cele, drogi, wyobrażenia, którym służę ze wszej duszy. Muszę mieć warsztat do pracy.

z pokorą

Zresztą ta moja część należy już do Krystyny...

KRYSTYNA z *uśmiechem rysuje parasolką znaki na drodze.*

JAN

Ułatwiłeś mi zadanie. Właśnie w tej materii chciałem się z tobą rozmówić, Benie.

BENEDYKT

Chwałaż Bogu! A mówże, chłopcze...

JAN

Krótko powiem. Moją część — tylko ojcowską, bez zysków, któreś dorobił, spłać mi gotówką.

BENEDYKT

*pośpnie*

Zaraz chcesz tego?

JAN

Zaraz.

BENEDYKT

Nie mam gotówki. Wszystek nasz majątek leży w ziemi, w stodołach, stertach, kopcach, maszynach, inwentarzu, gorzelni.

JAN

Łatwo pożyczysz.

BENEDYKT

Taką sumę, pół majątku?

JAN

To cię przecie nie może zrujnować. Zaciągniesz pożyczki w towarzystwie, w bankach. Będziesz z wolna wypłacał i po niewielu latach staniesz się panem całości.

BENEDYKT

Łudzisz się, że to tak łatwo. A cóż ty zrobisz ze swoją częścią? Na co ci tyle pieniędzy?

JAN

Rzucę je w ogień.

BENEDYKT

W tę „rewolucję”?

JAN

Tak.

BENEDYKT

*z rozpaczą*

Ach, Boże!

JAN

*w zadumie*

Widzisz sam, Benku, że niełatwo przyszłoby mi czynić ze swoją częścią to, co bym uważał za konieczne, w razie gdybym tu pozostał.

BENEDYKT

*ze spokojem*

Zrujnujesz mię... Ale cóż począć? Gdy zaciągnę tyle długów, nie będę mógł, oczywiście, pracować na całym z taką forszą i w taki sposób, jak obecnie. Wszystko by trzeba zmienić od początku do końca. Więc — część majątku trzeba sprzedać. Sprzedać! Sprzedać!

JAN

Dasz sobie radę na mniejszym.

BENEDYKT

To zdanie zawsze od ciebie słyszałem, jeszcze w szkołach. W istocie — ja dam sobie radę! Gdybym się miał na śmierć zapracować, dam sobie radę. To mój honor, żebym nie uronił ani skiby tego, co mi w ręce dał ojciec.

JAN

A ja to wszystko, co mi ojciec zostawił, roztrwonię.

BENEDYKT

Przejdź się po folwarkach, gorzelni, warsztatach, posłuchaj zgiełku i turkotu roboty. Czyż ci nie będzie żal? Zobacz, ilu my ludziom dajemy w ręce skiby chleba, ilu dach nad głową, opał i odzież. My nie jesteśmy wyzyskiwaczami; ja płacę dobrze, chcę się opiekować starością pracownika, jego chorobą i kalectwem.

JAN

To dobrze, Benie, stokroć cię bardziej za to kocham. Ty jesteś człowiek osiadły, człowiek rozumny, człowiek skończony. Należysz do niezmiernego rzędu tych, którzy powolnymi pracami rozwijają siły narodu, kształtują codzienny, życiodajny czyn, którzy uwielbiają długie życie, tworzą bogactwa i zdobywają je dla pięknych kobiet, żeby wśród powodzenia i spokoju zażywać owoców swojej i cudzej pracy. Należysz do tych, którzy tworzą materialną kulturę narodu, istniejącą siłę jego trwania. Ja, bracie, jestem przechodzień, który wciąż musi iść z miejsca na miejsce, musi iść tam, dokąd go popycha natchnienie.

BENEDYKT

Natchnienie! Pókiż będziesz wierzył w moc napuszonych słów, w piękne konstrukcje pięknych myśli, które jednak nie zawierają w sobie żadnej treści? Kiedyż nareszcie spostrzeżesz oczywiste prawa współżycia ludzkiego, które, jak natura, niezłomnie panują nad nami? Te prawa urabiają wolę naszą! Wyobraziłeś sobie jakichś ludzi, jakieś stosunki i jakieś obyczaje, których wcale na tej ziemi nie ma. Przypatrz się ludziom i miejscom!

JAN

Cesarz Japończyków dobrowolnie zrzekł się roli syna słońca i co najmniej połowy swych praw. Czy przed dokonaniem tego czynu nie poczytywaliby ludzie takich praw i stosunków, jakie nastąpiły, za utopię? Ów czyn japońskiego cesarza wydał niesłychane owoce. Wszyscy Japończycy, uzyskawszy od mikada znaczną część jego praw, zrzekali się na rzecz dziesięciu tysięcy lat ojczyzny części swych przywilejów i praw. W ten sposób, w ciągu kilkudziesięciu lat powstał naród, który zadziwił, oślepił, oślepił stary świat. Każdy Japończyk, nie tylko samuraj, lecz wieśniak i robotnik, zrzeka się życia i wszystkiego dobra, kiedy idzie o dobro najwyższe. Widzieliśmy wszyscy setki tysięcy przykładów tej ofiarności. Dość wspomnieć bitwę pod Mukdenem<sup>146</sup>, nieśmiertelny rozkaz generała Hayashi — *sbne!* — umrzyjcie! i nieśmiertelne wykonanie rozkazu. Naród polski stoi na drugim końcu tej drabiny ofiarności. Jest to naród najmniej ofiarny na świecie — i to od czasów bardzo dawnych. Mamy nadzwyczajnie bogatą magnaterię, która ścisła w zaciśniętym od skąpstwa kułaku miliony, a naród żyje ofiarnością garsteczki inteligentnych biedaków. Toteż naród polski trwa w najbardziej poniżającej godności człowieka niewoli. Dzieje wszystkich instytucji potwierdzają prawdę tego, co mówię.

BENEDYKT

Dużo was jest krytyków narodu, nauczycieli, kaznodziejów, mistrzów, wołających wniebogłosy, jakim być powinien ten naród tak nieszczęśliwy...

JAN

Posłuchaj! Kiedy muzeum Kensington chce kupić jakikolwiek drogi przedmiot do swoich zbiorów, dość jest zarządowi wystawić w witrynie przedmiot, a obok niego księgę do subskrypcji narodowej. Przypomnij sobie teraz nasze szkolnictwo, Macierz, nędzę

<sup>146</sup>*bitwa pod Mukdenem* — jedno z rozstrzygających starć podczas wojny rosyjsko-japońskiej (1904–1905); miało miejsce między 19 lutego a 10 marca 1905 r. niedaleko miasta Mukden (obecnie Shenyang) w Mandżurii w Cesarstwie Chińskim i zakończyło się klęską Rosji: w bitwie poległo ok. 50 tys. żołnierzy armii ros., a ok. 30 tys. uznano za zaginionych; porażka osłabiła władzę carską, wzmocniła zaś wrzenie rewolucyjne, które zaowocowało wybuchem w 1905 r. [przypis edytorski]

naszych muzeów i brak urzędów, które są wszędzie na ziemi. Czy myślałeś kiedy w życiu o Kaszubach, o rybakach, którzy siedzą nad morzem, siedzą od wieków, i dzięki którym my moglibyśmy sięgnąć do morza, stworzyć handel morski, mieć nawet statki handlowe... Nieprawdaż — jakie to śmieszne? My czekamy na chwilę, kiedy tych naszych Kaszubów Niemiec „w obcy naród przemieni” do ostatniego człowieka. Wówczas nawymyślamy w swych piśmiadłach Niemcowi, który nie hołduje naszym ideałom... Dźwignęły się już z poniżenia narodki: Serbowie, Chorwaci, Słoweńcy. A my, dwadzieścia milionów, jesteśmy martwą masą, jałową gliną. Ja, bracie, idę za natchnieniem. We mnie ojczyzna moja płonie. Cóż ja pocznę? Chcę budować rzecz nową, a budować wszystko na ofiarności, która taki owoc wydała w Japonii...

BENEDYKT

Doskonale! Pokażże mi teraz, co ty sam robisz pod wpływem swego natchnienia. Niech w słońcu obejrzy świat twoje prace i rezultat sił twego ducha. Gdzieś był, kiedyśmy tu siali, orali, żęli, marzli i prażyli się na upale, razem z ludem pracując na polu i przy warsztacie, razem myśląc, modląc się w kościele zbudowanym przez przodków i trwałe wierząc w lepszą przyszłość? Lud patrzy na moje ręce, na moją robotę i sprawę. Zwołaj ich, skąd chcesz, i zapytaj się, czy Czarowic to nie uczciwy Polak, uczciwy pan i prawy człowiek? Kiedyśmy tutaj zakładali koła Macierzy, trzeba ci było widzieć, jak stanęli przy mnie, z jaką ufnością nieśli ostatni grosz. A kiedy tu raz zajęchali po mnie kozacy i aresztowali mię, na dwa zresztą dni, o to, że prowadziłem szkółkę bez pozwolenia, we dwudziestu wsiach zagotowało się jak w kotle.

JAN

Stokroć cię bardziej za to Kocham!

BENEDYKT

A ty gdzieś wtedy był, coś wypracował? Przez pamięć ojca! Nie chciałbym usłyszeć, żeś brał udział w tym, co robili współwyznawcy twoich wierzeń. Ileż to krwi wylano za łada podejrzeniem, ile wylano niewinnej! A hasło? „Za mniejsze winy karaliśmy śmiercią” — „lepiej zgładzić dwu niewinnych niż puścić jednego szpiega” — a wreszcie: „winien czy nie winien — kulą w łeb, skoro padło podejrzenie”. Z takiego zatracenia prawdy, z tej otchłani rozbewstwienia mogło wyrosnąć zdrowie nowego życia? Jeszcze nie zaczęli być rządem nowym, a już wdroszyli wszystkie zbrodnie i nadużycia rządów starych! Powiedz mi, gdzie jest rezultat całej twojej roboty? Gdzieś za granicą na uniwersytecie deklamowałeś w gronie współwyznawców, a później siedziałeś w więzieniu.

JAN

*zimno*

Gorzej, bracie! Gdyś ty wyprodukowywał zboże i pieniądze, to ja wtedy do upadłego tańcowałem.

BENEDYKT

Jak to — tańcowałeś?

JAN

Lepiej nie pytać. Bity po twarzy, nie stanąłem do pojedynku. Sromotnie uciekłem.

BENEDYKT

Co ty opowiadasz?

JAN

*śmieje się*

Konik polny i mrówka... Gdy mi teraz, mrówko pracowita, oddasz moją schedę, stanę do pojedynku!

BENEDYKT

*ponuro*

Dobrze, oddam... Wszystko oddam... Tylko pomyśl...

JAN

Ja to już wszystko nieźle przemyślałem. Miałem czas.

KRYSTYNA

*cicho ze złowieszczą kokieteryą, zwrócona do JANA*  
Któż to pana uderzył?

JAN

Tłum rodaków.

BENEDYKT

Nie rozumiem. O czym mówisz?

JAN

Nie staraj się tego rozumieć. Już nie zrozumiesz, Benie.

KRYSTYNA

*do BENEDYKTA*

W istocie, niech pan nie stara się tego rozumieć. Jest w tym, co powiedział brat pański, coś bardzo nieprzyzwoitego, niemilego. To mogłoby panu zaszkodzić. Pojmuję pan, co ja mówię?

BENEDYKT

Właśnie, że nie pojmuję — i to mię drażni.

KRYSTYNA

Jest pan niedomyślny... Na ogół — jest pan niedomyślny. W każdym razie sumę żadaną musi pan wypłacić bratu. Taki wydaję wyrok. Sam pan żądał mej interwencji.

BENEDYKT

Miałem nadzieję, że pani właśnie przyjdzie mi z pomocą w uratowaniu brata. Pani tymczasem przyczynia się do jego zguby.

JAN

Nigdy nieszczęście nie chodzi samo. Drugą złą wieść muszę ci zwiastować...

BENEDYKT

*z lękiem*

Co takiego?!

KRYSTYNA

Pan Jan chce pana uprzedzić, że skazuje się pan na samotność, na zimne i puste życie.

BENEDYKT

Ja się skazuję? Dlaczego?

KRYSTYNA

Ponieważ ja jestem zbyt wymagająca, zbyt wyrachowana. Pan już dziś dla mnie, przez ten podział, stał się za ubogi. Muszę szukać ludzi bogatszych. Muszę pójść dokądś daleko...

BENEDYKT

*z pasją*

Znowu ta mowa przeklęta!

KRYSTYNA

Znowu ta mowa. Zresztą, wcześniej czy później i tak bym pana zdradziła. Co gorsza, już dziś zdradziłam pana, zdradziłam haniebnie...

BENEDYKT *mierzy przez chwilę obydwójce przesywającym wzrokiem, a później zrozpaczony odchodzi. Słychać szelest liści pod jego błędnymi stopami i krótkie, urwane, głuche jego szlochy.*

JAN

Och!... Jesteś okrutna, Krystyno. Jesteś czarująco piękna w tej chwili. Jesteś czarująco piękna. Kocham cię!



KRYSTYNA

Kocham cię — to znaczy: chcę tobą władać. Trzeba, żeby miłość stała się wyższa od uczuć nas obojga razem złączonych.

JAN

Jakże to osiągnąć?

KRYSTYNA

Przez rozstanie się. Gdy mnie utracisz i gdy ja cię utracę, poznamy, czym jest nasza miłość. Będziemy daleko czuwać, jak ptaki, które instynkt tajemniczy, przedwieczny wygania z północy na południe, a nieśmiertelna tęsknota popycha do powrotu.

JAN

Nie chcesz być szczęśliwa?

KRYSTYNA

Ileż to razy zadał to pytanie młodzieniec dziewczeczce i ileż razy otrzymał twierdzącą odpowiedź! Spójrz na te pary we dwa lata po dniach ich „szczęścia”... Czy wiedzą cokolwiek o szczęściu, które dziś nasze serca rozpiera? *przez zacisnięte zęby* Chcę cię kochać, chcę cię uwielbiać tak jak dziś — wiecznie, wiecznie!

JAN

Inny cię człowiek obejmie ramionami.

KRYSTYNA

Nie! Nikt nie pocałuje moich ust nigdy, prócz ciebie.

*JAN nachyla się. Patrzy w jej oczy. Całuje rubinowe jej usta, spąsowiałe policzki, czarne oczy, cudowne od ekstazy.*

JAN

Cóż mówiłaś o Nizzy?...

KRYSTYNA

Nie chcę, żeby ktokolwiek mną rządził...

JAN

Chodź ze mną. Wyjedziemy na kraj świata. Uciekniemy na wyspy Wyśnione.

KRYSTYNA

Nie — ja będę na jednym krańcu świata, ty na drugim. Będziemy czasami zdążyć ku sobie przez morza, półwyspy, łańcuchy gór, rzeki, jeziora, płaszczyny, poprzez wielkie obce miasta i długie, cudze wsie, uciekające w dal poza okna wagonu. Będziemy tęsknić do siebie i modlić się nawzajem do swych wyniosłych dusz w miejscach odległych. Jakże czarodziejska poezja będzie w tym nieskończonym rozdarcu!

*z miłością, w szepcie zachwyty*

Przygotuj się dobrze i mocno do swych katuszy, więzień, zesłań, katorg, walk nocnych, ucieczek — potężny lwie! Ja będę z dala czyhała. Będę chodziła po twoich tropach królewskich, węsząc krople świętej krwi, spadłe na ziemię z twoich ran. Gdy będziesz biegł w polach samotny, ścigany, z nozdrzami chwytającymi ostatnim wysiłkiem powietrze — nasłuchuj! Mój okrzyk będzie w pobliżu. Moje oczy będą widziały. Ja nie zawiodę.

*Usta się zwały z ustami. Szum wody spadającej z drewnianego na rzeczce stawidła, zdało się, pochwylił dalszy szereg wyrazów i zawarł treść w głosie swym jednostajnym, natchnionym, wiecznym. Szelest liści, które przelotny wiatr pogania i porusza, wchłonął w siebie szepł rozkoszy i krótki jęk szczęścia.*

# SPRAWA SZÓSTA

Prześliczne szkolne wzgórze. Na froncie placu, tuż nad drogą wznosi się piękny, murowany dom. Ściany z surowego kamienia, fugowane cementem, mocny dach łamany od wyglądów i balkonów, weranda, podparta przez łukowe arkady. Potężne skarpy zwierają budowlę, tęgi mur otacza cały plac od strony drogi. Okna domu otwarte. Słychać głos fortepianu i śpiew kilkudziesięciu głosów dziecięcych. Za domem tarasami wznosi się ogród — las. Wielkie sosny rozpościerają konary nad placykami do tańca i nad płaszczyznami do zabaw w piasku. Wyżej stoi gaj uroczych brzoź. Za nim pole do hodowli jarzyn. Białe ścieżki biegną kolisto między brzozami i niespodziewanie wytaczają się z gestwiny na placyki, otoczone darniowymi ławkami. Najbliżej domu, na stromym urwisku rośnie sosna samotna. Obok niej — klomby kwiatowe. Pod szorstkim parkanem — malwy. Przed domem szerszy plac, zarośnięty murawą. Cała dziedziina otoczona płotem z drutu. Jesienne, późne odwieczrze. Czas przed burzą. Stania się woń lilii, rezedy i lewkonii. Niekoszone trawy usiane są jeszcze kwiatami. Na wyższym, drugim placyku CZAROWIC siedzi na drewnianej ławce, którą sam sporządził — pod wielką sosną. Cienie liści brzozowych wynikają na równej powierzchni gliny, zgracowanej przez grabki i szpadelki dzieci, i gasną jak westchnienia. Cienie liści biegają po odzieży, po ogorziałych rękach, jak gdyby zjawienia snu, jak gdyby niepojętych istot, bytujących w marzeniu — dłonie i palce... Słychać ze szkoły śpiew nowy. Pieśń smutna o jesieni: „... Kochało pszę te pola nasze, ale nie może wytrwać w tej porze, gdy taki smutny czas...”. Gdy pieśń ustała, wzdychanie brzoź ją pochwyliło, wessały ją pnie, chwiejące się niepostrzeżenie od ciągów górnego wiatru przed burzą. CZAROWIC przez wiele dni pracował rydlem nad odwaleniem przykop glinianek, które te pnie na poły zasypywały. Jeszcze deszcz nie oplukał grubych szwów kory przyziemnej z czarnego osadu. Murawa powdzierała się na szczyty miejsc pracowicie skopanych, pokryła trud człowieka i zatarta ślady jego wysiłków. Strumyki wody deszczowej powyżłabiały na równiach placów gracowanych kręte łożyska. Śpiew w sali o rozwartych oknach ustał. Dał się słyszeć radosny gwar. Za chwilę tłum dzieci wielobarwny, wesoły, kipiący od życia wybiegł w ogród. Zaroily się od różowych fartuchów wszystkie uliczki, zakwitły wszystkie placyki. W jednym miejscu mali parobcy pracowicie kopią rydlami w przykopie żwirek suchy i, naśladując ruchy, spluwania, a nawet grube wyrazy starych parobków, sypią na wózek. Biegną w lejc zaprzężone rumaki po całym obszarze ogrodu kolistą, najszerszą ulicą, zwaną ulicą uspołecznienia. Przez długie namowy i usilną prośbę wdrożono woźniców i konie do szalonego harcowania tylko tą ulicą, żeby ani jednego kwiatu i ani jednej trawy w bobaterskich wyścigach nie niszczyć. Migają niepochwytynymi skoki ogorzale, spalone, brązowe nożyny, więją w powietrzu płowe, czarne i białe włosy. Krzyk szczęścia bez miary, głos najwyższy siły życia przesywa powietrze. Obok klombu schylone nad liliami szepcą o czymś sekretnie cztery dziewczynki. Za chwilę niosą coś stamtąd do szkoły tajemniczo, z twarzami pobladłymi od zdumienia czy zachwyty, na wielkim liściu łopianu. W poprzek placu zdąża ku ławkom zarosłym sześciolletnia osoba w zbrudzonej barchance. Twarz jej, spalona od słońca, ma kolor wyschniętej roli, białe jak piasek włosy związane w warkoczyk, mysi ogonek. Patrzy w oczy CZAROWICA.

CZAROWIC

Cóż u ciebie słycać, Nastka?

NASTKA

E, co ta słycać... Długo tu będziecie siedzieć, panie?

CZAROWIC

Jeszcze posiedzę.

NASTKA

A kaj<sup>147</sup> macie swoją chałupę, panie?

CZAROWIC wskazuje ręką na świat, w nieokreślonym kierunku

Powiedzieli stryjna, że całkiem chałupy już nie macie, ino się flantacie po cudzych werkach, jak pomykacz...

<sup>147</sup>kaj (gw.) — gdzie. [przypis edytorski]

CZAROWIC

Ech, stryjna tak ta gadali...

NASTKA

Panie! Jeździliście na maszynie?

CZAROWIC

Jeździłem.

NASTKA

No, widzicież! A ja nie jeździłam na tej maszynie i teraz nie wiem, co ta w niej huczy, jak jedzie.

CZAROWIC

Huczy w niej taka para.

NASTKA

Żydowska para?

CZAROWIC

Ale skąd znowu żydowska! Zwyczajna para, jak w garnku.

NASTKA

Jak w nocy maszyna huczy, to, wiecie, strasznie się bojam.

CZAROWIC

Czegóż się masz bać? Do ochrony<sup>148</sup> tyła panna chodzi, a maszyny się boi. Wstyd!

NASTKA

No, widzicież! I paniusim się pytała<sup>149</sup>. Pedziała<sup>150</sup> pani to samo, co i wy, że taka para huczy, a ja się het bojam i pokój<sup>151</sup>. Sama już nawet nie wiem, co z tym robić. Zamartwiam się.

CZAROWIC

Nic sobie nadzwyczajnego nie rób! Z głową się nakryj i śpij twardo. Jedyna rada.

NASTKA

Hy! Wy mi ta powiecie... Stryjna to mię ta dość poszturgujom<sup>152</sup>, jak się obudzę i becę. Pedzieli paniusia, że mię wezmą i pokażą tę parę...

CZAROWIC

Nastka! Powiedz no mi, coście wczoraj w tamtym kącie około kartofli tak radziły?

NASTKA

Rano?

CZAROWIC

Rano.

NASTKA

A to był sąd! Ale nie gadajcie nikomu, pary z gęby nie puście. Nie puście pary z gęby?

CZAROWIC

Nie puszcę.

NASTKA

No, bo bym was zklena! Widzicież, tak było. Wzięła Józia srokatka, rymarzówna... Słyszycie dobrze?

<sup>148</sup>*ochrona* a. *ochronka* — daw. placówka opiekuńczo-wychowawcza, rodzaj przedszkola. [przypis edytorski]

<sup>149</sup>*paniusim się pytała* (gw.) — konstrukcja z przestawną końcówką czasownika; inaczej: paniusi się pytałam. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>*pedziała* (gw.) — powiedziała. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>*a ja się het bojam i pokój* (gw.) — a ja się nadal boję i już. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>*poszturgujom* (gw.) — poszturchują (grzecznościowa forma 1m czasownika). [przypis edytorski]

CZAROWIC

Słyszę!

NASTKA

Wzięła Józia srokatka, rymarzówna, złapała kurę, tę czubatkę, paniusina — wzięła igłę grubą, co ją ukradła z paniusinego igielnika — i dopiero tę grubą igłę wsadziła całą kurze w zadek. Nie wydajcie, żem wam pedziała!

CZAROWIC

Ale! I cóżeście z tą Józią zrobiły?

NASTKA

A pedziała paniusia tak: weźcie ją, osądzicie same. Co osądzicie, to tak niech będzie. Poszły my wszystkie w ten sąd, ją my ze sobą pojęły w tamten koniec ogrodu. I sądziły my ją bez całą pauzę, sądziły my ją het — precz, ale my nic nie mogły wysądzić. I dopiero jak zaczniemy wszystkie beczeć!

CZAROWIC

Ale nad czymże tak?

NASTKA

Ano nad tą kurą, nad czubatką...

CZAROWIC

A Józia cóż? Cóż też ona?

NASTKA

Ano ona to samo zaczęła beczeć.

CZAROWIC

A ona znowu czego?

NASTKA

Widzicie wy! Ano nad kurą, nad czubatką. Tacyście już głupi, panie, że nic nie możecie zrozumieć.

CZAROWIC

Teraz już rozumiałem. Dobryście sąd zrobiły, bardzo dobry. Ale z czym żeście przyszły do pani nauczycielki?

NASTKA

No — zaprzysięgła się na Matkę Boską Zielną, na Pana Jezusa i na świętego patrona Józefa Oblubieńca, że już nigdy a nigdy, a przenigdy igły kurze w zadek nie wsadzi. Ale — co ta nasze rzeczy dziewczynskie! Chłopaki — to te dopiero!... Jezusie Nazareński Królu!...

CZAROWIC

No? Cóż chłopaki?

NASTKA

To nie wiecie?

*tajemniczo*

Wzięły Franek Zatajewski, cieśli czarnego spode młyna, i Wiś Budniak złapały od mamy Wisiowej sześć małych kotków, co się okociły tydzień temu i wszystkie sześć zakopały żywcem w ziemię. Słyszycie, panie?

CZAROWIC

Słyszę.

NASTKA

*plaskając rękami i wznosząc pięście na wzór starych kobiet*

Najsamprzód wykopały dół za cegielnią i cisnęły w ten dół biednego kotka, z białą łatką na łbie. Zasuly go ziemią. Piszczął, piszczał... Aże przestał... *placze* Potem cisnęły w dół drugiego kocia, czarnego z białymi łapami. Zawaliły go ziemią. Potem frygnęły białego z pyszczaszkiem...

*Płacze gorzko.*

CZAROWIC

Cóżeście też z nimi poczęli, z tym Wisiem i Frankiem?

NASTKA

Zwołali paniusia calusieńką ochronę, kto ta ino kiedy był, i te dzieci, co już nie są w ochronie, ino we szkole, bo już przeszły ochraniarskie — i poszliśmy sznurem, parami, umyte, poczesane do kociego dołu, za cegielnią. Tam — w te pokrzywy. Odkopaliśmy dół szpadelkami. A ony oba siedziały na górce, nogi pod się i patrzyły na to to. Hy! Pobiegały jeim gęby! Jak my odwalili ziemię, leży kociaszek jeden, ale już nic nie miauczy, ino leży, bo se zdechl. Łapkę do góry położyć — sterczy do góry... Odkopaliśmy drugiego — ruszamy go — zdechnięty. Tak my wyjęli, wszystkie sześć i ponieśli my je rzędem, na desce poprzed nimi, przed Wisiem i Frankiem, tu do ochrony. Tu my dół wykopali i zasadzili my na nich tę dużą białą leliją. Widzicie, panie? A jak my sprawiali kotkom pochówek, ony oba wlażyły na parkan i patrzyły się...

CZAROWIC

Powiedz no, Nastka, a wszów<sup>153</sup> dużo też jeszcze wyczesują z was w ochronie?

NASTKA

Paniusia sami cheszą za kolejną dzień dnia sześć dzieuch i sześci wisusów. Dużo wszów wyczesują. Chłopakom to aże naftą umyli głowy. Latały potem do wody głowy prac...

CZAROWIC

A czy to Wiś i Franek nie chodzą do ochrony?

NASTKA

Franek ta chodzi, ale rzadko — bo wiecie? szpadelki nama<sup>154</sup> pokradł. A wiecie czemu pokradł?

CZAROWIC

Nie wiem.

NASTKA

A bo mu jego mama kazali, żeby wszystkie szpadelki do domu przyniósł. Wiś ta całkiem nie chodzi. Pedzieli jego ojciec paniusi, że nie będą Wisia posyłać, bo ta szkoła jest za piękna, bo to jest pałac nie szkoła. Jakby, pedzieli, Wiś do takiej szkoły chodził, to by potem ojca — matki szanować nie chciał. A i stryjna to samo...

CZAROWIC

A cóż stryjna?

NASTKA

A pedają stryjna, że wy, toście są, widać, głupi, rozumu dobrego nie macie, boście tyle majątki wywalili na te ta szkoły. Pałace, pedają, nie szkoły pobudował, a sam łązi w łatanych portkach. I sprawiedliwie: łatane portki macie. O, tu łąta jedna, tu druga łąta... Nie pasujecie na pana, ino na dziadka. A i w kreminalie będziecie siedzieli — wiecież wy, panie.

CZAROWIC

Tego jeszcze nie wiem.

NASTKA

No, to ja wiem, bo Walek Raciejewski pedał<sup>155</sup> do naju<sup>156</sup>, jak mu paniusia łeb zmyła naftą, że pójdzie do ziandarów i powie, żeście są kreminalista, a tu siedzicie po próżnicy, w ogrodzie się kryjecie. A i to powie, że po polsku na książce czytać, pisać uczą, a w ochronie czytać, pisać nie mają racji... Wiecie wy teraz?

<sup>153</sup>wszów (gw. forma) — wszy. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>nama (gw.) — nam. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>pedał (gw.) — powiadał; mówił. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>do naju (gw.) — do nas. [przypis edytorski]

CZAROWIC

Dyć wiem.

*Dzwonek się rozległ i pierzchnęła NASTKA. Idą ku szkole gromadki, grupy, konie, pojazdy, tańczące koła. Znowu cisza. Za chwilę wieczorny śpiew. Gwar. Szkoła pustoszeje. Dzieci idą do domu parami, grupami, tłumnymi orszaki. Słychać jeszcze ich głosy, okrzyki. Coraz dalej. MICHAŁEK, syn OSTA, chłopiec czternastoletni, i OLEŚ, syn ANZELMA, piętnastoletni, wchodzą z wolna na plac przed werandą szkolną. Każdy z nich niesie pudełko ze skrzypcami i nuty. Ustawili pudła instrumentów na zewnętrznych schodach szkoły. Rozmawiają żywo, nie widząc chwilowo CZAROWICA. Grupami nadchodzą chłopcy starsi i młodszy od MICHAŁKA i OLESIA, koledzy ich, uczniowie szkoły czterooddziałowej, stojącej na wzgórzu. Wszyscy wśród figłów, rozmów i hałasu gromadzą się na werandzie. MICHAŁ i OLEŚ idą powoli w ogród. Spostrzegają CZAROWICA.*

CZAROWIC

Dobry wieczór panom muzykusom!

OLEŚ

Dobry wieczór panu!

MICHAŁEK

Dobry wieczór!

CZAROWIC

Dziś lekcja śpiewu?

OLEŚ

Zaraz będzie.

CZAROWIC

A gdzież pan Szczypiorek?

MICHAŁEK

Miał wnet nadejść.

OLEŚ

Pewnie się spóźni, jak to zwykle.

MICHAŁEK

*ze śmiechem*

Bo jeszcze u Apfelgrüna...

CZAROWIC

Nie trzeba mu tej wady wytykać zbyt ostro. Pewnie zaraz nadejdzie. A cóż też będziecie grali? Nie uwierzycie, muzykusy, jak się cieszę, że dziś będziecie grali. Jak to dobrze!

OLEŚ

A dziś mamy właśnie nową rzecz...

MICHAŁEK

Olek!

CZAROWIC

Co? Sekret?

OLEŚ

*zawstydzony*

Właśnie... nie możemy powiedzieć.

CZAROWIC

Skoro sekret, to sekret.

OLEŚ

To na pożegnanie...

CZAROWIC

Na moje pożegnanie... Widzisz, Oleś, teraz ja się czerwienię.

MICHAŁEK

Tyle możemy powiedzieć, że to *trio*.

CZAROWIC

*do OLESIA*

Cóż, mieszczechu, nie tęsknisz za Warszawą?

OLEŚ

Już teraz nie. Teraz już polubiłem. Zrazu nie mogłem się przyzwycząić. Tak jakoś cicho, nudno. A teraz widzę, że miejsce to jest wesołe i nawet bardzo wesołe.

CZAROWIC

Nie tęsknisz za nikim?

OLEŚ

*po namyśle*

Nie, proszę pana.

CZAROWIC

Więc dobrze ci tutaj?

OLEŚ

Dobrze.

CZAROWIC

*do MICHAŁKA*

Ty zdradź jego tajemnicę. Prawdę mówi?

MICHAŁEK

Chyba prawdę.

CZAROWIC

A powiedzcie no mi, muzykusy, ale szczerze, jak przed kolegą, czy jesteście przyjaciółmi?

OLEŚ

Owszem.

*po chwili wahania, nieśmiało spoglądając na CZAROWICIA*

Czasem się chce być samemu. Ale to żeby, jak ten jarząb na polu, co sam jeden... A czasem znowu chce się być z przyjacielem. Ciągłe człowiek jest w takim omyleniu. Jak się jest z przyjacielem, to mu się chce powiedzieć najszczerzą prawdę o swoich rzeczach i o wszystkich wadach, ale człowiek czuje, że jak powie, to ten przyjaciel poczuje zaraz i odwróci się. Trudno przyjacielowi skłamać i nie można prawdy powiedzieć.

MICHAŁEK

Ech — nie ten jest przyjaciel, co gada: nie masz żadnej wady, pachniesz jak róża... Ale ten jest przyjaciel, któren mówi w oczy: słuchaj, tu w tobie siedzi...

CZAROWIC

Ja starałem się zawsze wytykać wady przyjacielowi, owszem, ale bez gniewu, bez pogardy. Ale mnie było łatwiej, byłem niezależny, uczono mię nawet tego, jak należy postępować z przyjacielem.

OLEŚ

Właśnie... Jak najszczerzy przyjaciel wytknie coś takiego niezręcznie, to człowiek zaraz się zgubi. To jest niesłuszne, ale cóż począć? Inny, który będzie ukrywał, pokaże po sobie, że nie wie, a człowiek pozna i myśli sobie: wiesz ty dobrze, bratku, tylko cyganisz...

*Nieśmiało spogląda na CZAROWICIA i pyta z głębi duszy*

Jakże postępować?

CZAROWIC

*w pomieszaniu*

Nie jestem pewny, muzyku, czy dobrze jest mówić wszystko... Nie dobrze wiem, jak mówić...

OLEŚ

Człowiek szuka sposobu na duchowe cierpienie, a nie może człowiek sam utrafić...

CZAROWIC

Duchowe cierpienie?

OLEŚ

Bo po prawdzie to duchowe cierpienie jest potrzebne.

CZAROWIC

Nie rozumiem.

OLEŚ

Ono się w człowieku robi od smutnej muzyki, od śpiewu, od szumu tych brzezic, a najbardziej to sosen... Albo w polu, jak zboże weźnie<sup>157</sup> wzdychać, albo nad rzeką, gdy woda... I to cierpienie tak robi, że się człowiekowi rwie dusza.

MICHAŁEK

A ja ci sto razy mówię, że to twoje cierpienie nie jest człowiekowi potrzebne! Zaraz zaczynasz myśleć o smutnych rzeczach, o śmierci, zaraz myślisz: a po co żyłem, uczyłem się, kłopotalem? Oto przyjdzie prędko śmierć i zabierze mię. A człowiek musi umrzeć za swoją sprawę! I ten człowiek, co z moich rzeczy albo z mojej nauki skorzysta — i on także umrze... A w tym wszystkim jest myłka... Wszyscy ludzie, nim umrą, mają wielką korzyść ze swoich rodziców i poprzedników. Wszyscy ludzie przede śmiercią pracują dla swoich potomków, żeby mieli co jeść. Tak się robi cały świat. Trzeba umieć z każdego natchnienia korzystać...

OLEŚ

*w zadumie*

Gdyby to człowiek umiał z każdego świętego natchnienia korzystać, to by też łatwo wiedział, jak wszystko złe zmazać i jak zostać bohaterem...

CZAROWIC

*nieśmiało*

A to ty chciałbyś zostać bohaterem?

OLEŚ

Tak tylko mówię... My by oba z Michałem chcieli choć w życiu napotkać takiego człowieka, żeby my przez niego mogli zrobić... Sam człowiek nie potrafi, bo jest ciemny i grzeszny. Ale żeby się choć na całej ziemi znalazł taki człowiek! Modliłby się człowiek do niego, a żeby też pospelniał za kolegą, do cna...

CZAROWIC

Ale o cóż idzie przede wszystkim? Co najpierwsze?

MICHAŁEK

On ma swoje... Jemu się śni, żeby odkupić świat...

CZAROWIC

Odkupić świat...

OLEŚ

On to źle mówi! To nie tak... I czego paplesz?!

CZAROWIC

No, czemuż?

OLEŚ

Chciałby człowiek dowiedzieć się, co robić, żeby w sobie znaleźć świętą duszę. Czy się modlić wciąż we dnie i w nocy, czy pościć, czy się umartwiać i spowiadać, czy pracować a pracować? A jakże potem wysłać ze siebie świętą duszę na świat? Bo przecie świętość na świecie musi być, tylko jej nikt a nikt nie może wydostać. Ona leży pod rumowiskiem,

Dusza, Święty, Obraz świata

<sup>157</sup>weźnie wzdychać (gw.) — zacznie wzdychać. [przypis edytorski]



jako ten żywy człowiek, co go zasypały zwalone domy... Ludzie wszyscy wiedzą i szepcą między sobą o tym, że ona tam jest pod tymi głazami. Niektóry człowiek to drży na ciele od myśli, że ona tam półmartwa leży pod zwałiskiem, że na jej piersiach rumowie i piach... A po wierzchu tłum łązi, robi, baraszkuje, hula, śmieje się, skacze do tańca. Oddałby człowiek swoją krew, żeby w sobie świętą, chwacką duszę znaleźć, co by wyszła na te gruzy z kilofem...

*Zmierzch zapada.*

CZAROWIC

Ziemia przesiąkła już od ludzkiej krwi. Koła jeżdżą, kopyta koni, racice krów depcą po niej. Obcasy butów ciemnego przechodnia wgniatają w glinę świętą krew jak gnój. Ziemia ją pije, trawa pod sobą ukrywa. A czy nie sądzisz, że świętość jest nie pod gruzami, lecz niewidzialna krąży na gruzach w tych tłumach, co śpiewają i tańczą.

OLEŚ

Jakby ludzie zobaczyli świętość wśród siebie, to by ją wnet zaczęli gonić ze skałami w rękach, żeby ją ukamienować, jak żydzi świętego Szczepana<sup>158</sup>. Już ja wiem, jak ludzie umieją...

MICHAŁEK

O świętość trzeba walczyć i swoją krwią odkupić ją trzeba od czarta.  
*z dumą*

Trzeba walczyć i bez żalości wylewać swoją krew, jak mój ojciec...

Ojciec, Syn, Duma

CZAROWIC

*pospiesznie, gwałtownie zatyka mu dłoń usta*

Nie trzeba tego mówić! Zachowaj Boże! Nie trzeba!

OLEŚ

*głuchym głosem*

Ja wiem, dlaczego pan nie daje mi mówić. Wiem, dlaczego mi pan zatyka usta. Wiem...

CZAROWIC

Ja mu zatykam usta, żeby się nie chelpił z cudzej zasługi. Każdy człowiek odpowiada tylko za siebie.

OLEŚ

Toteż niech nam pan powie, co trzeba robić, żeby już tego na świecie nie było...

CZAROWIC

Nielatwa na to odpowiedź... Gdybyż to człowiek mógł ująć stylisko ciężkiego kilofa, ażeby co dnia odwalać gruzy, pod którymi świętość leży! Gdybyż mógł nie znać innej troski nad troskę, którą stwarza praca, i innej myśli nad jasną myśl o odkopaniu świętości! Ale ziemia przeludniła się od kanalii, która pracownikowi kradnie kilof, młot z rąk wydziera, podstępnie zawala głazami chodnik odkopany, niszczy urobek. Łotrostwo dybie na czcigodną pracę, chowając sztylet pod połą pięknej szaty. Usłyszycie o posłannictwach, o apostołstwach, o prawach narodowych i społecznych — uwierzycie i będziecie biegli bosymi swymi nogami... Ale wkrótce ujrzycie sami, jak łotrostwo łotrostwu wydziera łupy, zdobyte potem i krwią bezimiennych nędzarzy, jak zgnilizna oszukuje zgniliznę, byleby jak najdłużej trwać... Musi pracownik odrzucić sprawiedliwy kilof i uczciwy młot, odpasać najdostojniejszą szatę: fartuch skórzany. Musi jeszcze wdziać żelazne rękawice i zbroję okrucieństwa. Trzeba jeszcze mieczem bezlitosnym ścinać i rzucać w jamy mogił kanalię, wyrosłą ze zwyrodnienia ludzkiego rodzaju. Trzeba jeszcze z ramienia rąbać łupiestwo i uprzywilejowany gwałt.

Jedno wam doradzę: nie bierzcie nigdy do ust wódki. Wszystko, co czyni człowiek prawy, musi wytrysnąć z trzeźwości myśli i zimnego stoku niepodnieconego uczucia. Ani

Alkohol, Młodość,  
Idealista, Cnota

<sup>158</sup>Szczepan, św. — właśc. Stefan, święty katolicki oraz apostoł kościoła prawosławnego, zw. pierwszym męczennikiem; Żyd, zwierzchnik grupy zw. hellenistami, pragnął zreformować judaizm poprzez powrót do jego korzeni (z wyjątkiem przykazań dotyczących świątyni i kultu ofiarnego), zginął ok. 36 r. n.e. ukamienowany pod Jerozolimą przez miejscową społeczność. [przypis edytorski]

jeden krok człowieka prawego nie może być rezultatem sztucznego podniecenia. Cokolwiek powstaje za sprawą wódki jest niskie, nieplodne, niecelowe, nieduchowe, histeryczne, a najczęściej podłe. Z trzeźwości myśli i z siły niepodnieconego uczucia narodzi się tak wielka zdolność do ofiary, jak w twoim ojcu, Michał — wytryśnie, jak owoc z kwiatu, niestrudzona praca i upór nieprzełamany oraz to, co jest najdosłowniejszą cnotą mężczyzny, żeby umiał przez całe życie godnie dochować wierności młodej tajemnicy swojego serca. A jak mianowicie ma postępować człowiek prawy, co czynić i dokąd iść — tego ja nie wiem, braciszku moi. Sami szukajcie drogi swojej...

*Wielkimi, aczkolwiek nieco chwiejnymi krokami*<sup>159</sup> *nadchodzi metr*<sup>160</sup> *muzyki* SZCZYPIOREK.  
Sposprzega CZAROWICA i uczniów na wzgórzu. Zbliża się.

SZCZYPIOREK

Pan dziedzic przebaczy...

CZAROWIC

Nie jestem ani trochę dziedzicem.

SZCZYPIOREK

Osoba pańska, płaszczem tak wielkiego dostojęstwa przyodziana, przebaczy...

CZAROWIC

Nie noszę, ze względu na ciepłą pogodę, płaszcza, a tym mniej płaszcza dostojęstwa.

SZCZYPIOREK

Osoba przebaczy... Jako płatny nauczyciel nie jestem oto na posterunku we właściwym terminie.

*podniesionym głosem*

Wyznaję, że członki moje obciążone są od wysokokowego napoju!

CZAROWIC

Lepiej jest, gdy się ciała wysokokowymi napojami nie obciąża. Ale nie ma o czym mówić, nie ma potrzeby...

SZCZYPIOREK

Przeciwnie! Osoba pozwoli, że zaprzeczę. Z całą rewerencją<sup>161</sup> dostojęństwu przyna-  
leżną, ale zaprzeczę. Należy wyznawać! Bo po cóż taić? Co taić? Jak taić? Zapytuję, gdzie  
znaleźć drogę ucieczki i *montem sacrum*, skoro świat stał się dla indywiduum żydowską  
gehenną, złowonnym śmietnikiem za miastem Jeruzalem?

CZAROWIC

Tęgo nie wiem, ale przy tych młodych frycach...

SZCZYPIOREK

Ci młodzi uczniowie stoją przed progiem... A ja, stary rzępoła, stoję na progu — co  
mówię? — stoję za progiem... Spoglądam na prawo i na lewo, do wewnątrz i na zewnątrz,  
do kostnicy — ostatniego lokalu — i na tę ścieżeczkę, którą przyszedłem... O, ście-  
żeczko umajona jaśminem i bzem zmoczonym od deszczu! Osoba pozwoli, że wspomnę  
na to słowo, tylko na jedno słóweczko — Syjon duszy — skrzypce... Albowiem jest  
chwila, kiedy już spodłala ręka skrzypiec dotykać nie waży się, nie waży się...

*Ika raz i drugi*

Osoba przebaczy... Albowiem skrzypce żyją, skrzypce wołają, skrzypce łamią palce  
u rąk i targają siwe, skudłane włosy... Już to inna istota ściska ich gryf. Już tej ręki nie  
masz, która boski smyczek na nich składała w chwili natchnienia...

CZAROWIC

Tak źle nie jest.

<sup>159</sup>*chwiejnymi krokami* — dziś: chwiejnymi krokami. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>*metr* (z fr.) — nauczyciel. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>*rewerencja* (daw.) — okazywane komuś poważanie, szacunek. [przypis edytorski]

#### SZCZYPIOREK

Tak źle nie jest... Jakże to rozum indywiduum — proszę o chwileczkę miłosiernej uwagi — zmieścić w sobie może na kupie te rzeczy, żeby mieć w duszy, w głowie, w uchu jak gdyby nigdy niezgojoną ranę, środkowe *adaggio* z ef-molowego koncertu Szopena, mieć tu, w sobie, to dzieło boskie, wydane w jednej chwili z trzewiów tysiącolecia — (a nie wiadomo, czy drugie tysiącolecie na taki głos się zdobędzie!) — mieć w duszy powieść o śmierci Izoldy, jak ją muzyka Wagnera oderwała z wieczności i przed duszami czujących istot zatrzymała na wieki, mieć w sobie niebiańskiego Szumana — i razem — proszę o miłosierną uwagę — mieć wolę tak zmachlajdezowaną, czucie tak zjarzębinówkowane, kredyt tak poderwany u Mendla Apfelgrüna, zwanego, słusznie czy niesłusznie, w to nie wchodzę, Mikitką — że dalej już tylko jest śmietnik za miastem Jeruzalem i płot, polska instytucja, pod którą się zdycha...

#### CZAROWIC

Farfarello!

#### SZCZYPIOREK

Ta ręka, to jest ręka Szczypiora — żal się Boże! — Farfarella... Osoba uczciła mnie jeszcze, porwała w górę... Farfarello! To jest ręka Farfarella, wódkożłopcy na głębokim partykularzu, to jest ta sama ręka, która prowadziła lekki smyczek przed wspaniałą, pełną, śmiertelnie uciszoną salą... To jest ręka, która niepochwytnymi skinieniami porywała dusze nieznanym jegomościom i bab, która rządziła uczuciami młodych demuazel i wstępujących w życie blambeków, to jest ręka, od której posunięć zależały wszystkie i to najtajemniejsze czucia, wszystkie westchnienia... To jest ta sama ręka, która w sposób nieomylny, doskonale trafny, stwarzała muzykę, najwyższy stopień harmonii, sztukę jedyną, wyższą od poezji, niewątpliwą, władczą, nieśmiertelną, porywającą w jeden uścisk cesarzów i bezspodniowców, bankierów i anarchistów-komunistów... To ma być ta sama ręka! Panie muzykant — to jest już moja ostatnia łaskawość. Ja panu już ani jednego kufła nie dam na kredyt. Pan wie? Panie muzykant, teraz to już pan pije całkiem za darmo. Pan słyszy, panie muzykant?

#### CZAROWIC

Niechże się pan uspokoi! Pan jest naszym muzykiem, nauczycielem niezamożnej młodzieży. Może ich pan wychowywać... Mówi grecki filozof, Plato, że muzyka obejmuje wszystkie sztuki, poezję, rzeźbę, malarstwo, że — jak gimnastyka wydoskonala ciało człowieka — tak muzyka wychowuje dusze ludzkie. Właśnie ci dwaj młodziankowie rozpytywali mnie, jak mają postępować. Tymczasem ja jestem zgoła nędzarz, bo nic im nie mogę odpowiedzieć. A pan, Farfarello, skoro zechcesz położyć smyczek na strunach, możesz wychowywać ich dusze...

#### SZCZYPIOREK

*zdejmuje kapelusz i kłania się CZAROWICOWI do nóg*

Jego jasność, jego jasność... Jeszcze to słowo w kalecie swej wynalazł... Już tam — bez urazy — nic w kalecie nie ma, ale się znalazło szczerolote słowo, ostatni pański dukat. Dźwignij się jeszcze, człowieku, i ty nawet, Farfarello od Mikitki! Wychowuj dusze ludzkie, poprowadź młode dusze na niebieskie wyżyny ef-mol koncertu... Zewlókł królewicz z ramion płaszcz dostojności i bilet swój, i złote sandały, i ostatnią koszulę. Wszystko dał. Stoi sam: królewicz bez królestwa, pan bez państwa, władca bez władzy. W połatanej tandencie, w wykrzywionych butach pan tyłu wsi, szlachcic z pra-pra-dziada! Farfarello-Szczypior równy w każdym efekcie jego osobie. Buty nie gorsze, kapelusz większy, a dufanie artystyczne i pycha machlajdyczna stokroć wyższa. Oto jest świat!

*nachylony, ze zgrozą i surowością do CZAROWICA*

A wszystko to runie w ten sam dół, gdzie już leży tyle podłości, na śmietnik za miastem Jeruzalem! Złodzieje rozkradną wielki skarb ofiarowany, rzezimieszki śmiać się będą po nocach!... I znowu będzie ze zgrozy drżała ręka, tykająca strun.. I szynk Mikitki... Szczypior chce dziś zagrać Panu Bogu skargę na lotrostwo świata, spowiedź powszechną, Mahabarata<sup>162</sup> swojej sprzedanej duszy... Chodźcie uczniowie!

<sup>162</sup>Mahabharata — jeden z dwóch głównych hinduistycznych poematów epickich (obok *Ramajany*); epos opowiadający o historii starożytnych Indii, zawierający nauki z zakresu filozofii (logiki, etyki), astronomii, me-

Kłania się CZAROWICOWI olbrzymim, zmiętoszonym kapeluszem i odchodzi w kierunku szkoły śmiały, aczkolwiek nieco chwiejnymi krokami. Zmierzch już zapada, przyspieszony przez nadciągające chmury. CZAROWIC przeszedł bliżej szkoły na odkos ziemi, gdzie rośnie przesliczna, rozłożysta, samotna sosna. Tam usiadł na ziemi. Ze swego wzniesionego miejsca widzi przez otwarte okno wewnątrz dużej sali szkolnej, zajmującej całą długość i pół szerokości domu. SZCZYPIOREK, MICHAŁ i OLEŚ ustawili w połowie sali trzy pulpity, rozpostarli na nich nuty i zapalili trzy świece. Płomienie świec drżą i nadają twarzom muzyków, zwróconym ku oknu tajemniczy wdźwięk. Pośrodku stoi FARFARELLO. Siwiejące włosy otaczają jego twarz zniszczoną i spadają na ramiona. Muzyk wyprostował się, podniósł głowę. Przebrzmiał w gałęziach szybki, gwałtowny deszcz. Krople jego zawisły w wyżynie konarów. Daleki słychać grzmot. Jadowity, wszystko przenikający wybuch wiatru rozległ się, trwał przez chwilę i zginął bez śladu między pagórkami. W ciągu swej krótkiej potęgi przydeptał na klombie gwiazdy wielobarwnych astrów, obalił na ziemię wątle balsaminy. Po nadobnych koronach jesieni, oddanych tej jedynej sprawie, żeby wyrazić niewymowny wdźwięk nadejścia śmierci, przebiegło bolesne tchnienie. Szybki i nagły zapadł zmrok. Wysoki krzak tytoniu białawym brzaskiem, na poły już wessanym w głęboką pomrokę, żałobi się kędyś przed oczyma — nie wiadomo — daleko czy blisko. Tchnieniem subtelnym, jak najtajniejszy powiew tęsknoty, dymi się zewsząd zapach rezedy. Kapela jesiennych świerszczów deszczową posiloną rosą melodyjnie zaniosła się znów. Dzwonna ich gra, głos niewyczerpanej ekstazy, tak cicho a tak namiętnie brzmi pod liśćmi zgorzały. CZAROWIC uczył mimowiednie, jak gdyby przez głębinę snu, że to w duszy, w jej skrytości najodleglejszej płyną — trwają te najmilejsze tony świerszczowe. Jak niegdyś za różano-złoty dni dzieciństwa, w czasach, które na ziemi pono istniały, a teraz umarłe i nieznajome leżą w zakłętej pamięci, śpiewało w ciemne noce tę pieśń wszystko powietrze, otaczające ekstazę serca w jego jaskółczym śmiganiu ku krańcom bytu, tak znowu dziś, jeszcze raz, po gradusach i przegubach tej polnej gędzby lecą nieunoszone ciosy serca na bezdroża ciemnej nocy. Ziemia obmokła od szybkiej ulewy ujmując stopy uściskiem, tajną rozkosz niecącym. Ramiona, ręce, żebra ogarnia radość mroku — radość najgłębszej, ociemniałej sekundy międzybłysnięć. W uniesione ramiona chwyta ciemnota kryjomo duszę. Tuli ją w posępne, w wonne zwoje miłości, miłości do gliny, drzew, krzewów we mgle, do dźwięku ojczystej mowy... Nagle zabrzmiał trójjedyny cudogłos trojga skrzypiec. Rozległ się, jak nakażne wołanie człowieka, rzucone w kraje wieczności. Rozciął ciszę, jak uniwersał wstrzymujący wszystko, jak hasło przodownika, który idzie nad urwiskiem przepaści z pochodnią w górze. Spazm szczęścia objął słuchacza. Zdało się, że ciało traci swój ciężar i nad ziemię się uniosło. Zimna głowa spoczęła na łonie jaskini, w którą się zapadł blask pochodni. Upojenie bez granic zawarła w sobie ta szczelina skrytości, przez którą tryska cudowna muzyka. Głęboka rozkosz jej mogłaby się zrównać jedynie z urokiem zwoju włosów Krystyny, z nieprzewycięzoną, z mocą na śmierć piękności jej oczu. W tej nieprzejrzystej ciemnicy tonów było podobieństwo do tajemnicy piękności jej ciała, okrytego wiecznymi sukniami. Na nowo ocknął się wicher muzyki. Rzęsista jego melodia popędziła duszę człowieka na jakoweś samotne drogi... Śni dusza, że widzi księżyc w bezgranicznych pustyniach niebiosów, osłonięny na pół przejrzystymi chmurkami o kolorze mosiądzu. Podniosły blask przez dymne, na pół przejrzyste obłoki pada na śnieżne pola, w przepaście między nawistnymi skalami, na góry nieogarnione oczyma. Jakowyś las głęboki, osędziały. Zadyмка przydęła posępne, czarne drzewa. Światło miesiąca osrebrza kwiatony wieżyc dalekiej puszczy, wierzchowiny wielokrotne, ginące w dali. Szare niebo zapada się daleko w przedział między lasami. Tam daleko śmiertelnie obojętnym pożądaniem ziewa przepaść. Potok, jak smuga śniegu, srebrzy się na dnie głębiny. Szum potoku do uszu nie dolata. Tylko wiatr tam zaglądać może i ludzkie oko nieustraszone. Lecą niepostrzeżenie ciche myśli, wieją niby ciepłe, wolne powiewy — czy lęka się sarna górska, gdy stąpa ponad przepaścią, gdy patrzy w głąb i widzi w dole smużkę potoku nieruchomą? Czy kocha swoją dziedzinę sarna górska i jakie jest jej czucie? Przedziwny głos, jak gdyby głos orla ozywa się i mówi odpowiedź w głębiach nieba. Kracze orzeł śmiertelnym pozywaniem niezrozumiałą dla człowieka odpowiedź. Pomiędzy głębią przepaści i wysokością niebiosów wynika rozmowa tajna o świecie i rzeczach świata. Zbliża się, zbliża się do kraju świata rozmowa tajna i nieustraszone oko człowieka spogląda w szczelinę, ażeby ujrzeć zaświat i rzeczy za-

dycyny, jogi, sztuki wojennej, edukacji, ekonomii, architektury, a także sztuki miłosnej; w jego skład wchodzi też *Bhagawadgita* (pieśń w formie dialogu, o tematyce religijnej i etycznej). [przypis edytorski]

świata. Jakże niepojęty, a jak wciągający w swój wir stał się dialog muzyki! Ogarnia wszystko i w jednym wyrazie wszystko mieści. Rozdziela zasłonę tajemnicy, podnosi wzgórze obie połowy i na nowo je zapuszcza. Falami płynnymi, ze śmiechem cichym opadają na dół połowice zasłony. Zrywa się nieposkromiona wola. Tworzący czyn, spadkobierstwo walki z tajemnicą, uwiera w piersiach, jakoby zamknięty a wybuchający pocisk ognisty. Oczy napęczniałe od wysiłku wpatrują się w krąg miesiąca daleki, w wiotkie, miedziane mgły... Rozedrzesz się ty, ciszo, na dwoje! Skonasz, milczenie! Otworzą się wszystkie twoje jaskinie, bezdenne echo, rozpadniesz się, zasłono czarna na rozkaz potężnego człowieka! Oslepiająca wstęga piorunu wytrysła w mrokach muzyki, przeszła niski świat i, zdarszy opone śniegów, wiosnę cisnęła na ziemię. To już nie las osiwiwały. To nie góry nieogarnione oczyma. To ogród ten jesienny. To gaj ten, słuchający szczebiotów dzieci. Jakże w nim ożyło wszystko, stało się sobą i samość swego żywota wydało w muzyce. Widać życie drzew, krzewów, chrustów w parowie, sosen i brzoź, dla nich samych płynące. Jeststwo życia, tajemnicę siloczuca każdego krzewu i każdej trawy wydałaś, o, błyskawico! Drzewa zastygłe w nieruchomości zatrzęsły się i wzdychają. Szelestny, międzylistny pogwarek wszczął się pomiędzy nimi i sphynął w nicestwiejący szum, w szum nicestwiejący kędyś w dali. Brzozy jedna do drugiej uśmiechają się przez bezszelestne już mgnienie. Uśmiech ich, bezlitosny względem wszystkiego na ziemskim okręgu, oprócz siebie samowtór, lśni, jak na licach kochanków, objętych szczęściem miłości. Blask błyskawicy wraził się aż do dna wzroku człowieka, jak cienki brzeszczot złoczonego sztyletu po krzyżową rękojęść w ranę, a po zniknięciu swoim zostawił nicosć. Nagle wybucha z nicosći pożar myśli i dymią się kłęby uczuć. Ogniem wszystko niszczącym spłonęła groźna wola. Wychodź na wojnę, człowieku! A w chwili tej wyzwolin woli zostaw w powrozach sumienia widzenie tamtych wstydliwych ramion, niezastoniętych sukniami. To o nich żałośnie śpiewają skrzypce młode. O nich wspomina tamta daleka polotność tonów. Zamieć nic niewiedzących tonów muzyki przeszływa jasne brzozy, które stoją w ciemnowronej ciszy. Drzewa słuchają. Czatują na każdy ton. Rozumieją troskliwie, czują to samo, co czuje serce ludzkie, strwożone przez niepojęty cudosen muzyki. Pilnie czytają na wichry zmiennych uniesień, na każdy szelest melodii, sprzyjający sercu, na tchnienia i poglaskania łaskawe, na uśmiechy nadziei krótsze niż jedno melodyjne westchnienie świerszcza jesieni. Teraz z dala płyną pieśni — chmury bezgranicami nieba. To one najbardziej żarliwie ujęły sprawę człowieka poza obrębem jego duszy. Spamiętały czujniej niż on sam wszystko, co najwznioślejsze, wszystko bolesne — przebaczone, wszystko, co leciało istotnie ku niebu — wchłonęły w niematerialny swój dźwięk, w mowę chmurną, obłoczną, zamierającą między otchłaniami czasu, tę samą wiecznie, tę samą w chwili szczęścia dawnego i tę samą, gdy się w samotność i głuchy żal opuszczenia przelewa. Wysławiają człowiekowi cudowną o nim samym legendę, wierne o nim podanie, o nim, bohaterze i duchu wolnym, który niegdyś istniał, panował nad okręgiem ziemi szczęśliwej, pióropusz skrzydeł nosił u ramienia szlachetnego, cnotcie służący miecz piastował potężną dłoń, pasował się na śmierć z mocami wrogimi, zginął walecznie i ninie<sup>163</sup> leży w zapomnianej, niewiadomej, zakłętej mogile. Głuchy gniew, głuchy poryw żłobi w chmurach tej dawnej pieśni każdy przelot błyskawicy. Skądże i czemu nawraca znów, nawraca tylekroć Olesiowe pytanie: jakże świętość wy dostać z ludzkiego rodu? Kto się odważy? Kto ujmie młot? Kto na się weźmie posłannictwo odkupiciela? Słychać... Ktoś to inny gra. Odpowiedź... Oto gra teraz odpowiedź bies stojący w mroku, Mara, mądry zaprzaniac, zdrajca świętości, Judasz, krzywoprzysięzca. To on przemawia sam — czart. Gra najdzikszą swoją symfonię na strunach człowieczego szaleństwa. Śpiewa o pożądliwości, o trosce i o rozkoszy. Zapuszcza w tajnię serca krzywe szpony, ścisła serce, jak ów stary skrzypek ścisła gryf swego muzycznego narzędzia, od strun nabrzmiały. Podnieca struny uściskiem i wyrzywa z nich dawno mu znane przykłady — dzieje szatów daremnych nigdy niespełnionych, krzyki pełne nadludzkiego pragnienia i oszalałej odwagi. Pokazuje w pieśni swej, co jest rozpacz, pokazuje czarne wnętrza krwawego dołu. A teraz rozwarł kwiecistą dolinę. Tam w dali cud piękności zwłóczy z ramion wieczne szaty. Wraca się wciąż, wraca wciąż smyczkiem swoim do odpowiedzi jedynej, do tej samej zawsze, do odpowiedzi: nigdy! Lecz oto, gdy najbardziej spracowane było serce i w walce swej granicy dosięgło, ucichł głos przodowniczy. Stary muzyk grać przestał. Tyłem do okna zurócony, smyczkiem wybija takt. Grają sami dwaj młodzi skrzypkowie. Duet. Młody wytrysł w sali śpiew. Nowotna siła wzniosła się zeń jak szerokoskrzydły archanioł. Zatoczył śpiew krąg. Podbił się sam mocą swoją z zachodu na

<sup>163</sup>ninie (daw., gw.) — teraz. [przypis edytorski]

wschód, z nocy ku jutrzni, zatoczył krąg drugi, wyższy. Wicher niebieski wieje w skrzydła tego śpiewu. Posiadły skrzydła wicher. Płyną w lazurze. Zadrżało od rozkoszy serce słuchacza. Włosy się jeżą na głowie. Ścieka wzdłuż ciała zimno do stóp. Wewnętrzny śmiech złączył się z młodą muzyką. Szepcą usta: — Śpiewajcie pieśń, skrzypkowie młodzi! I oto odsłoniła się pieśń, jakby zastona. Kędyś pod czarnymi drzewami gruba ciemność przybrała kształt. Zstępuje po ciemnych schodach przesłiczny cień. Nad czołem jego miga, wykwitła i uderza w mrok świetlisty sztylet burzy. Idzie w dół tajemnica przyszłości. Zjawiała się na podobieństwo chmury przyniesionej przez wicher z dala. Jakoby daleki odgłos grzmotu odpływa z duszy na jej widok wszelkie cierpienie. Wstaje w duszy szczęście, które trwać będzie wiecznie i nie zostanie nigdy zniszczone. Ucieka bies, miotając gromy. Rozjuszonymi nogami depce szczyty drzew i gonty dachów. Deszcz jego ulewnym potokiem spada. Lecą raz wraz powiewne migotania i sieczyste krzyże jego piorunów. Ciemność głęboka okrywa po nich świat. Wzmaga się szaleństwo burzy. Lecz nawałnica muzyki staje się bogactwem człowieka, sprzymierzeńcem jego wesela, porażką wroga rozszalonego. Znakiem niemocy, przymusową daniną wroga staje się złota tarcza błyskawicy. Jej długie, oślepiające jaśnienie, jej niestrzymany blask waha się w nagłym zachwycie na przeciwnym zjawieniu piękności nowej, na licach tajemnicy przyszłych dni. Kołysa się złote lśnienie na ramionach, nigdy przez oczy ludzkie niewidzianych. Niewymowna moc ich piękności przegląda się w zwierciadle błyskawicy... A wśród pasowania się piękności z pięknością, zagastoś — i rozpadło się pokonane, o złote lustro szatana! Zawarły się oczy olśnione. Złocista przepaska uśmiechu leży na wargach gorących. Serce, porwane na zenit bytowania, kołysze się, chwieje, jak tajemniczy dzwon między jaskinią odtrącenia i jutrznią nową. Dusza zwleka ze siebie ciało i, jak tuwalnia światłości, błąka się między złotymi błyskawicami. Objąwszy się westchnieniem z nieznanymi duszami-siostrami idzie po zawrotnych gzymsach dobrowolnych wyrzeczeń się, jakoby po stromych górach. Czyżże to głos przerywa radość? Jakiż to cień, jaki z nikczemnych dolin przychodzień, niematerialny szlak mroku stoi pod skalą w lśnieniu ostatniej błyskawicy? Wyciągnął ręce... Mówi przez usta dwugłosu skrzypiec... Zimny dreszcz spętał nogi uściskiem... Zapomniane imię — Anzelm — jak żmija pełza w dwugłosisie skrzypiec...

# SPRAWA SIÓDMA

*Noc zimowa w Alpach. Olbrzymie śniegi powlekły puszcze leśne, szlak prowadzący ku skałom, z których przed wiekami obrońcy swej niepodległości zrzucili szczyty gór na pole Näfels i zatkli nimi napastnika ojczyzny. Jezioro Klänthalersee zamarzło i znikło pod oponą zimy. Wielkie leśne drzewa stały się wspaniałymi widmami. Gałęzie ich, zgięte aż do samej ziemi pod ociężałymi jukami, pod napęczniałymi od masy sakwami śniegu, tam i sam wybiegają w niebo strzelistymi wierzchołki. Niskie krzewy znikły pod zwojami i kopułami zasp. Majaczą w poświęcie księżycy podobizny olbrzymich ptuc i jelit, przegubami wygniecione w bulwy i nabrzmienia. Polotny wiatr kiedy niekiedy rozkołysa stuletnie jodły. Wówczas sypią się w dół kadziłlane stupy pyłu i napętniają głębinę dzikiego boru zimnym przestraczem. DAN, ubrany w krótki kozuch i buty z cholewami, brnie w górę bezdrożem, głębiną lasu, kopiać się po pas w przeziębłych, sypkich śniegach. Na plecach niesie wielką stalową kasetę i żelazny trójnóg. Zarabiając się w zaspach, ustął na małej polanie pod szczytem. Gdy spoza chmur padnie na ziemię światło księżycy, widać słabo w przestworze bielejący stół szczytu Glärnische i pionowe granie jego skał z tamtej strony jeziora. DAN, który pospołu z CZAROWICEM przyszedł z Zurychu, dźwigając swój wynalazek bezdrożami leśnymi przez Albis i Hochetzel, siadł w znużeniu na omarzniętym odziemku. Czeką cierpliwie na znak CZAROWICA, który poszedł na tamtą stronę doliny i jeziora, w skały Glärnische, ażeby w nich zakopać w różnych miejscach trzy wielkie ładunki prochu, dynamitu i szymoży. Dan opiera głowę na rękach i, patrząc na szatański szczyt Glärnische, popada w głuche, senne zachwycenie. Oczy jego spoglądają w las. Widzą i nie widzą. Zdało mu się, że w czarnym przypiętnym wnętrzu wielkiego świerka, który śniegi ze wszech stron odeły, czyniąc zeń alabastrową kaplicę, rzeźbioną od cieniów, spostrzega żyjący cień. BOŻYSZCZE stoi tam nieruchomo z założonymi na piersiach rękami. Oczy jego jak dwa ciemne, ślepe ciosy, usta nieme.*

DAN

*z męstwem*

Kto ty jesteś?

BOŻYSZCZE

Ja jestem ty.

DAN

Nie znam cię. Ja jestem — ja. Nikt inny nie był, nie jest i nie będzie mną. Przepadnij!

BOŻYSZCZE

Jestem twój sobowtór. Byłem z tobą w więzieniu. Jako tożsamość twoja przeszkadzałem ci przecież ustać, gdy kuleś po nocach swój wynalazek. Czy nie pamiętasz wsparcia mojego, gdyś upadał, czy nie pamiętasz pociechy mojej, gdyś płakał krwawymi łzami, czy nie pamiętasz zaprzeczeń moich, gdyś się łamał wewnątrz siebie? Podniecałem zawsze twą myśl, popychałem cię, żebyś tu przyszedł.

DAN

Nie chcę zwycięstwa, jeżeli mam je tobie zawdzięczać.

BOŻYSZCZE

Jesteś śmiertelny, a ja jestem schroniskiem twojej siły, gdy cię nie będzie. We mnie się unicestwisz i pogrążysz w sobie.

DAN

Jeżeli dzięki tobie wykryłem ten wynalazek straszliwy, to patrz...

*dobywa browninga*

Rozbiję go i siebie rozerwę za pomocą jego wybuchu, gdyż nikomu nie chcę podlegać.

BOŻYSZCZE

Przez wieki, które ja znam, płonął sekretnie we wnętrzościach rozdzielonych substancji nieśmiertelny ogień. Tyś je zespolił. Ogień ten tęsknił w ciągu nieskończoności do

tajni twojego mózgu jak syn do ojca. Tyś go, dzięki woli tajemnej, począł w umyśle jak ciało poczyna zarodek. W kołysce tej leży teraz prorok zrodzony przez ciebie, wybawca, oczyszczający kapłan, żołnierz, który czeka na skinienie twej dłoni. W kołysce tej leżą nowe dzieje ziemi. Nie wąż się gasić ognia-wyzwolicielea.

DAN

*posępnie*

Ten ogień będzie kosą śmierci dla setek tysięcy istnień, bytów, żywotów...

BOŻYSZCZE

Śmierć jest dolą człowieka. Śmierć, którą będziesz zadawał, zdejmie przekłety kształt z ludzkości. Śmierć, zadana przez płomień tu zawarty, będzie nasieniem wielkich żywotów.

DAN

Nie chciałem zadawać śmierci, chciałem wyniszczyć głód rzesz świata, zniweczyć niewolę, jutrznię rozpalic nad ciemną nocą. Któż mi zaręczy, czy świętości mojego marzenia nie zniweczą złodzieje, czy jej nie wydadzą wrogowi, ażeby zeń uczynił środek stokroć skutecznieszego katowania człowieka niewolnika? Byłem w moskiewskim więzieniu, widziałem wszystko złe świata.

BOŻYSZCZE

Jakakolwiek będzie twa boleść, musisz iść dalej.

*Rozlega się daleko za jeziorem strzał rewolwerowy. To CZAROWIC zapytuje w ten sposób DANA o miejsce, w którym się zatrzymał. Echo strzału rozlega się w dalekich skałach glenerńskich Alp, leci dolinami, ślania się i brzmi w przestworzu leśnych puszczy, jak wołanie setek tysięcy głosów.*

BOŻYSZCZE

Słyszysz? Woła cię świat.

DAN *podnosi browning i strzela w powietrze na znak odpowiedzi*

Już dałeś znak.

DAN

Nie! Jestem głuchy i oślepy od męki. Nie pójdę! Niech on, który umieścił w niewiadomym dla mnie miejscu proch, dynamit i szymożę, ażeby do nich stąd za pomocą ognia trafił, idzie z tym ogniem w świat. Ja zostanę w laboratorium.

BOŻYSZCZE

Lękasz się.

DAN

Lękam się. Drzę. Teraz już idzie ku mnie Czarowic. Słyszę skrzypienie jego kroków na mrozie lodu jeziora.

BOŻYSZCZE

Czymże jest śmierć człowieka, którą będziesz zadawał?

DAN

Morderstwem.

BOŻYSZCZE

W tej chwili, gdy to mówisz, dogasa tysiąc żywotów z chorób, z nędzy, z prześladowań, w szponach tyranii. Ty śmierć ludzką wytracisz w rodzaju ludzkim. Uczynisz z niej wartość najwyższą, straszną, świętą i wieczycie płodną, jak śmierć Sokratesa.

DAN

On minął już jezioro. Już idzie w górę.

*Daje się słyszeć powtórną strzał CZAROWICA. DAN podnosi bezwładną ręką browning. Strzela.*

BOŻYSZCZE

Zmuszasz mię, żeby cię kuśił.



Potęga tyranii, skupiona w armiach, okrętach wojennych i narzędziach śmierci jest tylko symbolem! Moc tyranii leży nie w dłoni bezsilnego władcy, lecz w niemocy jego niewolników! Lecz niezniszczalność nędzy, przejawiająca się w wiecznej nicości, pognębieniu, porażce i różnopostaciowym niewolnictwie człowieka, jest również tylko symbolem. Jedyną potęgą istotną i niewątpliwą jest geniusz i funkcja jego — wynalazek. Materialny wynalazek staje się wartością duchową, jeżeli budzi z martwych ducha niewolników i łamie w ich piersi berło tyrana. Podobnie jak okręty wojenne i narzędzia śmierci rzucają na dusze ludzkie cień niewoli i stwarzają potworny jej ideał, tak samo materialnego trzeba wynalazku, ażeby oświecił dusze blaskiem ideału wolności. Ludzie, którzy raz złamią w duszach swych niemoc tworzenia, narzuconą im przez przeczenie tyrana, zabudują i osiadać szczęśliwą ziemię.

Naród twój jest jak lamentująca, białopienna brzoza, której naród moskiewski, opętany przez ideał tyranii, w szaleństwie swym przywalił wszystkie żywe gałęzie, pręty ssące sok i oddychające liście olbrzymią masą głuchej gliny, górami pracowicie zniesionego na glinę kamienia. Nacina wróg pień jej biały, w bolesny pałąk wygięty, napuszcza w żyły jej jadu swych zbrodni, zarazy swojej głupoty. Patrz, jak poprzerywane są korzenie twojej brzozy ukochanej, jak schnie i pęka jej kora, jak z ran bezużytecznie wycieka w ziemię sok życiotwórczy! Zamiera w pustkowiu brzoza żywcem pogrzebiona. Dodaj ramienia! Od dzieła twego dźwignie się, wyrwie i w niebo z pohańbienia uniesie święta korona. Obmyją deszcze liście zbłocone, wicher wiosenny wyprostuje skrzywione gałęzie. Nową pieśń zaśpiewa w wiatrach białe boże drzewo...

*Trzeci strzał CZAROWICA. DAN odpowiada po raz trzeci. BOŻYSZCZE znika.*

CZAROWIC

*ukazując się na polanie*

Nie mogłem trafić na twój trop...

DAN

Na mój trop niełatwo trafić.

CZAROWIC

Jesteś dumny, wynalazco.

DAN

Jestem dumny.

CZAROWIC

Okaże się wnet, czy uzasadniona jest twoja duma.

DAN

W jakim porządku umieściłeś naboje?

CZAROWIC

Najniżej proch. O jakie sto kroków wyżej dynamit.

DAN

Ktoś tu może słucha naszej rozmowy!...

CZAROWIC

Czy sądzisz, że i w lasach glerneńskich czyha na nas moskiewski szpieg?

DAN

Przypomnij sobie we śnie więziennym usłyszaną formułę: — Milcz z zaciśniętymi zębami albo składaj wewnątrz siebie przysięgę, kiedy idzie o Polskę!

CZAROWIC

Tak, tu idzie o całą Polskę. Zaczynaj!

DAN

Tu idzie o coś więcej...

CZAROWIC

Wahasz się?

DAN

Drży we mnie serce i drżą wnętrzności. To nie tylko próba, to już strzał.

CZAROWIC

Tą właśnie drogą nad jeziorem, z Muottathal do Glarus szedł swego czasu Suworow na czele armii.

DAN

Dobre powiedziałeś słowo! Kielich najtęższego wina nie popędziłby mojej krwi ognisćiej od tego słowa. Straszliwy Suworowie, któryś ziemię polską naszedł i zdeptał, zakryj w trwodze oczy!

*Do CZAROWICA*

Daj szkła!

*Obydwaj nakładają na oczy czarne szkła w szerokiej, skórzanej oprawie, która szczelnie przystaje do skroni i kości policzkowych. Dan ustawił na żelaznym trójnogu kasetę, a wylot jej nieco podobny do obiektywu, jaki posiada camera obscura, skierował w stronę lasów i skał pod Glärnischem. Przesunął zasuwę aparatu i puścił w ruch maszynę. Po chwili obydwaj widzowie ujrzeni przez czarne szkła oslepiającą strugę fioletową, z lekką łukiem wygiętą. Przerażliwy blask oświetlił łańcuchy gór, doliny, lasy... Dan stanął za kasetą i żelazną rękojeścią kierował wylot maszyny to tu, to tam, to wyżej, to niżej. Struga tytanicznego ognia poczęła gzygzakiem błąkać się po lasach glerneńskich. Wielkie lasy poczęły płonąć smugami w ślad skinień ognia. Nagle runął w powietrze straszliwy wybuch prochu. Po chwili runął wybuch drugi, stokroć gwałtowniejszy. Zatrzęsły się góry. Nawiste skały, wyrwane z posad, rzucone w górę spadły na lody jeziora. Pękł lód z loskotem i bojaźliwym, dalekim skowyczeniem. Strzelił trzeci pocisk, stoczył z miejsca wyższe urwiska. Płonące jodły toczą się pod lecącymi w jezioro skalami. Luna ogarnęła nocne niebo. DAN zamknął zasuwę kasety. Krótki obydwu śmiech. Chowają maszynę w skórzany wór. DAN zarzuca na plecy wór, CZAROWIC trójnóg. Stękając pod ciężarem, w milczeniu uchodzą szybko borami w górę.*

## EPILOG

*Parórkowate pola w okolicach Puław. Płaskowzgórze poprzerzynane we wszelkich kierunkach parowami, w których rosną drzewa liściaste, buki i dęby, lipy, klony i jawory. Zielone sosny tulą się w gęstwiny listowia. Zboża powlekły urodzajne glinki, jak oko zasięgnąć zdoła. Poświstny samogłos idzie polami, na których od suchego wiatru pławi się okwitłe żyto. Huczy zamierający wciąż pogwarek łanów pszenicy jeszcze zielonej, a już pozłotą muśniętej. Maki i bławat w zbożu nade drogą zapadła, nad polnym, w glinie wiekami żłobionym, parobczańskim chodnikiem. Spróchniały krzyż we trzech jedlach na wzgórku. Jałowce po uwrociach i pochyłych wygonach. W dali, niziną wierzby ponad strugą leniwą. Tam kosi trawę dorodny, dwudziestodwuletni parobczak, GRZEŚ WÓJCIK. W polnej ciszy słychać nieprzerwanie, raz wraz armatnie strzały i potworny grzechot kartaczownic. Wokół tego miejsca odbywają się na przestrzeni całej okolicy manewry generalne wojsk. Dwa odłamy armii staczają ze sobą fikcyjną bitwę. Wielki księżę dowodzi jedną armią, główny dowódca wojsk prowadzi drugą, noszącą nazwę nieprzyjacielskiej. Nagle oświetliła ziemię i niebo piorunująca luna. GRZEŚ zaniewidział na przeciąg czasu<sup>164</sup>. Jeszcze luna nie zgasła, gdy dał się słyszeć straszliwy łoskot i wrzask dziesiątków tysięcy ludzi. Gdy GRZEŚ odzyskał wzrok, ujrzał wznoszące się dymy na wzgórzu. GRZEŚ rzucił kosę i na białku<sup>165</sup> wpadł w zboża, żeby zobaczyć, co się dzieje. W chwili, gdy stanął nad poprzecznym wózem, ujrzał jeźdźca na koniu, pędzącego w skok zbożami. Koń brzuchem rozgarnia zboże, skacze przez parowy. Za jeźdźcem pędzi z dobytymi szabłami szwadron dragonów. Wichrem pędząc ku dolinie, jeździec odsadził się w zbożu, wbił ostrogi w boki końskie i skoczył, żeby przesadzić parów. Zgoniony koń skoczył chyżo, lecz nie dosięgnął szczęśliwie przeciwnego brzegu. Jeździec runął w gliniasty wóz. GRZEŚ kilkoma susami zeskoczył na dół i znalazł się przy zbiegu. Ten wywłókł się już spod konia i, potykając się, plując krwią, ucieka na dół wózem. Spostrzegł GRZESIA.*

CZAROWIC

Ktoś ty?

GRZEŚ

Ja tu ze wsi.

CZAROWIC

Bracie! Ratuj! Biłem się z wojskiem...

GRZEŚ

A dy ja towarzysz...

CZAROWIC

Towarzyszu! Ja wnet umrę... Za wcześniej mię spostrzegli. Uciekaj! Co sił uciekaj! Tu zaraz, na szosie puławskiej, między Kurowem i Końskowolą spotkasz dwoje ludzi, mężczyznę i kobietę na koniach karych. Im oddasz to pudło.

GRZEŚ

Między Kurowem i Końskowolą dwoje na koniach karych...

CZAROWIC

Spytasz o hasło. Jeśli powiedzą słowo *Warna*...

GRZEŚ

Słowo *Warna*, *Warna*, *Warna*...

CZAROWIC

Wtedy dopiero oddasz im pudło. Jeśli tego słowa nie znają, rozbij maszynę na drobne kawałki. Towarzyszu! Nie zdradzisz? Słowo? Nasze słowo?

GRZEŚ

No!

<sup>164</sup>na przeciąg czasu — błąd logiczny i stylistyczny; popr.: przez pewien czas itp. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>na białku (daw.) — na czworakach. [przypis edytorski]

CZAROWIC

Uciekaj! Zbożami, miedzami...

*GRZEŚ zakłada na ramiona rzemienie kasety, pod pachę wziął żelazny trójkąt podstawy, kapelusz słomiany cisnął w zboże, zgarbił się, wpelzł w bruzdę. Fale pszeniczne za nim zakotłowały się, zrosły w jedno, zawarły. Pomknął jakoby przepiórka. Daleko, daleko strugą chwiejną wśród lanu przeleciał...*

*Kłęby kurzawy runęły w głąb wąwozu. Kilkudziesięciu kawalerzystów pędzi weń na złamanie karku. Dopadli konia z przetrąconym grzbietem, dopadli CZAROWICA leżącego na drodze o kilkadziesiąt kroków dalej. Zeskoczyli z koni, porwali go z ziemi, postawili na nogi. Szarpną go na wsze strony. Gdy wyrwał z kieszeni rewolwer, wydarli mu tę broń. Związali ręce w tył. Obrewidowali odzienie. Przytroczyli go postronkami między cztery konie i popędzili, powlekli, gdy padał, wąwozem w górę. Kiedy cały konny orszak wyjechał z wąwozu na płaskowzgórze, CZAROWIC przetarł oczy, rozejrzął się pilnie, daleko po falujących zbożach, po pszenicach, żytach, idących w kraj het-het... Ani śladu!*

CZAROWIC

*śpiewa radośnie z głębi serca  
Uderzył go żołdat nabajką*

CZAROWIC

*śpiewa dwakroć radośniej, z głębi serca  
Uciekła mi przepióreczka w proso...*

OFICER

Milcz! Za chwilę zginiesz. Módl się. Tyś to strzelał do naszych wojsk z jakiejś broni.

CZAROWIC

Milcz! Za chwilę zginiesz. Módl się. Ja strzelałem do waszego wojska z tajnej broni.

OFICER

Gdzie ta broń?

CZAROWIC

Nie ma jej.

OFICER

Gdzieś ją podział?

CZAROWIC

Zaraz się dowiesz.

OFICER

Skąd się dowiem?

CZAROWIC

Nie umiesz czekać, Moskalu!

*Oficer uderza go nabajką. Thumy wojsk ukazały się na szerokiej pochyłości. W środku ich potyskujący sztab jeneralny. Polami ku temu miejscu gwałtownie ciągną parki artyleryjskie, miażdżąc zboża na szerokiej przestrzeni. Ze wszech stron, jak okiem sięgnąć, brną w forsownym marszu proste linie, bryły i prostokąty wojsk pieszych. Tam i sam przerzyna równinę lotna jazda regularna i wałęsają się chmury kozactwa. Pokotem leżą w zdeptanych zbożach zwłoki spalonych rot i kompanii od pierwszego pocisku ognia. Wśród nich uwijają się lekarze w białych kitlach, zakonnice i felczery. Jeżdżą na wsze strony wozy lazaretowe. W całym wojsku regularnym kotłuje się bezkarny, dziki gwar. Gdy się ukazał oddział prowadzący CZAROWICA, armia wydaje groźny pomruk. Prowadzą go w szerokim kole dragonów, przywiązane postronkami. Idzie okryty pyłem i krwią. Wysunął się na spotkanie oddziału adiutant i rozkazał, żeby prowadzić więźnia przed oblicze wodzów, na wzgórze. Stanąwszy tam, przed głównym frontem wojska, ustawionego w linię, CZAROWIC odwrócił twarz w pola. Wytężył wzrok w dal, w dal... Namacał w bocznej kieszeni perspektywę, przyłożył ją do oczu... Dojrzał daleko białą wstęgę puławskiej szosy wijącą się po wzgórze. Oto stamtąd sadzą polami na przelaj dwaj jeźdźcy, dwa cienie...*

## CZAROWIC

*ze ściśniętymi dłońmi, pochylony błaga duchem*

Krystyno! Żegnaj... Oszczędzaj Dana. Czekają na niego Niemcy. Niemcy! Niemcy!

*Zatrzymały się na wzgórzu dwa czarne, dalekie cienie. Nagle blysnęł straszliwy piorun, obleciał niebo i ziemię. Blask jego rzucił ślepotę na armię moskiewską. Gzygzak piorunu — kosa ognista — zaciął raz, drugi, trzeci, uderzył z prawej i lewej strony wojska zgromadzone. Ryk przerażenia, jęk przedśmiertny nappełnił puławską ziemię. Bucha raz wraz olbrzymi kłęb siwego dymu i rozlega się straszliwy huk wylatujących w powietrze jaszczyków, samostrzały kartaczownic i armat. Strzela sama rzucona na ziemię ręczna broń. Walą się szeregi spalonych trupów. Bataliony z wyżartymi oczami, pulki, na których płoną szynele, mundury i włosy, lecą na usze strony z wyciem rozpaczcy. CZAROWIC, któremu ogień DANA wypalił oczy, zżarł piersi i wnętrzności, biegnie w ślepotcie, pospołu z tłumem. Straszliwy ból spalonego ciała goni go w przestrzeń. Nic nie widząc, umierający od męczarni, trafił stopami w koleje polnej drożyny. Potknął się na przykopie drogi, upadł na ziemię. Usłyszał zboże spokojnie szumiące, cichy pszeniczny pogwarek. Ostatkiem wiedzy wsparty, chciał wpełznąć w zboże, lecz trafił rękoma i ciałem bolesnym na szeroko ogarniający przykopę krzak dzikiej róży. Wtulił się w krzak dzikiej róży, szukając rękoma zboża, bezsilnie spoczął na kolcach, osłaniając drgającymi dłońmi spalone wnętrzności. Jeszcze raz uśmiech otoczył mu usta.*

## CZAROWIC

Towarzyszu Grzesiu! Według rozkazu...

*Daleki jęk, przeraźliwe wzdychanie armii spalonej przytłoczyło ostatnią myśl. Głowa upadła między kolczaste, grube, wyniosłe badyle róży dzikiej i otrząsnęła płatki kwiatowe. Spadły kwiatki na czoło zroszone śmiertelnym potem, na pierś wydającą ostatnie tchnienie. W głowach zmarłego stanęło mgliste widmo BOŻYSZCZA. Strząsnęło na piersi nieżywe ostatni płatek róży dzikiej.*

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/zeromski-roza>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Katerla, Róża. *Dramat niesceniczny*. Spółka nakładowa "Książka", Kraków.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Uniwersytecką w Toruniu z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Biblioteki.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Aleksandra Sekuła.

ISBN 978-83-288-5938-8

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.